

Plongée Anioty



TOM 07



MIROSLAV

ZAMBOCH

Miroslav Žamboch

Agent JFK 06

Płonące Anioły

SPIS RZECZY

WSKRZESZENIE UMARŁEGO

GRA O WYSOKĄ STAWKĘ

FLUKTUACJE

PIERWSZE KILOMETRY

PIĘKNA I BESTIA

DESANT ZDETERMINOWANYCH

ZASTĘPSTWO KRYSTYNY RUSTOVEJ

NA ŁUKU KARPACKIM

KOCIGE I KOCURY

ŚLADEM NIEPRZYJACIELA

CZARODZIEJ I REWOLWER

WALKA Z HURAGANEM

CZARNY, ŻÓŁTY I BIAŁY RASIZM

PAŃSTWA ŚMIERCI

ARYSTOKRATKA I NARCIARKA

BITWA POWIETRZNA

NOWY AGENT

ABORDAŻ

RANDKA

POWRÓT MARTWEGO

EPILOG

WSKRZESZENIE UMARŁEGO



Z oddali dobiegała kanonada artyleryjska, szczerkanie karabinu maszynowego i ledwie słyszalne na tym tle grzechotanie ręcznej broni. Kolejny piekielny dzień misji w Iranie, przypomniał sobie kapitan John Francis Kovař. Równocześnie odnalazł w pamięci obraz stojących rzędami blaszanych trumien i powiewający na wietrze sztandar Republiki.

Ale to następowało na koniec potyczki, kiedy ułożyli i policzyli zabitych. Nie dokuczał mu też upał, to również nie pasowało do scenerii. W Iranie było mu nieustannie gorąco, w chłodne noce zazwyczaj spał zmęczony albo uczestniczył w akcji. Ta kanonada trwała jednak nieprzerwanie. Bitwa, totalna bitwa w najbardziej brutalnym wydaniu.

Otworzył oczy. Leżał na małej polance, otoczonej zewsząd drzewami. Buki, jesiony, świerki, jodły. Oczywiście, że to nie Iran.

Spojrzał w dół i dostrzegł szarą skrzynkę zaopatrzoną w duży ekran. Połączono ją mocną rurką z żyłą na zgięciu łokcia.

Od dawna już nie był żołnierzem oddziałów specjalnych Czechosłowackiej Armii ani ratownikiem. Od pewnego czasu pracował dla supertajnej Agencji EF. Znajdował się na terytorium miasta-państwa Koprivnice-Frenštát-Veřovice, w świecie prawie od stu lat dziesiątkowanym przez wirusową pandemię. Myśli płynęły powoli, jak fale na powierzchni jeziora roztopionego ołowiu.

Miał za zadanie ochraniać swoją partnerkę, doktor Lavassi. Nie do końca mu się to udało. Otrzymała postrzał w pierś przeznaczony dla niego, ale przynajmniej zdołał wysłać ją do domu, do świata, w którym znajdowała się baza agencji wyposażona w najnowocześniejszą technikę.

Znów popatrzył na skrzynkę, już był w stanie rozróżniać litery i cyfry na ekranie. Zaczął pojmować, co to znaczy, i odruchowo dotknął ekranu. Na wpół czytelne znaki zniknęły, a ich miejsce zajął zrozumiały meldunek:

PODWÓJNA DAWKA NANOROBOTÓW NAPRAWCZYCH II GENERACJI
WSTRZYKIWANA.

PODWÓJNA DAWKA NANOROBOTÓW REGENERACYJNYCH III GENERACJI
WSTRZYKIWANA.

ZAPASY PROTOENZYMÓW, STYMULATORÓW I ANTYBIOTYKÓW O SZEROKIM

SPEKTRUM WYCZERPANE.

JFK zrozumiał, że po samotnej walce, podczas której zlikwidował armię miejscowego bogacza Hyvela, zdołał jeszcze ściągnąć urządzenie medyczne z poziomu dwudziestego drugiego wieku, które uratowało mu zdrowie, jeśli nie życie. Ponieważ znajdował się w świecie o poziomie technologicznym odpowiadającym co najwyżej dwudziestemu stuleciu, efekt Maurby'ego niedługo da o sobie znać. Nie dostrzegał ochronnych znaków na skrzynce i mógł się spodziewać, że aparatura wkrótce przestanie działać.

Nagle zaczęły mu przebiegać przez głowę wspomnienia, szybko, jak odtwarzany zapis obrazów. Wiedział, że nie może wrócić, bo tunel transportowy jest zbyt ciasny, żeby mógł prześliznąć się przez niego do swojego świata. Pomyślał o naruszeniu przepisów, ale postanowił nie martwić się o to, zanim pomyślnie przeżyje tę przygodę.

PROCES REKONWALESCENCJI NADAL NIEZAKOŃCZONY. SYSTEM ODPORNOŚCIOWY FUNKCJONUJE TYLKO W 59% POZIOMU NOMINALNEGO. CZY ZASTOSOWAĆ TRZECIĄ DAWKĘ NANOROBOTÓW REGENERACYJNYCH?

Napis pojawił się na ekranie wraz z cichym kliknięciem. JFK znów dotknął ekranu.

FUNKCJONALNOŚĆ APARATURY 56%.

E f e k t Maurby'ego już działał. Urządzenie pracowało zazwyczaj do osiągnięcia pięćdziesięciu procent wydajności, ale wyniki tego działania mogły się okazać nieprzewidywalne. Jeśli potwierdziłby zastrzyk nanorobotów, mogłoby się zdarzyć, że otrzyma nieco więcej niż połowę dawki, co będzie korzystne, albo że te przykładowe czterdzieści cztery procent, zamiast zasilić system odpornościowy, zainicjują powstanie i rozrost komórek rakowych. Tego sobie najmniej życzył.

Po kolejnym dotknięciu ekranu aparat wyciągnął igłę z żyły. Automatyczny plaster jeszcze był sprawny i szczelnie zalepił miejsce wkłucia.

W żyłach znowu zaczęła mu płynąć krew zamiast ołowiu, poczuł, że powraca jego dawna forma, chociaż do pełni sił było jeszcze daleko. Kanonada nie ustawała. Gdzieś trwała walka. Sądząc po kierunku, z którego dobiegał huk, potyczka ogniowa musiała odbywać się w samym mieście. Przypomniawszy sobie czerwoną raketę alarmową, jaką widział tuż przed swym samotnym atakiem na siedzibę Hyvela.

Odruchowo sprawdził broń. Nóż pokryty poczerniałą krwią, zniszczony automat MP-5, kilka porzuconych pustych magazynków. Zauważył dwa ciała leżące nieopodal. Mimo porannego chłodu bzyczały nad nimi pierwsze muchy. Jednemu poderznął gardło, drugiego zabił ostatnimi dwoma nabojami. W lesie leżało więcej martwych wrogów. Przypomniawszy sobie zabójczą walkę z wieloma przeciwnikami, toczoną w ciemności, w której ogromną

pomocą służył mu noktowizor. Gdy go stracił, pozostało doświadczenie, spostrzegawczość i zimna determinacja nakazująca pozabijać wszystkich. Ci ludzie na rozkaz torturowali i mordowali mężczyzn oraz kobiety. Na nic innego nie zasłużyli. Przypomniawszy sobie niedostatek amunicji, z jakim się zmagał pomimo świeżej dostawy, która dotarła tunelem tuż przed jego zamknięciem. Bez zastanawiania się podszedł do najbliższej leżącego trupa, żeby sprawdzić, czy nie znajdzie przy nim czegoś użytecznego.

Kanonada nadal huczała, ale miał wrażenie, że oprócz niej słyszy stłumiony odległością ludzki krzyk.

To nie była jego walka. Kolejne okno transferowe otwierało się za niecałe dwa miesiące. Bez problemu mógł przeżyć przez ten czas w lesie. Lecz dowódca miejscowej armii Tomáš Prof ryzykował życie, żeby pomóc mu uratować doktor Lavassi.

Przy trupie znalazł mocno zużyty karabin, którym mógł się posłużyć w sytuacji najwyższego zagrożenia, i kanciasty pistolet półautomatyczny nieznanego, najwyraźniej miejscowego wyrobu. Podobny nosił Tomáš Prof. Magazynek był pełny, przy pasie zabitego odkrył jeszcze jeden zapasowy. To musiało mu wystarczyć. Uzbrojony ruszył ostrożnie w dół zbocza w kierunku odgłosów walki.

Aparat medyczny za jego plecami pisnął ochryple. Sterujący nim komputer oznajmił w ten sposób, że właśnie przestał funkcjonować.

GRA O WYSOKĄ STAWKĘ



Ljuba Bytewska, szefowa Oddziału Sytuacji Kryzysowych w Wydziale Zwalczenia Międzyświatowego Przemytu, w towarzystwie swej najlepszej agentki Andrei de Villefort obserwowała przez weneckie lustro pomieszczenie, w którym prowadzono dochodzenie.

Starła się zachować postawę profesjonalistki. Mogło to wystarczyć dla niewidocznych kamer i ukrytych obserwatorów, ale nie dla Andrei, która jak mało kto potrafiła odczytywać ludzkie emocje. Bytewska była napięta do granic możliwości, a co więcej: pełna obaw, że sprawy nie pójdą dobrze.

Agentka de Villefort знаła szefową nie od dziś. Jej przełożona nie bała się o siebie, lecz o swoich ludzi, tym razem głównie o agenta Johna Francisa Kovařa, jak również o kandydatkę na agentkę Krystynę Rustovą, o której przyjęcie do agencji wniosowała na podstawie meldunku JFK.

Śledczy, dystyngowany mężczyzna odziany w niezbyt wytworne, choć nieprzypominające uniformu ubranie, nie był nazbyt małostkowy i nie zachowywał się z rezerwą. Zadał właśnie kolejne pytanie Krystynie Rustovej:

- Do centrali transportowej weszła pani razem ze swoim przyjacielem Frankiem Boormanem, z którym spędzała pani czas na kolacji?

Na twarzy Krystyny Rustovej pojawił się prawie niedostrzegalny uśmiech.

- No, jeśli mówiąc „przyjaciel”, ma pan na myśli fakt, że z nim sypiam, to Frank Boorman nie jest moim przyjacielem. Natomiast jeśli chodzi o to, że podoba mi się na tyle, iż mogłabym to zrobić, to tak. - Rzuciła śledczemu niewinne spojrzenie.

Tą bezpośrednią odpowiedzią wyraźnie wytrąciła go z równowagi.

- Ale pytał mnie pan o to już pięciokrotnie. Chętnie odpowiem po raz szósty - wykorzystwała chwilę wahania mężczyzny.

- Ci chłopcy z każdym rokiem robią się mniej ośliźli, nawet nieco bardziej sympatyczni, ale wciąż niewystarczająco - stwierdziła Bytewska.

De Villefort wyczuła ulgę w głosie szefowej, sama zachowywała pozę profesjonalnego zainteresowania. Po kolejnych trzech seriach pytanie - odpowiedź pozwoliła sobie na krótkie spojrzenie w miejsce, w którym, jak wiedziała, znajduje się ukryta kamera, i wycedziła:

- To partacz.

Nie lubiła Kristophera Cacopulosa. Facet pewnego razu przesłuchiwał ją o dwie godziny za długo, mając nadzieję, że umówi się z nią na randkę. Zwykły głupek.

- A jaka wartość wyświetlana była na ekranie modułu powrotnego? O, tutaj.

Śledczy odwrócił ku Rustovej notebook nie większy niż poczwornie złożona kartka papieru. Obraz przedstawiał główny panel sterowania modułu używanego przez von Wondera do transferów między światami.

Rustova pochyliła się, żeby dokładnie obejrzeć monitor.

Andrea de Villefort zaczęła w duchu recytować mantrę medytacyjną. Jej szybko bijące serce uspokoiło się. Bytewska niczego takiego nie umiała, pozostało jej polegać na swoim opanowaniu i mieć nadzieję, że w pobliżu nie ma żadnych skanerów medycznych. Nie powinno ich być, ale w agencji wszystko było możliwe. Szczególnie na terytorium Wydziału Wewnętrznego.

Obie kobiety dobrze wiedziały, że wartość, o którą pytał Kristopher Cacopulos, oznaczała masę ładunku organicznego, który można było bezpiecznie przetransportować do bazy. Wartość ta przez cały czas od chwili powrotu rannej doktor Lavassi aż do momentu zamknięcia bramy łączącej oba światy nie spadała poniżej stu trzydziestu kilogramów. Przynajmniej według nieoficjalnego oświadczenia von Wondera.

- Wow, to dopiero liczba! - powiedziała Krystyna z uznaniem. - O której pan myśli, o tej czy o tej?

Bytewska i de Villefort zaczęły się uśmiechać. Już wiedziały co się kroi.

- O tej największej, tutaj, jedyna czerwona liczba między zielonymi - podpowiadał z nadzieją Cacopulos.

- Wie pan... - Kandydatka na agentkę uśmiechnęła się do niego czarująco, choć z nutką żalu. - Tam był taki rejwach, że właściwie wcale się temu ekranowi nie przyglądałam.

- Koniec przesłuchania - oświadczył zniechęcony Cacopulos, zwracając się ku niewidocznym mikrofonom. - Czas minął.

- Wytrzymała całe dziesięć godzin bez jednego choćby potknięcia, jest naprawdę znakomita - powiedziała z uznaniem Bytewska.

De Villefort przytaknęła w milczeniu. John miał nosa do nietuzinkowych kobiet. Nie dziwiło jej, że zainteresował się Rustową. Pech chciał, że Krystyna zapatrzyła się na Boormana. Andrea nie mogła powiedzieć, że jej to przeszkadza, było raczej odwrotnie.

- Ale Frankowi nie mówmy o tym, co tu usłyszałyśmy - powiedziała, patrząc na swoją przełożoną.

- Co za pomysł, agentko, nigdy facetom nie folguję, niech się starają - odparła Bytewska.

Zamknęła laptop i ruszyła ku drzwiom. Sprawę miała z głowy. O ile nie wyjdą na jaw inne okoliczności, agenta Johna Francisa Kovařa nie zwolnią z agencji. Co najwyżej będą go

nękać o niezwrócony sprzęt.

JFK wyszedł z lasu nisko pochylony i za opadającymi w dół pastwiskami zobaczył miasto pogrążone w szarym świetle zbliżającego się świtu. Część mieszkalna, nie bacząc na ograniczenia kwarantanny, zamieniła się w jedno pole walki. Napastnicy atakowali z północnego zachodu, od strony Stramberka. Głównym punktem oporu była fabryka, Kovař nie miał możliwości dotarcia w jej pobliże.

Stał na tyle blisko, że strzelanina prawie go ogłuszała, obserwował serie karabinów maszynowych, widział ogniska pożarów, ale na tyle daleko, że przejazd ciężarówek, ruchy poszczególnych ludzi i następujące od czasu do czasu wybuchy wydawały mu się nierealne. Jednak na podstawie doświadczenia wiedział, co się dzieje.

Biorąc pod uwagę, że wszystkie strefy kwarantanny zostały naruszone, musiał to być atak z zewnątrz.

Strzelanina przybrała na sile, poznał ogłuszający huk ognia szybkostrzelnych trzydziestomilimetrówek. Schodził w dół zbocza, pochylony, uważny, niewidoczny w szarości świtu. Trawa była mokra, lecz nie czuł chłodu, wszystkimi zmysłami chłonał obraz bitwy.

Przed pierwszymi budynkami przykucnął u betonowej podmurówki płotu. Sytuacja się zmieniła, napór atakujących fabrykę osłabł, silny ostrzał ich odrzucił.

- Faza dwa! Faza dwa! - Nieoświetlony jeep nietypowej konstrukcji z megafonem i karabinem maszynowym na obrotnicy przejechał niedaleko Kovařa.

JFK rozpoznał język rosyjski, ale nie miał pewności, czy mówi ktoś tej narodowości, czy cudzoziemiec. Tak daleko jego znajomość rosyjskiego nie sięgała.

Atakujący skupili teraz uwagę na okolicznych budynkach i systematycznie wyprowadzali z nich mieszkańców, sprawnie ich związywali i ładowali do podjeżdżających ciężarówek. Gdy nie pozostał żaden wolny wóz, zmuszali jeńców do biegu w stronę Stramberka.

Kolejny jeep zatrzymał się niedaleko Kovařa.

- Oni nie zdadutsia! Ich oborona ułuczajetsia s každojsiekundoj, nam nado otstupit'! ^[1] - słyszał, jak siedzący obok kierowcy mówi do mikrofonu nadajnika. Zrozumiał, że to samochód oficera mającego łączność bezpośrednią z głównodowodzącym. Akcja była dobrze zaplanowana i zorganizowana.

Zauważył, że napastnicy mają na twarzach wąskie maski z filtrami oddechowymi, rękawice i ciasne kaptury. Niezakryty pozostawał tylko wąski pas wzdłuż oczu. Chronili się w ten sposób przed zarażeniem śmiertelnymi dla nich szczepami wirusów, na które miejscowi byli uodpornieni.

- Poniatno! Nam nado prodierzatsiajeszczopółczasa, potom uniczožit' tego kak možno bolsze, czto by im było trudno nas priesliedovat'!^[2] - oficer zakończył nadawanie. - Pojechali! - rozkazał kierowcy.

Kovař rzucił się naprzód i skoczył. W momencie, gdy kierowca puścił sprzęgło i pojazd ruszył, wylądował obok karabinu maszynowego, potężnym kopniakiem zmiotł Strzelca ze stanowiska. Drugi, siedzący na miejscu pasażera, odwrócił się błyskawicznie z pistoletem w dłoni. Kovař złapał go za włosy, szarpnięciem wyrwał z fotela i silnym uderzeniem posłał przez przednią szybę na maskę silnika. Wydawało się przez chwilę, że tamten się na niej utrzyma i wystrzeli, ale spadł pod koła, kiedy kierowca przyhamował. Kovař wśliznął się na jego miejsce i przydepnął wraźą stopę na pedale gazu. Przejeżdżając przez ciało oficera, jeep podskoczył, prowadzący puścił kierownicę, wyciągnął zza pasa nóż i zadał cięcie. Kovař nie zablokował ciosu, uchylił się tylko i natychmiast pchnął swoim nożem w oparcie fotela kierowcy, ostrze zagłębiło się w nim aż po rękojeść.

Mężczyzna zaryczał i sięgnął za siebie. Kovař zaparł się o deskę rozdzielczą i obiema nogami wykopał tamtego z auta. Szybko zajął miejsce za kierownicą, wykonał gwałtowny skręt, aby uniknąć zderzenia z parterowym domkiem, i dodał gazu.

Akcja się udała, chociaż Kovařa denerwowało trochę, że podjął ją bez zastanowienia i bez planu.

Przeciskając się pomiędzy grupkami biegnących jeńców i obserwując ciężarówki odwożące ludzką zdobycz, zdał sobie sprawę, że już wie, co chce zrobić.

- Wpieriod! U nich puszki ustanowlennyje nagruzowikach! Nie udierzimsia!^[3] - zachrypiał nagle odbiornik.

- Odstupajem! Newskij, dołozitie, k czortu, gdzie wy nachodities!^[4]
- Newskij jest, zdaje się, martwy - mruknął JFK do siebie, ominął przewrócone auto, rozjechał płot i wrócił na drogę.

Wyprzedził dwie grupy jeńców, zmuszonych przez napastników do biegu; dogonił wóz, którego skrzynia ładunkowa wypełniona była głównie kobietami. Teren wznosił się, nieprzyjaciel kierował się w lewo, na drogę prowadzącą przez wierzchołek Czerwonego Kamienia do Lichnova. Gdzieś tam ukryli zapewne środki techniczne, dzięki którym zdołali nieoczekiwanie przybyć w wielkiej liczbie. Patrząc na setki uprowadzonych ludzi, JFK zmienił swój plan. Początkowo chciał zobaczyć, dokąd napastnicy uciekają, ale w ten sposób nikomu nie mógł pomóc.

Przyśpieszył, czterocylindrowy silnik wszedł na wysokie obroty, skorzystał z ostatniej wolnej przestrzeni przed stromym wzniesieniem drogi i wyprzedził ciężarówkę załadowaną ludźmi. Jak dotąd nikt nie zwracał na niego uwagi, lecz wkrótce miało się to zmienić. Stwierdził, że rozjeżdżona, pełna wybojów droga przed nim jest pusta. Tego właśnie potrzebował. Motor ryknął jeszcze głośniejsze, gdy Kovař wydobywał z niego pełną moc. Chłodny wiatr owiewał mu twarz, powietrze po nocy stało się wilgotne, nie było w nim na szczęście kurzu. Przed sobą ani za sobą nie widział nikogo, ocenił, że ma już wystarczającą przewagę dystansu. Zaraz za zakrętem puścił gaz, nacisnął sprzęgło, wrzucił bieg, skręcił kierownicę i zaciągnął ręczny hamulec. Jeep stał teraz w poprzek drogi. Nie stanowił zbyt wielkiej przeszkody dla ciężkiego wozu, lecz na pewno go spowolni. Tego właśnie JFK potrzebował.

Musiał też zdemontować karabin maszynowy. Rzucił się ku niemu z niemiłym uczuciem. Wystarczył rzut oka, żeby zorientować się, że nie zna takiego mechanizmu mocującego. Po kilku manipulacjach zrozumiał na szczęście, że jest prosty i praktyczny. Wystarczyło wyciągnąć zawlecзки i usunąć dwa bolce. Z karabinem w jednej ręce i dwoma taśmami amunicyjnymi w drugiej zniknął pomiędzy drzewami, słysząc odgłos zbliżających się pojazdów.

Zza zakrętu wyłonił się charakterystyczny pysk ciężarówki, kierowca zdołał wprawdzie przyhamować, ale za słabo. Zgrzytnęły blachy i wielotonowy kolos zaczął popychać lżejszy wóz przed sobą. Kabina ciężarówki defilowała przed Kovařem, odsłaniając swój bok.

JFK klęczał, a taśma z nabojami połyskiwała złotawo w półmroku. Nacisnął spust, huk wystrzałów prawie go ogłuszył, pociski natychmiast rozpruły blachę i wszystko, co się w niej znajdowało. Ciężarówka przejechała jeszcze kilka metrów i stanęła, zamiast huku wystrzałów słyszał teraz przestraszone krzyki jeńców. Kovař, nie tracąc czasu, podbiegł do wozu.

- Wszyscy wysiadać, schowajcie się w lesie! - rozkazał, rozbijając zamek i wyciągając pierwszych więźniów z drucianej klatki.

Obliczał w duchu, ilu nieprzyjaciół może być w tych grupach, które wyprzedził. Tylko w dwóch ostatnich było ich co najmniej dziesięciu.

- Szybko! - ponaglał otępiałych ze strachu ludzi.

Wreszcie wszyscy zniknęli, JFK z karabinem maszynowym zajął miejsce w przydrożnym rowie. Wpadał do niego mały strumyczek. Agent leżał wprawdzie do połowy zanurzony w wodzie, ale mógł odczołgać się rowem w razie potrzeby, nie narażając się na ostrzał.

Już ich spostrzegł, cienie poruszające się na skraju lasu. Zbliżali się ukradkiem, ostrożnie. Nie byli to nowicjusze, poznał od razu. Sądząc po ich liczebności, grupy, które napotkał,

połączyły się. To znaczyło, że się przez nich nie przebiję.

Zaczął strzelać krótkimi, przerywanymi seriami. Zdawało mu się, że trafił co najmniej trzech. Taśma się skończyła. Odrzucił ją, potem z drugą, pełną, popęzł rowem, trzymając karabin na przedramieniu lewej ręki, a pistolet w prawej. Błoto chlupało z cicha, woda zmoczyła go całkowicie. Wrogowie mogli się pojawić z każdej strony, zapewne już go otoczyli. Z głośnym pluskiem skoczyła gdzieś żaba. Drgnął, spojrzał w tamtym kierunku i zobaczył głowę wynurzającą się z trawy. Oraz matowo połyskującą lufę. Nacisnął spust, człowiek upadł, jego pociski rozchlapały wodę tuż przed Kovařem. Zdał sobie sprawę, że gdyby nie żaba, byłby już martwy.

- Wolfa ubili! Napliewat' na wsio, pojdiom czieriez les!^[5] - rozkazał ktoś w pobliżu. - Iz goro da na nas nastupajut, a kapitan nie budiet ždat'. Smatywajemsia!^[6]

- Rasstrielat'plennykh!^[7]

Gdy Kovař zakładał pełną taśmę, zagrzmiały wystrzały. Ukląkł, zaciskając szczęki, i otworzył ogień; pierwsi, którzy chcieli wypełnić rozkaz, walili się na ziemię dosłownie przecięci pociskami, inni kryli się i pośpiesznie odpełzali. Droga nadjeżdżały kolejne ciężarówki. Kovař uważnie wypatrywał celów, starając się nie zwracać uwagi na kończącą się amunicję.

Nastąpiła krótka przerwa w walce. Wrogowie zerwali się i skokami usiłowali osiągnąć bezpieczną linię lasu. JFK znów nacisnął spust, kilka sylwetek upadło, ale wtedy skończyła się amunicja. Z pełnej taśmy zostały tylko dziesiątki mosiężnych łusek porozrzucanych dookoła. Nieprzyjaciele zniknęli.

Wyczerpany JFK położył się na trawie i patrzył w niebo. Udało się, ta szalona akcja się powiodła. Poczł ogromne zmęczenie, w ciągu kilku minionych godzin stracił wiele sił. Odpoczywał, oczekując przybycia ludzi Profa. Musiał jednak uważać, żeby go przez pomyłkę nie zastrzelili. A mogło się tak stać.



John Kovař siedział na drewnianym krześle pod ścianą i z minimalnym zainteresowaniem śledził burzliwą debatę, jaką toczyli pozostali zgromadzeni w sali. Od momentu odparcia ataku upłynęły niecałe dwie godziny i nadal wszędzie panował chaos. Ludzie, z którymi spotkał się na wzgórzu, nie należeli do armii, stanowili naprędce sformowany oddział samoobrony obywatelskiej, który na terenie fabryki utworzył i uzbroił Roman Krystal. Dzięki jego trzydziestomilimetrowym działkom ustawionym na

ciężarówkach udało się stosunkowo szybko odeprzeć atak.

- Pan pójdzie do kwarantanny - doktor Kaňkova w towarzystwie dwóch pielęgniarek starała się wyłączyć hałaśliwie dyskutującego mężczyznę z gromadki pozostałych.

Kovař nie dosłyszał jego odpowiedzi, ale gest, jaki tamten wykonał, wyglądał jednoznacznie.

- Naruszył pan zasady kwarantanny!

Tomaš Prof wygłosił swój zarzut niezbyt donośnie, żeby był słyszany tylko w najbliższym otoczeniu. To wystarczyło. Szeptana informacja, jak kręgi na wodzie, rozszerzała się wśród wszystkich obecnych.

- Koniec z kwarantanną! - zaprotestował mężczyzna. - Nie został tu kamień na kamieniu, a pan będzie mi tu truć o jakiejś kwarantannie! - krzyczał coraz głośniej, czując się przez to coraz pewniej.

- Nie, nie będę truć - cicho odparł Prof.

Jego ruch był tak naturalny, tak oczywisty i tak szybki, że JFK prawie go nie dostrzegł.

Nagle w ręce dowódcy pojawił się pistolet automatyczny, którego lufa opierała się o pierś krzykacza.

Rozgwar zmienił się w grobowe milczenie.

- Ma pan dwie możliwości. Posłuchać polecenia doktor Kaňkovej, szefowej stacji epidemiologicznej państwa Kopřivnice-Frenštát-Veřovice, albo nie posłuchać. To wszystko. Prof mówił spokojnie, bez cienia napastliwości, co czyniło jego wypowiedź jeszcze groźniejszą.

Mężczyzna ucichł i bez słowa dał się odprowadzić pielęgniarce w maseczce na twarzy.

- To dotyczy również wszystkich, którzy opuścili strefę czwartą lub którzy zostaną przez lekarzy uznani za zagrożonych.

Debata przygasła, jakby zorganizowane działania personelu medycznego wprowadziły w nią element ładu.

Kovař stwierdził, że większości obecnych jak dotąd nie napotkał. Podczas swego pobytu w tym świecie przywykł do ludzi w kombinezonach roboczych lub znoszonych ubraniach. Obecni w sali byli lepiej odziani, wyraźnie należeli do notabli miasta. Pomyślał, że ten świat bardzo różni się od jego, ale równocześnie pewne zasady pozostały takie same. Ci najważniejsi mieszkali w strefie pierwszej, najlepiej chronieni przed możliwością zarażenia. Istniały wyjątki, na przykład Krystal, który w kombinezonie poplamionym olejem, a może i krwią, rażnym krokiem wszedł do sali. Towarzyszyło mu kilku ludzi o podobnym wyglądzie. Nie przypominali go posturą, lecz sposobem zachowania. Kovař zastanawiał się przez chwilę, kim mogliby być, i nagle zrozumiał. Ci ludzie nie mieli w zwyczaju dokonywać zmian za

pomocą wydawania rozkazów, zmieniali świat, wykorzystując siłę swoich osobowości, popartą wiedzą i sprawnością maszyn.

- Jesteśmy w komplecie - oznajmił Tomaš Prof na widok Krystala, przechodząc ku zestawionym stolom, tworzącym prowizoryczne prezydium.

Sala należała do fabryki i wielokrotnie już służyła jako miejsce zgromadzeń większej liczby ludzi.

Kovař przestał przyglądać się obecnym i wrócił myślami do uskakującej przed nim żaby i ciemnego zarysu głowy napastnika. Życie zawdzięczał łutowi szczęścia. Pomacał siniaki, które pomimo najwyższej jakości kamizelki kuloodpornej pojawiły się w miejscach trafień pociskami nieprzyjaciela. Mimo że miał lepsze wyposażenie, nigdy nie odczuł tak silnie własnej śmiertelności, nawet w Gwatemali, Iraku czy Libanie. Wszystko odbyło się zbyt szybko, bez planowania i przygotowań. Działał instynktownie, w miarę możliwości jak najskuteczniej. A do tego skok żaby i dwa szybkie strzały. Być może przyjdzie mu zginąć w tym dziwnym, śmiercionośnym świecie, ale z własnego wyboru, więc nie było sensu się uskarżać.

Przyszło mu do głowy, że te czarne myśli mogą być rezultatem wyczerpania organizmu i reakcją komórek na sztuczne przyspieszenie rekonwalescencji. Najlepiej by zrobił, biorąc ciepłą kąpiel, zjadając dobrą kolację i kładąc się spać. Albo mógłby chociaż porządnie się najieść i wypić dwa kufle piwa. A zamiast tego siedział tutaj, czekał nie wiadomo na co i rozmyślał.

- Ze wstępnych informacji wynika - usłyszał głos Profa - że brakuje około dwóch tysięcy ludzi.

- Zabitych? - zapytał zwalisty grubas w marynarce fatalnie dobranej kolorystycznie do spodni.

Z pewnością ubierał się w pośpiechu. Kovař zapamiętał to sobie. Tego człowieka atak wyraźnie zaskoczył.

- Nie, panie Bednar - odparł kapitan. - Dwa tysiące uprowadzonych, zabitych mamy około setki.

- Piraci-handlarze niewolników - oznajmił Krystal - uprowadzili dwa tysiące ludzi na sprzedaż. Musimy ich uratować, póki czas.

- Jak?! Przecież już odlecieli! - zakrzyknął mężczyzna w dwurzędowej marynarce i meloniku, który trzymał teraz w ręce.

Przypominał Kovařowi akwizytora, i to dobrego, sądząc po jakości jego ubrania.

- Tak - potwierdził Prof. - Na południe od Lichnova zauważyliśmy cztery odlatujące

statki powietrzne.

- Mamy własnego „anioła”, panie Buček, praktycznie gotowego do lotu - oznajmił Krystal. Potężny technik z trudem maskował rozpierającą go wściekłość.

- To tylko jeden statek powietrzny! A to są piraci! Uzbrojeni! Nie możemy ryzykować utraty maszyny, na której zakup całymi latami oszczędzaliśmy pieniądze - protestował Buček.

Kovař zauważył potakiwania, desperackie spojrzenia i sporo oznak niezgody.

- Więc mamy tych ludzi spisać na straty? - zapytał Krystal. - Dwa tysiące naszych? Pozwolimy ich wywieźć nie wiadomo dokąd, narazić na śmierć skutkiem zarazy, a tych, którzy przeżyją, zrobić niewolnikami aż do końca ich dni?

Jego głos nabierał siły, patrzył prosto w oczy otaczających go mężczyzn, należących bez wątpienia do Rady Miejskiej.

- Nie, oczywiście, że nie - ustępował Buček wobec tak jasno postawionej sprawy. - Musimy ich ratować! Trzeba to przedyskutować i Rada w pełnym składzie zadecyduje, co przedsięwziemy - powiedział Krystal z wyraźną ulgą.

Tłoczący się wokół ludzie gorliwie potakiwali.

Kovař wielokrotnie widział takie sytuacje, kiedy nikomu nie chciało się nadstawić karku i ryzykować kariery dla zdecydowanej akcji. Na ogół debatowano i rozważano wszystkie za i przeciw tak długo, aż było za późno. W końcu wszyscy klepali się po plecach i zapewniali nawzajem o właściwym rozwiązaniu.

- Ze względu na atak obowiązuje tryb doraźny - kapitan Prof zdecydowanie uciął dalsze dyskusje. - Panie Krystal, ile czasu pana zdaniem potrzeba do osiągnięcia przez statek powietrzny gotowości do lotu?

- Już jest gotowy, ale biorąc pod uwagę konieczność uzupełnienia paliwa, zapasów i amunicji, jakieś osiem godzin.

- W porządku - kiwnął głową Prof. - A ludzie?

- Wystarczą mi moi technicy - oznajmił Krystal.

- Mimo to dam wam swojego człowieka jako uzupełnienie - powiedział kapitan i wskazał gestem swego adiutanta, porucznika Jankisa.

JFK natychmiast zrozumiał cel tego posunięcia. Kapitan obawiał się, że ktoś może przeciwstawić się jego autorytetowi i przeszkodzić w odlocie przy użyciu przemocy.

- Moi ludzie przeczesują teren, szukając nieprzyjaciół, którzy być może tu pozostali. Wszyscy powinni wrócić do swoich domów. Ogłaszam kwarantannę. Odwołać ją może tylko doktor Kaňkova na podstawie własnej decyzji.

Ktoś zaprotestował, Prof skinął na jednego ze swych ludzi, który zdjął karabin z ramienia i wycelował w krzykacza.

- Proszę odprowadzić pana Błażka do więzienia pod budynkiem sztabu - rozkazał.

To wystarczyło, aby wszyscy się uspokoili, a Prof opanował sytuację.

Ludzie zaczęli się rozchodzić, jedni do domów, zaś inni wypełnić rozkazy, których im nie skąpili podwładni Profa.

Dowódca armii podszedł do Kovařa.

- Co z pańską... siostrą? - zawahał się nad określeniem doktor Lavassi, lecz wyraźnie zdecydował się podtrzymać wersję pierwotną, z którą dwoje agentów przybyło do Koprivnic.

- Wyciągnąłem ją z więzienia. Została ranna, ale tam, gdzie odeszła, zatroszczą się o nią właściwie - John zdecydował się powiedzieć prawdę.

Praktycznie nie wykroczył przeciw zasadom utajnienia, a nie chciał okłamywać człowieka, który zaryzykował życie, żeby mu pomóc.

- To dobrze - powiedział po chwili Prof. - Twierdza Hyvela spłonęła, znaleźliśmy tylko kilka trupów, nikogo żywego. Dokąd odeszła, pewnie mi pan nie powie?

Kovař pokręcił tylko głową.

- Czy wierzy pan w istnienie innych światów? - zapytał po krótkim namyśle.

- To możliwe, niektórzy ludzie dają temu wiarę - odparł Prof. - A jeżeli czystym przypadkiem istnieją, to czy są lepsze, czy gorsze od naszego?

- W moim świecie w odróżnieniu od waszego miało miejsce o wiele więcej wojen, w których zginęło mnóstwo ludzi, ale nigdy nie zdziesiątkowały go tak groźne epidemie jak te występujące tutaj. Ja już kiedyś odwiedziłem taki świat, który cały zamarznął i stał się lodowym piekłem.

- A więc są światy lepsze i gorsze - skonstatował Prof.

- Tak. Zasada, że na swój świat musimy sobie zasłużyć, obowiązuje wszędzie - JFK zacytował motto agencji.

- A pan co tu właściwie robi? Zakładając, że wierzę w pana wersję. - Na poważnej twarzy kapitana mignęła na moment iskierka humoru.

Kovař wiedział, że Prof mu wierzy. Wszystko to, co powiedział, uzupełniało obraz, jaki sobie o kapitanie sam wyrobił. Było to zgodne z wyposażeniem, umiejętnościami i działaniami Profa.

- Jestem czymś na kształt stróżującego psa. Pilnuję, żeby się tu ktoś nie zjawił, nie napełnił swojej puszką Pandory waszymi zabójczymi wirusami i nie otworzył jej w jakimś innym świecie - zdradził swoją rolę JFK.

- A co by było, gdyby przyszedł ktoś, kto mógłby nam pomóc? - zapytał Prof.

- Na swój świat musimy sobie zasłużyć sami, prawidła są jasne - przypomniał Kovař.

- Rozumiem - przytaknął Prof. - Nie zechciałby pan popatrzeć na naszego „anioła”? Jak dotąd stanowił tajemnicę, która właśnie wyszła na jaw. Budowaliśmy go dziesięć lat, jest ukochanym dzieckiem Krystala i dumą nas wszystkich. Miał nam pomóc się wzbogacić, umożliwić niezależne kontakty handlowe z innymi małymi państwami w okolicy.

- Chętnie. Oprócz tego statku powietrznego, który niedawno przyleciał w celach handlowych, widywałem takie tylko na obrazkach - odparł JFK.

Przed oczami pojawiły mu się czarno-białe fotografie płonącego sterowca „Hindenburg”, największego i najlepszego statku powietrznego, jaki kiedykolwiek zbudowano.

W jego świecie miało to miejsce w 1937 roku, tutaj najwyraźniej nigdy.

Wyszli z sali i wkrótce dotarli do wewnętrznej części fabryki. Kovař dopiero teraz zauważył, jak wielkie są hale, w których stały ciężarówki w różnych stadiach montażu, nieco dalej wznosiła się budząca respekt wysoka konstrukcja pieca, a poza nim gigantyczna bryła hangaru.

- Modłę się, żeby udało się uratować tych ludzi. To, co się stało, jest wynikiem mojego błędu, jestem odpowiedzialny za obronę miasta i życie jego mieszkańców - powiedział Prof na wpeł do siebie. - Weźmy auto, na piechotę to dobry kwadrans drogi - oznajmił nagle i podszedł do sześciokołowca bez kabiny, z dwoma fotelami i motorem bez omaskowania.

- Atak był bardzo dobrze przeprowadzony, napastnicy doskonale orientowali się w terenie, znali układ dróg, wiedzieli, gdzie wywieźć jeńców - oświadczył Kovař. - Bardzo dokładnie wyczuli moment odwrotu, żeby uniknąć zbyt dużych strat.

- Niezwykle nam pomogły działa na ciężarówkach - powiedział Prof, gdy ich pojazd ruszał. - Sądzi pan, że piraci mieli pomocników wewnątrz miasta? Czy możliwe, że mamy między sobą zdrajcę?

- Tak - potwierdził JFK. - O ile dobrze rozumiem, pojawienie się statku powietrznego naruszyłoby dotychczasowy status quo. Obszarnicy, przede wszystkim Hyvel, straciliby wpływy.

- Oni też mieliby zyski z handlu - sprzeciwił się Prof. - Wszystkich informacji, których potrzebowali łowcy niewolników, mogli im dostarczyć podróźni, tacy jak na przykład pan.

Przejeżdżając przez tory kolejki wąskotorowej, obaj zamilkli, ale niepotrzebnie. Duże koła pojazdu i dobre zawieszenie łatwo poradziły sobie z przeszkodą.

- Niemniej jednak myślę, że ma pan rację, w ataku pomagał ktoś z miasta. Wszystkie ślady prowadzą do Hyvela. Jeśli wziąć pod uwagę, że musiał jakoś skontaktować się z piracką

armią, zapewnić sobie szczepienia przeciw ich wirusom... to rzeczywiście mogło zająć całe lata.

- Hyvel musiał być dobrym organizatorem. A czy znaleziono jego zwłoki? - chciał wiedzieć Kovař.

- Jakies ciało znaleźliśmy - potwierdził Prof. - Niestety, pod jego posiadłością zgromadzono duże zapasy benzyny. - Wzruszył ramionami. - Zostały tylko kości. Te większe.

Zatrzymali się przed ogromnym hangarem wznoszącym się wysoko ku niebu, zdawało się też, że nieskończenie długim. Ściany i dach tworzyły cienkie blachy przynitowane do stalowych żeber stanowiących szkielet konstrukcji. Wyblakłe zacieki farby świadczyły o stałej konserwacji hali.

Kovař pomyślał, ile energii, materiałów i robocizny zainwestowali mieszkańcy w projekt budowy statku powietrznego. Poczul dla nich podziw. Nie chcieli żyć izolowani w pełnej wirusów dziczy, nie chcieli być zależni od innych. Starali się wziąć sprawę w swoje ręce.

Prof przeszedł przez małe drzwiczki w ogromnych wrotach, będących praktycznie całą ścianą hangaru. JFK podążył za nim i przystanął we wnętrzu.

Nie był przygotowany na widok czegoś tak olbrzymiego. Czym innym było obserwować z pewnego dystansu unoszący się w powietrzu sterowiec, a całkiem czym innym patrzeć na niego z bezpośredniej odległości. W porównaniu z ogromnym cygarem o średnicy blisko pięćdziesięciu metrów i długości ponad ćwierci kilometra wszystko wydawało się nieznaczące, nieważne i drobne.

- Wspaniały, prawda? - głos Profa wyrwał agenta ze stanu bliskiego osłupieniu.

Kovař wyczul w słowach kapitana zadowolenie i dumę. Słuszną dumę. Doskonale aerodynamiczny kształt kolosalnej maszyny latającej w porównaniu z drewnianymi domami, permanentnie naprawianymi płotami i drogami z ubitej gliny wyglądał jak nie z tego świata.

- Wspaniały - przytaknął Kovař.

- Chodźmy popatrzeć, jak przebiegają przygotowania.

Powoli przechodzili obok sterowca, aż Kovařa rozboleła szyja od ciągłego zadzierania głowy.

Z korpusu wystawało tylko sześć podobnych do małych skrzydeł gondoli zaopatrzonych w śmigła oraz kabina dowodzenia o kształcie kropli. Wszystko pozostałe kryło się we wnętrzu kadłuba.

Romana Krystala znaleźli wśród palet z wyposażeniem i prowiantem. Pokrzykiwania pracujących ludzi mieszały się z wszechobecnym hałasem pomp, wielokrążków i silników.

Kovař zauważył odjeżdżającą opróżnioną cysternę, której miejsce natychmiast zajęła następna, a dwóch techników szybko podłączyło ją do wylotu wlewu paliwa. Tankowanie było w pełnym toku.

- Będziemy gotowi nieco wcześniej - oznajmił Krystal, nie czekając na pytania, i otarł spocone czoło.

- Jak wygląda montaż uzbrojenia? - zapytał kapitan.

JFK nadstawił uszu.

- Zainstalowaliśmy już obie trzydziestki, dwie dwudziestki, małe problemy mamy tylko z lewą wieżyczką strzelecką. Ale możemy je zlikwidować po drodze. Magazyn amunicyjny jest pełny. Cztery tysiące pocisków do większego i sześć tysięcy do mniejszego kalibru. Trzydzieści tysięcy nabojęw do wielkokalibrowych karabinów maszynowych instalowanych na stanowiskach strzeleckich - wyliczał Krystal, a jeden z jego pomocników przybiegł z wykazem wykonanych prac. - Poza tym amunicja dla załogi, zunifikowane 7,61, a o broń osobistą każdy stara się sam.

- Z jak liczną załogą wylatujemy? - zapytał Prof.

- Potrzebuję minimum dwudziestu ludzi personelu, choć wolałbym trzydziestu - odparł bez wahania technolog. - Pić mi się chce, cholera jasna - warknął, rozglądając się i obserwując pracę podległych mu ludzi. - Hej! W tym silniku wysiadła faza! Nie słyszysz tego? - krzyknął do młodego człowieka w okularach.

Ten natychmiast wyłączył napęd jednego z wielokrążków, dając równocześnie znak, że zrozumiał.

- Wszyscy robimy, co umiemy. - Krystal wzruszył ramionami, rozgrzeszając swego człowieka.

- Do obsługi każdej wieżyczki działowej potrzebujemy minimum czterech ludzi, co najmniej dziesięciu w przypadku konieczności desantu, dwunastu do kaemów... - wyliczał Prof. Na głos.

JFK dokładnie rozumiał, o co chodzi. Prof i Krystal podsumowywali zaopatrzenie niezbędne do wykonania zadania. Takie działania podejmowały w wielu przypadkach całe sztaby specjalistów od logistyki. Jeśli teraz coś zostanie zapomniane, może to zagrozić powodzeniu misji i życiu biorących w niej udział ludzi.

- Hej, słuchajcie, gdzie mam to wyładować? - zapytał kierowca niewielkiej ciężarówki ze skrzynią ładunkową wypełnioną kwiczącymi prosiaczkami.

- Wieprzowina na obiadek! - zawołał któryś.

- To są ulubieńcy doktor Kaňkovej. Jeśli się dowie, że mówisz o nich jak o obiadku, to

sama zje cię na śniadanie - ostrzegł go kierowca.

Do auta podbiegł młody człowiek w kombinezonie poplamionym niebieską farbą.

- One pójdą do sekcji kwarantanny, podjedź tam, na rampę. - Wskazał ręką kierowcy.

- Mogę przydzielić trzydziestu pięciu ludzi ze swoich oddziałów - zdecydował Tomáš

Prof. - A do tego piętnastu tęgich chłopów, którzy znają się na rzeczy i mają doświadczenie.

- Pan nie leci? - zdziwił się Krystal.

- Nie. - Kapitan pokręcił głową. - Bardzo bym chciał, o niczym innym nie marzę jak o uratowaniu tych ludzi, ale - znów z zalem potrząsnął głową - jestem dowódcą armii i muszę zabezpieczać nasze terytorium. To jeszcze ważniejsze zadanie niż ratowanie jeńców.

JFK szczerze mu współczuł. Rozumiał motyw Profy i wiedział, że jest to dla niego ciężka decyzja. Sam był profesjonalistą i zdawał sobie sprawę, że wybór Profy był słuszny.

- Rozumiem - powiedział po chwili Krystal, kładąc rękę na wystającym brzuchu. - Jednak potrzebujemy kapitana. Ja jestem tylko sternikiem. Poprowadzę naszego „anioła” nawet do samego piekła, ale na wojaczce się nie znam. Nie mogę dowodzić żołnierzami. Czy wyznaczy pan Jankisa?

Tomaš Prof nie odpowiedział, tylko spojrzał na Kovařa.

- Zdaję sobie sprawę, że to nie pana bitwa, lecz mimo to oferuję panu dowództwo nad moimi ludźmi i załogą Romana Krystala.

JFK to zaskoczyło, nie oczekiwał takiego obrotu sprawy.

- Aż tak mi pan ufa? - zapytał cicho.

- Tak - odparł Prof. - Wiemy, co pan zrobił dla nas wszystkich.

Spojrzał na Romana Krystala.

Technolog skrzywił się lekko.

- Doktor Kaňkova powiedziała mi, że to właśnie pan uratował ją i jej dziewczyny z tej ciężarówki na drodze. A ryzykował pan niesamowicie. Może pan liczyć na mnie i na moich techników.

- Skoro tak, przyjmuję pańską ofertę - zdecydowanie oświadczył Kovař, salutując Profowi.

Miał świadomość powagi zadania, którego się podjął. Wyprawy na nieoblatanym statku powietrznym przeciw o wiele silniejszemu i doświadczonemu przeciwnikowi.

Szanse na sukces, czy choćby na przeżycie, nie rysowały się zbyt różowo. Ale mimo to nie żałował. Właściwie przez całe życie wdawał się w podobne przedsięwzięcia, starając się ochraniać słabszych przed silniejszymi. Na jedno wychodziło, czy robił to w swoim świecie, czy tutaj. Kapitan John Francis Kovař, agent John Francis Kovař, ratownik John Francis Kovař - to zawsze był on.

- Niech pan tu poczeka, proszę - zwrócił się do niego Prof. - Zaraz nadejdzie Jankis z żołnierzami. Ja muszę już zająć się innymi sprawami.

Kovař był prawie pewien, że Prof obmyślił wszystko przedtem.

- Czy ma pan wykaz materiałów wojskowych albo w ogóle tych materiałów, które załadowano na pokład? Chętnie bym go przejrzał - zwrócił się JFK do Romana Krystala.

Technolog wykrzywił twarz z rozbawieniem.

- Wszedł pan w swoją rolę cholernie szybko. Josef! Przynieś kapitanowi wykazy! I pośpiesz się, bo inaczej skopie mi tyłek! - Zakończył wypowiedź wybuchem hałaśliwego śmiechu.

FLUKTUACJE



Andrea de Villefort zapukała do drzwi gabinetu swojej przełożonej, a że były otwarte, weszła szybko do środka. Bytewska debatowała właśnie z von Wonderem, oboje pochylali się nad dużym obrotowym ekranem. Skinęła agentce, wskazując jej krzesło, i wróciła do dyskusji.

- Proszę wybaczyć, profesorze, ale w tym, co mi pan pokazuje, nie widzę żadnego ładu.

Von Wonder popatrzył na nią zdesperowany, jak nauczyciel usiłujący wbić w głowę tępemu uczniowi, że dwa razy dwa jest cztery, a nie pięć. De Villefort uśmiechnęła się nieznacznie. Bytewska naprawdę nie była głupia, ale von Wonderowi nawet geniusze nieco mniejszego formatu niż on sam wydawali się ograniczeni.

A więc spróbujmy w ten sposób - zaproponował i szybko przebiegł palcami po klawiaturze. - Przeprowadźmy transformację, która problem nieco uporządkuje i odrzuci mniej ważne deformacje kontinuum.

Im szybciej pisał, tym bardziej jego słowa zmieniały się w niezrozumiałe mamrotanie podobne do zaklęć animistycznego szamana.

- No, gotowe. - Zadowolony von Wonder nacisnął Enter.

- Ciekawe. Teraz naprawdę widzę w tym jakiś ład - powiedziała zamyślona Bytewska. - Niech pani też popatrzy, komteso - poprosiła Andree.

Ta wstała i przyłączyła się do dwójki przy stole.

Pośród poruszających się chaotycznie punktów o różnych kolorach i natężeniu znajdowały się takie, które otoczone były świetlistą obwódką. Wydawało się, że poruszają się po podobnej, chociaż nieustannie zmieniającej kształt krzywej.

- Fluktuacje międzyświatowego kontinuum czasoprzestrzennego powodują zmiany trajektorii tych punktów - wyjaśnił von Wonder.

De Villefort zrozumiała, że poszczególne punkty przedstawiają światy, a może i ich rozwój w czasie. Ale to wszystko, co pojęła.

- A wokół jakiego centrum te światy krążą? Co jest ośrodkiem przyciągania? - zapytała Bytewska.

- Tego właśnie nie wiem - huknął von Wonder z niezadowoleniem. - Mam za mało danych, ale staram się to odkryć.

- Zobaczmy, czy ta transformacja będzie działać również w szerszym zakresie - powiedziała nagle Bytewska i przysunęła ku sobie klawiaturę.

Po wpisaniu kilku kodów obramowanie ekranu zmieniło kolor z niebieskiego na fioletowy. Oznaczało to, że Bytewska użyła prawa do zastrzeżonych informacji i sięgnęła po dane niedostępne dla profesora.

Znów pojawił się wirujący chaos, tym razem o wiele intensywniejszy. Bytewska ustąpiła miejsca profesorowi, żeby znów odegrał swoje analityczne czary.

- Tutaj to mamy, widzi pani, znów pojawiła się jakaś modelowa krzywa, chociaż mamy tych światów więcej - mruknął po chwili zadowolony von Wonder.

- Ma pan rację - zgodziła się Bytewska. - Zaprezentuję problem na naradzie i zobaczymy, co powiedzą o tym specjaliści. Przepraszam, że panią do siebie wezwałam w czasie pracy - zwróciła się do Andrei - ale powinnyśmy pomówić jeszcze o naszych postępach w sprawie, ehm, przedłużającej się misji Johna.

Von Wonder pograżył się w swoich liczbach, wynikach i teoriach, nie zwracając uwagi na rozmowę kobiet. Nie interesowała go.

Powróciwszy do swojej pracowni, de Villefort włączyła komputer. Program przesłany przez von Wondera już na nią czekał, jako agent senior korzystała z takiego samego zakresu dostępu do informacji jak profesor.

Przez chwilę obserwowała taniec światła na ekranie, potem przelogowała się i wpisała inne hasło. Tym razem obramowanie ekranu było czarne i gdy wywołała dane, nad którymi przedtem pracowała, musiała zmienić powiększenie, tak aby poszczególne punkty odpowiadały nie konkretnym światom, ale całym grupom światów o podobnym kierunku rozwoju, stosunkach wewnętrznych w dziedzinie technologii i magii. Nawet w tak szerokim zakresie transformacja von Wondera funkcjonowała i tym razem na ekranie wytworzył się jakiś trudno widoczny ład.

Andrea była agentką znacznie bardziej doświadczoną, niż większość ludzi sobie wyobrażała, i nauczyła się nie uważać niczego za dzieło przypadku. Wahala się tylko przez chwilę. To był orzech, którego sama nie umiała rozgryźć. Może da sobie z tym radę Wydział Analityki, ale nie zaszkodzi się przygotować, uzyskać pewnego wyprzedzenia. Wywołała strukturę sieci agencji, użyła swoich uprawnień do nieograniczonego dostępu i wprowadziła zmianę, która spowodowała, że von Wonder miał teraz do dyspozycji wszystkie dane dotyczące jego poszukiwań.

Dobrze znała tego człowieka. Kochał informacje i dane wszelkiego rodzaju i jeśli jakimś zrządzeniem losu dotarł do lepiej zastawionego stołu, niż mu się należał, ucztował w milczeniu, nic o tym nikomu nie mówiąc.

Wyłączyła komputer, przekręciła się z fotelem, położyła nogi na stole i przez chwilę

przyglądała się swoim paznokciom polakierowanym na karminowo. Sprzedawca obiecywał, że lakier utrzyma się w doskonałym stanie przez co najmniej dwa tygodnie, a poza tym stanowić będzie odżywkę dla paznokci i zwiększy ich odporność na uszkodzenia mechaniczne. Jednak ćwicząc z agentami techniki specjalne, używane w przypadku zagrożenia życia i konieczności walki gołymi rękami, tak niefortunnie kopnęła worek treningowy, że na paznokciu miała teraz wyraźnie widoczne zadrapanie. Była pewna, że każdy mężczyzna, który na nią popatrzy, od razu to zauważy. Nie zależało jej specjalnie na mężczyznach, ale elegancki wygląd ma swoje wymagania. Ten lakier kupiła w świecie dwudziestego drugiego wieku. Cholerny efekt Maurby'ego, zaklęła w duchu.

- Dziewczyny zawsze mają gorzej - wygłosiła głęboką prawdę, sięgając po katalog luksusowych delikatesów, żeby wybrać odpowiedni przysmak dla doktor Lavassi.

Wybudzili agentkę ze śpiączki farmakologicznej celem przesłuchania, a Andrea dobrze wiedziała, jak się człowiek w takim przypadku czuje. Na potężnego kaca wywołanego wielką ilością medykamentów i własnym procesem leczniczym najbardziej pomagała doskonała jakościowo czekolada, najlepiej belgijska. Właściwie czekolada pomagała na wszystko.

PIERWSZE KILOMETRY



Berenika”, jak Roman Krystal ochrzcił sterowiec podczas skromnej uroczystości, zakreśliła w powietrzu trzecią ósemkę wokół Białej Góry i Czerwonego Kamienia.

- Fajnie, zdaje się, że zaczynam ją wyczuwać - oznajmił Krystal stojący przy sterze wysokości.

Ster kierunku, umieszczony na ścianie kabiny dowódcy statku powietrznego, obsługiwał mniejszy mężczyzna z kręconymi rudymi włosami, którego główny sternik, jak Krystal sam się tytułował, nazywał Michałem.

Kovař stał obok nawigatora, wpatrującego się bez przerwy w mapy i określającego ich położenie na podstawie wskazań szybkościomierza i busoli. Swoje wyliczenia konfrontował z widokiem terenu pod sobą. Jak dotąd wszystko przebiegało łatwo, znajdowali się bowiem nad znanym obszarem. Później będą musieli polegać na mapie i przyrządach. Wszyscy się uczyli, dopóki było można.

Ostatnim obecnym w centrum dowodzenia sterowca był ojciec Martin Kali. Przyszedł do Kovařa z propozycją przyłączenia się do wyprawy. JFK nie wahał się ani chwili. Dobrze pamiętał, jak sprawnie Kali posługuje się katana, a przede wszystkim jak szybko i bezkompromisowo potrafi działać w potrzebie.

- Doktor Kaňkova? Poruczniku Jankis? Proszę się stawić w kabinie dowódcy - powiedział Kovař do mikrofonu.

Cały statek powietrzny został okablowany i przy każdym aparacie telefonicznym cały czas ktoś pełnił służbę.

- Niech pan wykona jeszcze jeden krąg wokół granic całego państwa - przykazał Krystalowi Kovař.

- Wykonuję - odrzekł technolog. - Przybliżmy się do gór - zwrócił się do sternika wysokości. - Może tam mocniej wiać, przygotuj się do ostrych manewrów. Wznieśmy się o trzysta metrów wyżej - wydał rozkaz.

Trzysta metrów to tylko trochę więcej niż długość „Bereniki”, przypomniał sobie Kovař.

Najbardziej oddalony od kabiny dowódcy był szpital i kwarantanna, ale Jankis i pani doktor dotarli na miejsce razem. Wyraźnie na nią poczekał.

Kovař nadal stał, a bez jego pozwolenia nikt nie usiadł. Przez chwilę wsłuchiwał się w szum powietrza opływającego ścianki kabiny. Odgłos pracy oddalonych od niej silników był prawie niesłyszalny.

- Napastnicy mają nad nami przewagę - JFK spojrział na zegarek - dwudziestu jeden godzin i trzydziestu minut. Jaką maksymalną szybkość możemy rozwinąć? - zwrócił się do Krystala.

- Sądzę, że około stu trzydziestu pięciu, ale założę się, że oni będą o wiele wolniejsi. Nie ma sterowca lepszego niż „Berenika” - odpowiedział główny sternik, nie odwracając oczu od okna.

Teren pod nimi szybko się wznosił, góry zbliżały się coraz bardziej, nawet za szybko z punktu widzenia Kovařa.

- Jeśli będziemy utrzymywać prędkość stu kilometrów na godzinę, przy prędkości dwudziestu godzin mogą znajdować się gdziekolwiek wewnątrz okręgu o średnicy czterech tysięcy kilometrów. My teraz znajdujemy się w jego środku. To daje nam bardzo niewielką szansę na ich odnalezienie. O ile nie wiecie czegoś, czego nie wiem ja - przemówił do swoich oficerów, jak o obecnych w kabinie myślał przez ostatnie kilka godzin.

Miał pewność, że muszą istnieć informacje, których nie zna, bo ani Krystal, ani Prof nie podejmowałoby takiego beznadziejnego przedsięwzięcia.

Jednak podczas gorączkowych przygotowań nie pozostało czasu na dyskusje.

- Nie zapominajmy o dwóch tysiącach ludzi, o ich zdobyczy - powiedziała Kaňkova. - Jeśli nawet napad był starannie przygotowany i oparty na pokrewieństwie szczepów wirusowych, którymi my, piraci lub końcowi klienci jesteśmy nękami, to i tak będą ich chcieli zaszczepić przeciw tym rodzajom wirusów, które są dla nich śmiertelnie niebezpieczne.

Kovař przytaknął i zamilkł, rozmyślając nad tym problemem.

- Dwa tysiące ludzi to jakieś sto sześćdziesiąt ton ładunku, nawet my byśmy tego nie unieśli - porucznik Jankis zwrócił się do Krystala.

- No tak - poświadczył technolog. - Niesie nas około dwustu sześćdziesięciu tysięcy metrów sześciennych helu, a to daje udźwig około dwustu sześćdziesięciu ton. Ale trzeba brać pod uwagę ciężar kadłuba, silników, paliwa, wody wyważającej... Na taki ładunek potrzebne są minimum dwa „anioły”. Niekoniecznie tak duże jak „Berenika”... Ster piętnaście do góry, przednie silniki pół mocy naprzód, ciąg śmigieł dziesięć do góry, tylnych odwrotnie, dziesięć w dół! - Krystal zmienił nagle ton i zaczął podawać rozkazy.

Sterowiec zadarł nos do góry.

- Wznosimy się o trzy metry na sekundę samym tylko wyporem aerodynamicznym, to bardzo dobrze - stwierdził Kovař z zadowoleniem.

- Tylne śmigła poziomo - zabrzmiał kolejny rozkaz.

- Sądzę, że selekcja zacznie się bardzo niedługo - trochę nerwowo oznajmiła Kaňkova,

kiedy sytuacja wróciła do normy.

Kovař zauważył, że oddycha nieco szybciej niż zazwyczaj. Na pokładzie statku powietrznego wszystko przebiegało trochę wolniej, niżby sobie życzył, ale równocześnie wystarczyło niewielkie spóźnienie, aby doszło do katastrofy.

- Co pani ma na myśli?

- Zaszczepię ludzi tymi wirusami, których piraci, a właściwie ich klienci obawiają się najbardziej - wyjaśnił sucho Krystal. - Oczywiście osłabionymi, żeby wytworzyć odporność. Ale i tak wielu z nich umrze.

- Ilu?

- Zależy od poziomu techniki, jeśli jest na wysokim poziomie, to dziesięć, dwanaście procent.

Dwustu, dwustu pięćdziesięciu martwych tylko na początek, pomyślał Kovař.

- Jeśli piraci dokonają prawidłowego wyboru - po raz pierwszy do rozmowy wtrącił się ksiądz. - Są przecież rodzaje zarazy, które pozostają tak samo śmiertelne jak przed stu laty. W takim przypadku nawet po szczepieniu umrze minimum połowa ludzi. A prawdopodobnie więcej.

- Taa - zgodził się zachmurzony Krystal. - My straciliśmy jedną czwartą. Jeden z każdej czwórki - oznajmił bez jakichkolwiek wyjaśnień.

Technolog wyraźnie wspominał swoją przeszłość. Kovař miał nadzieję, że z czasem dowie się o tym więcej. Nie był ciekawy tajemnic Krystala, ale znając je, mógłby lepiej użyć umiejętności i doświadczenia towarzysza.

- Te dwa tysiące ludzi jest teraz uwięzionych w dużych klatkach z prętów. Dno też jest z prętów - zaczął Krystal.

Nie spuszczał przy tym wzroku z przestrzeni przed statkiem powietrznym, skupiony, z nieporuszoną wyrazem twarzy, jednak w jego głosie dało się słyszeć lekkie drżenie.

- Spiesz się, więc zaszczepię ich od razu przy załadunku. Ludzie będą robić pod siebie, wymiotować, krwawić, wszystko to spadnie na dół. Wylądują na upatrzonym miejscu gdzieś w pobliżu wody i pozbędą się pierwszej partii ludzi, którzy tego po prostu nie przeżyją. Albo na miejscu, albo podczas dalszego lotu zaaplikują im kolejny szczep. Stosownie do tego, jak bardzo będą się śpieszyć, dadzą ludziom odpowiedni czas na wytchnienie. A potem władają w nich wszystko naraz.

- A gdzie pan zrobiłby pierwszy postój? - zapytał Kovař, przechodząc do pulpitu nawigacyjnego z mapami.

- Janie? Potrzebuję zmiany - powiedział Krystal do telefonu i przekazał ster przybyłemu

na wezwanie. - Okrążaj to dalej, lataj nad naszym terytorium - nakazał.

Po chwili wszyscy skupili się nad mapą.

- Nie przypuszczają, że ktoś będzie ich ścigał - zaczął Krystal.

Kovař popatrzył na Jankisa.

- Nikt nie wiedział, że „anioł” jest już gotowy. Ani Rada Miejska, ani Hyvel.

- No tak, nie przypuszczają - zgodził się Kovař. - Najbliżej jest zbiornik wodny Sance. Jeśli polecimy nisko, żeby nas nie było widać z daleka, będziemy tam za niecałą godzinę, to zaledwie dwadzieścia pięć, trzydzieści kilometrów stąd.

- Albo Moravia - zauważył Krystal.

JFK przejrzał mapę i znalazł mnóstwo mniejszych obszarów wodnych. Jeśli piraci rozwijali prędkość około stu kilometrów na godzinę, to po upływie tej godziny wewnątrz okręgu o promieniu stu kilometrów mieli takich miejsc całe dziesiątki.

- Skąd pan ma pewność? Istnieje przecież mnóstwo innych możliwości - zapytał wprost.

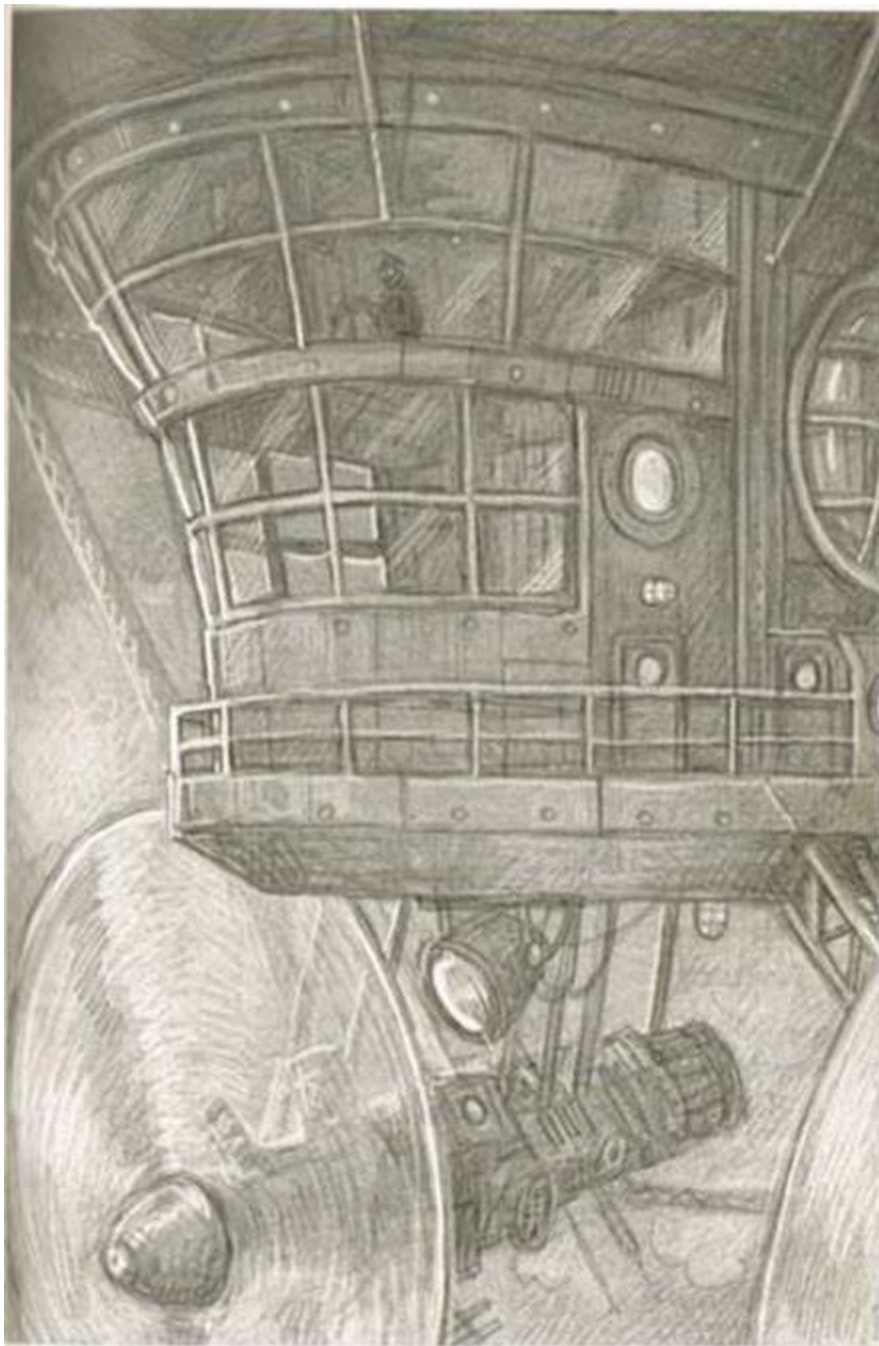
- Wszyscy boją się nieznanymi szczepów wirusów ukrytych w dzikiej okolicy - pośpieszyła z wyjaśnieniem doktor Kaňkova. - Dlatego ląduje się nad powierzchnią wody. Im większą, tym lepszą, ryzyko zarażenia się jest znacznie mniejsze.

- Jeżeli ich statki powietrzne mają około stu pięćdziesięciu metrów długości, potrzebne jest cholernie dużo miejsca, żeby zmieściły się wszystkie nad jednym zbiornikiem wodnym. Szkoda, że nie wiemy, jaką techniką dysponują - zasepił się Kovař.

Czuł się jak dowódca, który podejmuje decyzję na podstawie wyniku rzutu kostką.

- Kapitanie! - zwrócił się do niego Krystal, prostując się. Osadzony na zawiasach blat stolika z mapami podskoczył potrącony jego wydatnym brzuchem. - Ładunek liczy dwa tysiące ludzi. Za dziesięciu niewolników odpornych na miejscowe wirusy może pan całe życie spędzić wygodnie, i to w prawdziwym luksusie. Z dziesięciu odpornymi niewolnikami nieprzedstawiającymi dla właściciela ryzyka zarażenia jest pan bogaczem. To prawdziwy majątek. A jeśli trafi się między nimi jedna płodna kobieta... - nie dopowiedział zdania.

W Koprivnicach nie macie niewolników - przypomniał mu Kovař, nie spuszczać oczu z mapy.



- Tak - powiedział Jankis. - Jesteśmy wolnym miastem-państwem. Ale małym. Z tego, czego dowiedzieliśmy się od przyjezdnych i z kilku niezaszyfrowanych przekazów radiowych, wywnioskowaliśmy, że znaczenia nabierają duże centra, które mogą inwestować w budowę maszyn, w podnoszenie poziomu cywilizacyjnego. Nowa Francja, Boston, Katalonia to według naszej wiedzy najsilniejsze państwa i wszystkie oparte są na systemie niewolniczym.

Kovař przywołał z pamięci sprawozdania zaginionego agenta Murosa. Tak to naprawdę wyglądało.

- Turyn, w północnej Italii - dodał ojciec Kali. - Tam też tak jest.

- Albo w Niemczech, w Księstwie Hamburgskim - przypomniał sobie Kovař. - Skoro tak, to są dobrze uzbrojeni i mają nie dwa sterowce, ale zapewne całą flotyllę.

- Wiecie, ja myślę, że ci piraci - odezwała się doktor Kaňkova - nie pracują dla żadnego z państw, które wymieniliście. Poza Bostonem. Przez ostatnie dwadzieścia lat odwiedzali nas

podróżni z każdego z tych państw. Jesteśmy z nimi niekompatybilni, odporni na odrębne szczepy wirusów. Ale nieodporni na te, których oni są nosicielami. To działa w obie strony.

- Może to jakieś nowe państwo niewolnicze? - mruknął Kovař. - Gdzieś na wschodzie - dodał, przypominając sobie miękki rosyjski, który podczas walki słyszał z nadajników. - Najpierw sprawdzimy Sance. - Pokazał na mapie. - Ale nadlecimy tędy. - Wyznaczył trasę obok długiego na sześć kilometrów masywu góry Ondřejnik. - Jak duże jest to miasto? - Wskazał na Frydlant nad Ostravicami.

Według informacji podanej drobnym drukiem na marginesie mapy pochodziła ona z roku 1916.

- Tam nie ma nikogo żywego, w okolicy też nie. Znalazłam w kronice, że to, co wygubiło wszystkich mieszkańców tego rejonu, wliczając w to Ostrawę, nazywano Krwawy Płacz. Ludzie krwawili z oczu, potem z ust i umierali.

- Dobra - powiedział Kovař, jakby nie zauważając ponurego wydźwięku tego wyjaśnienia. - Nad byłym Frydlantem zawróćmy znowu na południe i nadlecimy nad Sance wzdłuż doliny Ostravice. Obserwatorzy mają być na posterunkach, obsługi dział w pełnym pogotowiu - zwrócił się do Jankisa.

- Wykonuję! - Porucznik zsalutował. Krzyknął kilka rozkazów do mikrofonu i wybiegł z kabiny po spiralnych schodkach.

- Pójdę zobaczyć, jak się miewa załoga, nie byli jeszcze w powietrzu, może to dla nich być trudne - oznajmił ksiądz.

- A pan? - Kovař rzucił mu lekko ubawione spojrzenie.

- Ja przeżyłem takie rzeczy, po których reszta jest zaledwie pogładzeniem piórkiem po policzku - odparł Kali z podobnym uśmiechem.

Kovař pozostał w kabinie wraz z głównym technologiem i załogą potrzebną do prowadzenia „Bereniki”.

- Michale, zmienię cię teraz, a ty idź i przynieś dzban z lodówki - rzucił Krystal, przejmując ster.

- Muszę jak najwięcej wiedzieć o naszym statku powietrznym i o maszynach nieprzyjaciela - odezwał się JFK.

Potężny mężczyzna przytaknął i sięgnął po dzban piwa, przyniesiony przez kolegę.

- Napije się pan? Dobrze schłodzone, akurat tak jak trzeba. Mój leżak - zaproponował Kovařowi.

John dopiero teraz uświadomił sobie, jak bardzo chce mu się pić.

- Ile mamy tego płynnego ładunku? - zapytał, ocierając usta z piany.

- Kilka beczulek by się znalazło - zaśmiał się Krystal i łyknął porządnie.

- Nie byłoby dobrze, gdyby ktoś się upił.

- Dwa razy po pół litra na chłopca dziennie? - spytał technolog. - Nic tak nie podnosi na duchu jak mój leżak.

- To brzmi rozsądnie - zgodził się Kovař i sięgnął po dzban.

Przyszło mu do głowy, że piwo to jedna z niewielu rzeczy, które w tym przerażającym świecie są lepsze niż u niego w domu. A dokładniej, piwo od Krystala.

- „Berenika” ma wzmocnioną konstrukcję, stalowy kil, szesnaście żeber duralowych usztywnianych stalowymi linami, piętnaście tysięcy litrów wody balastowej w osi podłużnej, dwa razy po pięćset w poprzecznej plus dwa razy po trzysta - technolog podawał te dane niemal z miłością. - Sześć silników, każdy o mocy sześciuset dziesięciu kilowatów. Jeśli idzie o silniki, jestem najlepszy. Są wyregulowane na regularną pracę, mają minimalną tolerancję, a na wolnych obrotach zużywają dosłownie krople paliwa. Paliwa natomiast mamy w zbiornikach około dwudziestu ton.

- Jaki zasięg nam to zapewnia? - przerwał mu Kovař.

- Zależy od parametrów lotu - odparł Krystal po chwili namysłu. - Przy prędkości ekonomicznej, lecąc trzydziestką, czterdziestką, jeśli nie będzie silnego przeciwnego wiatru, zdołalibyśmy przelecieć więcej niż połowę planety. Jeśli polecimy na pełnej mocy silników, będziemy często zmieniać wysokość i walczyć z niekorzystną pogodą, to obliczam zasięg na sześć, siedem tysięcy kilometrów.

Kovař kiwnął głową.

- A uzbrojenie? Jak z tym wyglądamy?

- Jedna wieżyczka z dwoma sprzężonymi działkami kalibru trzydzieści milimetrów, dwa razy po dwie dwudziestki. Nigdy nie słyszałem, żeby „anioł” miał zabudowane trzydziestki. Ale ja latałem przed dwudziestu pięciu, a właściwie nawet trzydziestu laty. Mogło się to zmienić, wie pan, wyścig zbrojeń, a więc...

- Wiem - przytaknął Kovař. - A dlaczego nazwał go pan „Berenika”?

- Tak miała na imię moja żona - rzekł Krystal. - Właściwie dziewczyna, którą chciałem pojąć za żonę.

Zamilkł, patrząc przed siebie. Ogromny sterowiec unosił się w powietrzu, jakby dwieście sześćdziesiąt ton było zaledwie piórkiem na wietrze.

Kovař nasłuchiwał meldunków z czterech stanowisk obserwacyjnych i sam też obserwował okolicę.

Kiedy w końcu oblecieli masyw Ondřejníka i skierowali się prawie dokładnie na

południe, zobaczyli przed sobą zygzakowato płynącą rzekę, ciągnącą się od gór w kierunku południowo-wschodnim. Krystal utrzymywał „Berenikę” około czterystu metrów nad pofałdowanym terenem, kierując się ku otwierającej się przed sterowcem dolinie pomiędzy potężnymi wałami dwóch gór. Według mapy na północy znajdowała się Łysa Góra, na południu podwójny wierzchołek Małego i Dużego Smerku.

- Niech się pan przygotuje na szybką reakcję - zwrócił się Kovař do technologa.

Ten przytaknął i zapytał:

- Czy mam lecieć szybciej?

- Nie, raczej wolniej, ale byłoby dobrze, gdybyśmy mogli maksymalnie przyspieszyć w razie potrzeby.

Krystal przekazał ster pomocnikowi i podszedł do schematu statku powietrznego wyposażonego w kilkadziesiąt żaróweczek.

- Maszynownia? Obsługa pomp? Zaczniście przepompowywać wodę z przednich komór do tylnych, żebyśmy lecieli z uniesionym dziobem z przechyłem pięciu stopni, będziemy to kompensować kątem natarcia sterów i pochYLENIEM OSI ŚMIGIEŁ.

Kovař poczuł, jak gigantyczna maszyna, posłuszna rozkazowi jednego człowieka, zmienia swoje położenie w przestrzeni. Sam skorzystał z połączenia telefonicznego i wywołał Jankisa.

- Obserwatorzy w najwyższej gotowości, zbliżamy się do niebezpiecznego terenu.

Zawahał się na moment. Jakiegokolwiek działania z użyciem broni, co więcej: z nową techniką i pobieżnie wyszkoloną załogą, stanowiły ryzyko, ale musieli być przygotowani.

- Zająć stanowiska strzeleckie, każdy obserwuje swój sektor.

Po potwierdzeniu przyjęcia rozkazu wrócił do studiowania mapy. Jak dotąd rozciągała się pod nimi bezludna, dzika okolica, jesionowe i bukowe pralasy bez jakiegokolwiek śladu ludzkiej działalności. Stare tory kolejowe widoczne były tylko od czasu do czasu. Zieleń zasłaniała drogi na coraz większych odcinkach, wzgórza wznosiły się coraz wyżej, największe z nich zaledwie kilkaset metrów pod „Bereniką”.

Mapa była dokładna, ale z powodu wielokrotnego przerysowywania utraciła część detali. Kovař odnajdował poziomice, starał się odcyfrować starte lub niejasno opisane liczby oznaczające poszczególne wierzchołki wzgórz.

Zostawili za sobą bezludne Ostravice, miasteczko prawie wchłonięte przez las, dotarli do pierwszego szeregu wzgórz. Jeden z nich nazywał się Smrčina, nazwy drugiego mapa nie podawała.

- Jeżeli nas oczekują, to tylko w wąskim obszarze jeziora Šance, które ciągnie się ku wschodowi, to jest po naszej lewej ręce - powiedział Krystal.

Kovařowi również wydawało się to prawdopodobne.

- Potrzebny byłby nam obserwator na samym dziobie, żeby nas jak najwcześniej ostrzegł - oznajmił.

- Nie ma gdzie go umieścić - odparł krótko Krystal, skupiony na sterowaniu.

Wzgórza po obu stronach kadłuba wydawały się wznosić niebezpiecznie blisko. Kovař znów uświadomił sobie gigantyczne rozmiary „Bereniki”. Wystarczy silniejszy podmuch wiatru, a będą kłopoty.

Po lewej otworzył się widok na małą dolinę, którą zamykała Łysa Góra.

Kovař przyjrzał się dolinie. Była płytka. „Berenika” czy inny statek powietrzny jej rozmiarów z trudem tylko mógłby do niej wlecieć, ale byłaby dobrze widoczna już z daleka.

- Nieprzyjaciel na dziewiątej - zameldował obserwator pełnym emocji głosem. Żaróweczka kontrolna błysnęła, sygnalizując meldunek z lewego stanowiska obserwacyjnego.

Kovař skoczył ku oknu, lecz nic nie zobaczył.

- To mały „aniołeczek” w maskujących barwach. Wznosi się.

JFK nadal nic nie widział.

- Wieżyczka numer jeden, ognia! - rozkazał.

Natychmiast odezwał się huk podwójnie sprzężonych trzydziestek, pociski wyrwały szeroką bruzdę w powierzchni lasu.

Teraz zobaczył niewielki sterowiec unoszący się nisko nad wierzchołkami drzew. Jego kadłub pomalowany kolorem khaki zlewał się z tłem.

- Gdy znajdzie się w polu widzenia wieżyczki numer trzy, ognia! - rozkazał JFK.

„Berenika” zatrzęsała się, gdy do akcji wkroczyła druga dwójka działek, w odwecie nieprzyjaciel również otworzył ogień.

Nagle nad lasem pojawiła się kula płonących gazów.

- Ekspłodował - powiedział zaskoczony JFK.

- No - odparł Krystal, nadal zajmujący się sterowaniem. - To tandeta napełniona wodorem. Po prostu tylna straż, mogli sobie pozwolić na jej stratę.

JFK wrócił do równowagi.

- Przerwać ogień, pozostać w gotowości - rozkazał.

Miał jednak wrażenie, że nad ukrytą wśród wzgórz powierzchnią jeziora Sance czekają ich dalsze niespodzianki. To była po prostu zasadzka. Gdyby nieprzyjaciel szykował atak na dużą skalę, nie ostrzegałby o swojej obecności.

- Mieliśmy szczęście, że nas nie trafili - powiedział JFK, kiedy „Berenika” zwolniła nad powierzchnią wody.

Krystal pokręcił głową.

- Nie takie znowu wielkie, byli ponad kilometr od nas i trochę niżej. Trzeba niemałej wprawy, żeby trafić z kaemu nawet takiego olbrzyma jak my. Ważna tu jest ocena odległości.

Kovař uznał, że technolog zbyt lekceważy możliwość trafienia sterowca.

- A gdyby im się udało? - zapytał.

- Od trafienia z takiej pukawki się nie posramy - syknął pogardliwie Krystal, obracając sterem w prawo. - Płaszcz zewnętrzny jest podwójny. Wydaliśmy majątek na fedeks, polimer produkowany przy pomocy jakichś pajaków w dalekiej Katalonii. Małe dziury zasklepiają się raz-dwa.

JFK nie pytał dalej, uważnie rozglądał się po okolicy. Kabina sterowania umożliwiała ogląd otoczenia w zakresie trzystu sześćdziesięciu stopni. Słońce opuszczało się za spore wzgórze, cienie się wydłużały.

- Za chwilę będzie ciemno, myślę, że powinniśmy zakotwiczyć - zaproponował.

Umiejętnością aeronautyki nie mógł się pochwalić.

- Tak, powinniśmy to zrobić - potwierdził Krystal.

Kovař usłyszał w głośniku, że Jankis instruuje ludzi, w jaki sposób mają obserwować okolicę. Chciał, żeby „Berenika” przemieściła się w miejsce o rzadszej roślinności, najlepiej nad obszar zupełnie jej pozbawiony, nad sterty głazów i pozostałości drogi, otaczającej niegdyś cały zbiornik wodny.

Kovařowi przypomniało to, jak silnie tutejsi ludzie mają wszczepione zasady minimalizowania niebezpieczeństwa zarażenia śmiernymi wirusami. Wśród zieleni kryły się żywe organizmy i owady, mogące być źródłem zakażenia.

- Stoimy - oznajmił sternik wysokości. - Wysokość pięćdziesiąt metrów nad powierzchnią.

- Ciąg pionowy do osiągnięcia dwudziestu metrów - zarządził Krystal.

Kovař zrozumiał, że nie chce wypuszczać drogiego helu, ale nie mógł sobie wyobrazić, jak bez tego zdołają zastopować na określonej wysokości i zakotwiczyć.

- Pompować hel do zbiornika - padł kolejny rozkaz.

Do powolnego, prawie leniwego pomrukiwania agregatów dołączył jękliwy odgłos pracujących pomp.

„Berenika” pomału, jakby niechętnie opadała ku powierzchni wody.

- Dwadzieścia metrów - zameldował sternik wysokości.

- Kotwice rzuć - rozkazał Krystal.

Kovař spostrzegł, że z części kadłuba mieszczącej maszynownię wypadły sploty mocnych lin zakończonych dużymi pakunkami.

- To kotwice wodne - wyjaśnił technolog bez pytania. - Na końcu każdej liny znajduje się wór o pojemności dziesięciu metrów sześciennych. I niewielka pompa. Wór napełnia się wodą i utrzymuje nas na żądanej wysokości. Przed bocznym dryfem chronią zwyczajne małe kotwice, które możemy pozostawić przy odlocie. Teraz wyrównajcie wypór do wartości jednej tony i na tym koniec.

- W razie potrzeby wypuścimy wodę i polecimy do góry bez potrzeby uruchamiania silników - Kovař pojął sens wykonanych manewrów.

Wielki statek powietrzny obrócił się pod wiatr i unosił teraz nad wodą jak śpiący olbrzym.

- Poruczniku Jankis, obserwatorzy na stanowiskach przez całą noc, pełna kontrola całego perymetru. Za trzydzieści minut odprawa z udziałem dowódców drużyn. - JFK rozejrzał się po kabinie sterowania. Dla większej liczby ludzi była za ciasna i wypełniona mnóstwem delikatnych urządzeń.

- Do pana należy kajuta kapitańska, a ona jest większa - podpowiedział półgłosem Krystal. - Jest też jadalnia i skład.

- Odprawa w jadalni.

Krystal pokazał pusty dzban po piwie.

- A do kolacji każdy mężczyzna wyfasuje dwa pół litra piwa.

- Kapitanie? - odezwało się po chwili z głośnika. - Doktor Kaňkova uważa to za objaw dyskryminacji.

Johnowi wydało się, że słyszy tłumiony śmiech.

W porządku, każdy członek załogi dostanie taki sam przydział dwóch półlitrówek piwa, czy chce czy nie - poprawił swój rozkaz JFK.

PIĘKNA I BESTIA



Andrea de Villefort szła powoli przez podziemny garaż do swego auta, srebrzystego porsche GT3. Było to jej trzecie porsche z rzędu. Agentce podobało się, że wytwórca już od dziesięcioleci trzyma się tradycji i pozwala sobie tylko na modne zmiany kształtu karoserii. Jeszcze bardziej podobało jej się, że dobrze wygląda w tym aucie, a i z przyśpieszenia pozwalającego osiągnąć szybkość stu kilometrów na godzinę w niecałe cztery i pół sekundy również była zadowolona. Parkingowy kiwnął Andrei ręką ze swego okienka. Był to siedemdziesięcioletek, który wypatrywał za nią oczy i od czasu do czasu prawił komplementy z galanterią przekraczającą wszystkie, jakie dotąd słyszała. Otworzywszy drzwiczki, spostrzegła Franka Boormana, ładującego coś do swojego humvee.

De Villefort, patrząc na nieforemny wóz, który Boorman w jakiś sposób pozyskał z magazynów armii amerykańskiej, pokręciła głową. Może to było auto odporne na ogień karabinu maszynowego i zdolne przejechać przez każdy teren, ale powolne jak żółw, a prowadzenie go wymagało sporego wysiłku. Co oczywiście Boormanowi nie przeszkadzało.

Odwróciła się od swojego wozu i podeszła do Franka.

- Gdzie się wybierasz? Dziwne, że Bytewska nie wysłała cię na przymusowy bezpłatny urlop. - Przymrużyła porozumiewawczo oko. - Przywlokłeś przyjaciółkę na ewentualny udział w misji. - Pokręciła głową.

- To nie jest moja przyjaciółka, zaprosiłem Krystynę na kolację, żeby ostrzec ją przed ludźmi, od których w agencji aż się roi. Co to wyznają zasadę użyć i odrzucić - warknął Boorman, przekładając z wózka do auta srebrzyście błyszczącą tarczę.

- Okej, okej... - Andrea podniosła ręce w przesadnym geście kapitulacji. - Tylko żartowałam, jesteś jakiś naburmuszony.

- No tak, masz rację - przytaknął, ładując do bagażnika kolejne ciężary.

- Jedziesz do domu?

Boorman wydawał jej się zdecydowanie bez humoru.

- A tak, długo już tam nie byłem, ogród na pewno wygląda okropnie, a rybki, skoro się o nie troszczy młody Edik, to jeden Pan Bóg wie... - Postawił oczy w słupek, .ile równocześnie, po raz pierwszy w czasie tej rozmowy, udało mu się uśmiechnąć.

Andrea wiedziała, że Boorman ma dom w małej wiosce gdzieś na Wyżynie Czesko-Morawskiej.

- A jaką masz tam legendę, czarny człowiek w Czechach? - zapytała z powagą.

- Legia cudzoziemska - wyjaśnił. - Opowiedziałem jakąś historyjkę w gospodzie i bywalcom to wystarczyło. Nawet mnie tam lubią. W ogóle tutaj jest całkiem fajna ziemia - starał się mówić pogodnie, ale widać było, że jest czymś zatroskany.

- Na co wydajesz swoje ciężko zarobione pieniądze, to twoja rzecz, ale te ciągłe ćwiczenia w przypadku stuprocentowego cyborga mnie zaskakują. - Andrea pokręciła głową.

Na ten temat dyskutowali już kilkakrotnie. Dobrze wiedziała, że jego syntetyczne, ekstremalnie sprawne mięśnie potrzebowały obciążenia, żeby się nie zdegenerowały. Tylko że Boorman poświęcał się treningowi siłowemu z pasją szaleńca, daleko wykraczając poza ramy zaleceń agencyjnych lekarzy.

- Mnie to po prostu bawi. Gdy ćwiczę na granicy wydolności, wysilam się do maksimum swoich możliwości, czuję się bardziej człowiekiem - oznajmił nagle z nieoczekiwaną szczerością.

Andrea przytaknęła, nie wiedząc, co ma na to powiedzieć. Byli kolegami, raczej kumplami, lecz zawsze utrzymywali pewien dystans dla ochrony swojej prywatności.

- Cholera! - Boorman klepnął dłońią po kieszeni na piersi. - Zostawiłem w biurze karty do gry, które obiecałem Edikowi. Popilnujesz mi tego?

De Villefort przytaknęła znowu i za moment usłyszała już tylko spiesznie oddalające się kroki.

Przyjrzała się sprawnemu, ale spartańsko wyposażonemu samochodowi, przypominającemu swym wnętrzem raczej traktor, a potem popatrzyła na błyszczące tarcze ciężarków do ćwiczeń siłowych.

Syntetyczne mięśnie Boormana oparte były na technologii, która naśladowała naturalne tkanki, co oznaczało, że gdy dokonywał ekstremalnych wysiłków, jego mózg pracował tak samo jak mózg zwyczajnego człowieka. Nie posiadał żadnych elektronicznych bezpieczników, które mógłby wyłączyć i zyskać tym sposobem nadludzką siłę. Ekstremalne wysiłki okazywały się dla niego tak samo uciążliwe jak i dla niej, tylko że on swoich zdolności używał gdzie indziej. Chciała kiedyś sprawdzić, jaką siłą dysponuje cyborg zbudowany za pomocą technologii podobnej jak w przypadku Boormana, ale szybko dała temu spokój. Nie mogła założyć na sztangę masy, która by go choć odrobinę zmęczyła.

Przypomniała to sobie, gdy ostrożnie sięgnęła po tarczę, która według doświadczenia wyniesionego z siłowni powinna ważyć dwadzieścia pięć kilogramów. Nie mogła jej poruszyć, oceniła, że waży około siedemdziesięciu kilogramów. To oznaczało, że nie wykonano jej ze stali czy żelaza, lecz z czegoś o wiele cięższego, na przykład złota, platyny, a może irydu, mającego trzykrotnie większą masę właściwą niż stal. Ale był on prawie tak drogi jak złoto.

Wszystkie tarcze razem oceniła na oko na tonę. Agencja nie płaciła aż tak dobrze, żeby Frank mógł kupić sobie tonę złota. Boorman po prostu skombinował ten iryd w którymś ze światów, gdzie był tani.

De Villefort uśmiechnęła się pod nosem. Boorman okazał się taki sam jak wszyscy inni ludzie.

- Muszę lecieć - rzekła, widząc, że nadchodzi. - Aha, gdybyś przypadkiem zamierzał zabrać na przejażdżkę swoją koleżankę, Krystynę Rustową, powinieneś wypożyczyć inny samochód. W tym wybrudzi sobie ubranie. Jeśli chciałbyś moje porsche, to przez pewien czas mnie tu nie będzie - zaoferowała mu na pożegnanie.

- Tak myślisz? - Boorman przyjrzał się krytycznie swemu pojazdowi. - No może i masz rację, kupię coś nowego. Hammera H-i.

- No to fajnie, przyjemnego urlopu - powiedziała Andrea.

Miała uczucie, że już od dłuższego czasu nikomu nie udzieliła tak dobrej rady.

Wieczorem, po wyjściu z wanny, relaksując się przy kieliszku szampana, z prostej ciekawości zajrzała do Internetu, żeby sprawdzić, jaką to limuzynę chce Boorman kupić na miejsce swojego potworka.

Wyrwało jej się ciche westchnienie. Hummer H-i był cywilną, a ściśle mówiąc, nieco ucywilizowaną wersją tego cudu wojskowego, który już miał.

- Po prostu nikomu nie pomagać - powiedziała głośno, wznosząc oczy do nieba, w którym oprócz fizykalnych potworów von Wondera pomieszkiwali i bogowie. Nalała sobie drugi kieliszek i pogrążyła się w lekturze „Legandy o Gilgameszu” w oryginale. Ale do łóżka zabrała modne czasopismo z dwudziestego drugiego wieku. Oprócz średniowiecznej Japonii była to jej najulubiejsza epoka.

Właściwie jestem taka sama jak Boorman, uznała, odkładając czasopismo i gasząc światło.

Tuż przed zaśnięciem zrozumiała, dlaczego Frank był tak zdenerwowany. Z powodu Krystyny Rustovej jej postępującego szkolenia. Cyborgowi, który kiedyś, dawno temu, totalnie zlikwidował składającą się z robotów mafię, jaka opanowała jeden ze światów, naprawdę na dziewczynie zależało. Z tą myślą zasnęła, po raz pierwszy od czasu powrotu doktor Lavassi bez problemów. I pierwszy raz nie nawiedziły ją przed zaśnięciem obawy o los agenta Johna Francisa Kovařa.

DESANT ZDETERMINOWANYCH



Późnym wieczorem „Berenika” cicho skradała się przez doliny do akwenu wodnego oznaczonego na mapie jako Moravka. Cały dzień spędzili, oblatując masyw Beskidzki w poszukiwaniu śladu piratów. Krystal w tym celu wznosił maszynę na wysokość trzech tysięcy pięciuset metrów, co zapewniało widoczność na ponad dwieście kilometrów. Mimo to Kovař sceptycznie oceniał szanse odnalezienia uciekających statków powietrznych. Musieli ich wypatrywać na tle nieba, a mieli na pokładzie tylko jedną silną lunetę obserwacyjną. Poza nią dysponowali zwykłymi lornetkami o mniejszym powiększeniu.

Zarządzono tryb lotu nocnego, w kabinie nie paliło się ani jedno światło, żeby nie oślepić obserwatorów, działały tylko silniki przestawione na cichą pracę. Krystal zaręczał, że przy utrzymaniu poziomu tysiąca dwustu obrotów na minutę z odległości stu metrów nikt ich nie usłyszy, o ile nie będzie zupełnie bezwietrznie. A to w tej okolicy zdarzało się nadzwyczaj rzadko.

- Widać jakąś wyspę - mruknął Kovař.

- Na Morawce nigdy żadnych wysp nie było - odparł nawigator. - Ale już od dawna nikt tu się nie pojawiał.

- Widzę ją - upierał się Kovař.

- To sztuczna wyspa, na tratwach - odezwał się przez głośnik Jankis. - A naprzeciw niej na bliższym brzegu znajduje się świeżo wycięta polana. Obozowali tutaj.

Kovař poczuł chłód. Nie siedział w helikopterze ani w myśliwcu, nie mógł odskoczyć w ciągu kilku sekund. Za późno to zauważył.

Krystal patrzył na Kovařa, oczekując rozkazów.

- Gdyby tu na nas czekali, już by zaatakowali - stwierdził JFK. - Trzeba i tak sprawdzić. Zakotwiczyć, ale z możliwością natychmiastowego startu.

- Zrozumiałem - przytaknął technolog. - Kotwice wodne, podwyższyć wypór, śmigła i stery na schodzenie, silniki wyłączyć - wyrzucił z siebie serię rozkazów.

- Poruczniku Jankis, potrzebny mi silny oddział rozpoznawczy. Siedmiu najlepszych ludzi, ręczna broń, środki łączności - rozkazał Kovař.

- Kapitanie? - odezwała się doktor Kaňkova. - Przypominam o zasadach kwarantanny.

- Zrozumiałem - potwierdził Kovař. - Proszę się tym zająć.

Na zewnątrz pociemniało na tyle, że ogromny sterowiec stał się tylko cieniem

zastłaniającym gwiazdy. Słaby wiatr prawie nie wywoływał fal na powierzchni wody, od brzegu niesło się rechotanie żab, w powietrzu śmigały nietoperze. Kovař wyjrzał przez luk w podłodze.

Od powierzchni dzieliło go piętnaście metrów, ale w mroku odległość wydawała się większa. Spojrzał na siedmiu ludzi za sobą. Wszyscy ubrani w podgumowane kombinezony, nosili maski z filtrami i okrągłe okulary ochronne. Rękawice i spodnie ciasno obwiązane na wysokich butach. Kovař miał na sobie uniform, w jaki wyposażyła go agencja.

- Jest pan pewny, że nie potrzebuje maski? - zapytała jeszcze raz Kaňkova. Jej pomocnica, nieatrakcyjna młoda kobieta, z którą JFK już się zetknął, właśnie mu ją podawała.

- Nadal jestem czysty, prawda? - zapytał Kovař.

- Tak, wszystkie testy wypadają negatywnie, pański system odpornościowy to istny cud - potwierdziła pani doktor.

- No to nie chcę maski - z tymi słowy Kovař odrzucił nasączony krążek lnu, wilgotne plaśnięcie było wyraźnie słyszalne.

Poprawił przewieszony przez ramię automat i zjechał po linie w ciemność.

Woda wydała mu się lodowata. Pas korkowy bez problemu unosił go na powierzchni wraz z całym wyposażeniem. Kolejni zwiadowcy opuszczali się według ustalonej kolejności. Szósty z nich oprócz broni niósł aparat telefoniczny z cienkim, długim przewodem, a siódmy niezgrabną radiostację w szczelnej obudowie, na wypadek sytuacji awaryjnej. Kovař miał nadzieję, że pomimo kąpieli będzie nadal funkcjonować. Tylko doskonała organizacja i współpraca mogły im dać szansę sukcesu w starciu z o wiele liczniejszym przeciwnikiem.

Minutę później, kiedy wszyscy byli w komplecie, określił kierunek według gwiazd.

Dotknął numeru drugiego, porucznika Jankisa, i dwukrotnie ścisnął mu ramię. To oznaczało „za mną.” Poczekał na odzew i popłynął.

Płynął tak długo, aż wymacał nogami twarde dno. Ruszył małymi krokami, za sobą wyczuwał ruch wody rozpieranej ramionami pozostałych żołnierzy. Nie robili więcej hałasu niż łowcy pizmoszczurów. Stopniowo zbliżali się do brzegu, widocznego jako jaśniejszy pas na tle ciemności.

Kovař wysłał umówionymi gestami dwóch ludzi, jednego w prawo, drugiego w lewo, poczekał, aż osiągną wymagane pozycje, i zaczął przesuwać się do przodu. W końcu w płytkiej wodzie musiał pełzać na brzuchu. Z bliska wydało mu się, że na polanie ktoś jest. Rozoznawał pięć czy sześć leżących postaci. Wyglądało jednak na to, że nie spostrzegli jego obecności, przez cały czas nawet się nie poruszyli. Woda była bardzo zimna, zaczęły mu drętwieć nogi.



Obejrzał się i dał znak Jankisowi, że pójdzie na zwiady. Porucznik odczytał jego gest błędnie i sam zaczął czołgać się do przodu.

Kovař usłyszał plusk wody, gdy Jankis wylazł na brzeg.

Kolejne znienawidzone oczekiwanie.

Woda zafalowała i porucznik znalazł się obok niego.

- Nie żyją, mniej więcej od doby. Sztywni, ale jeszcze nie śmierdzą - zameldował szeptem.

Kovař zastanowił się przez chwilę. Wyczekiwanie na nieprzyjaciela pośród nieżywych wymagało dużo samozaparcia.

- Trójka i czwórka zostają i obserwują, reszta płynie do wyspy - rozkazał.

Niewidoczny oddział wśliznął się z powrotem do wody, dotarcie na miejsce zajęło im tym razem mniej czasu. Tuż przed tym, jak JFK dotknął szorstkiej powierzchni pni, z których sporządzono tratwy, usłyszał cichy jęk.

Dał znak, żeby pozostali się zatrzymali, i zażądał telefonu. Okazało się, że działa.

- Kovař - zgłosił się. - Na wyspie są żywi ludzie. Na brzegu tylko martwi. Coś mi się w tym wszystkim nie podoba, wystartujcie i wróćcie po nas jutro. Będziemy was informować na ustalonej częstotliwości. Koniec - powiedział, zanim Krystal zdążył zaprotestować.

Usłyszał, jak ludzie skupieni wokół niego poruszyli się zaniepokojeni. Pozostać samotnie pośród dżungli pełnej wirusów było równoznaczne z wyrokiem śmierci.

Kovař w myślach policzył do pięciuset. Przy prędkości wznoszenia trzy metry na sekundę, na jaką Krystal wyważył „Berenikę”, sterowiec znajdował się teraz dostatecznie wysoko, żeby nie zagrażała mu ewentualna walka.

- Poruczniku? - Zbliżył głowę ku Jankisowi. - Wezmę dwóch ludzi i razem z trójką i czwórką wyjdziemy na brzeg. Pan natomiast za trzy minuty zajmie wyspę - Kovař mówił cicho, ale bardzo wyraźnie.

Jankis przytaknął na znak, że zrozumiał. JFK dotykami wyznaczył dwóch żołnierzy i tak samo po cichu jak przedtem popłynął z nimi do brzegu.

Cała piątka ruszyła przed siebie, skrzydłowi ukryci wśród krzewów, JFK z pozostałymi dwoma środkiem. Skradali się jak najszybciej było to możliwe w ciemności, pochyleni, z bronią gotową do strzału. Idący na czele Kovař zawadził o coś, rozległ się blaszany odgłos ostrzegawczy.

- Atakujemy! - warknął, ruszając biegiem.

Z sykiem wzbiła się w górę raca, z lewej strony huknęły wystrzały.

JFK zaryzykował jeszcze trzy skoki, wpadł w zagłębienie terenu, poprzez kępę krzewów ujrzał błysk ognia z lufy. Pierwsze pociski zagwizdały mu tuż nad głową, kolejne poszły już wyżej. Załadował granat nasadkowy, ustalił kąt podniesienia broni i wypalił. Popędził naprzód, a jego towarzysze razem z nim, czwórka krył ich z prawej strony długimi, przerywanymi seriami.

Odezwała się cięższa broń niż ich automaty, zagłuszając wszystko. Kovař poczuł gorący podmuch ognia z lufy, ale już osiągnął pozycję szybkostrzelnego działka.

Przeskoczył maskującą barierę z cienkich pni i naciętych krzewów, lądując pośrodku obozowiska słabo oświetlonego przez palnik gazowy. Uderzeniem kolby ogłuszył człowieka odwracającego się ku niemu z pistoletem w dłoni, błyskawicznie przypadł do ziemi i seria przeznaczona dla niego skończyła gdzieś w ciemności. Dwoma pociskami unieszkodliwił jednego Strzelca działka, kula drugiego trafiła go w ramię. Kanonada przybrała na sile i Kovař odtoczył się z najbardziej eksponowanej przestrzeni.

- Dość - ryknął, kiedy na wściekłą strzelaninę jego ludzi nikt już nie odpowiadał.

Cisza dzwoniła w uszach prawie tak samo boleśnie jak poprzedzająca ją palba. Kovařowi wydało się, że z prawej strony słyszy trzaskanie gałęzi, ale nie był tego pewny. Powoli zaczął rozróżniać szelest liści na wietrze i ciężkie oddechy swoich ludzi.

Oczy oślepięte błyskami wystrzałów stopniowo przystosowywały się do nocnego widzenia. Kovař zdał sobie sprawę, że jest mu zimno i z trudem opanowuje szcęknięcie zębami. Któryś z żołnierzy nie dał rady i wyraźnie się trząsł.

Kovař usiłował uzmysłwić sobie, ilu ludzi było w obozie, w chwili gdy do niego wpadli. Pięciu? Siedmiu? Wszystko rozegrało się zbyt szybko.

- Rakiet - rozkazał, odskakując jednocześnie ku drzewom, na wypadek gdyby ktoś wypalił w kierunku głosu. Nic się jednak nie wydarzyło i trójka wystrzelił racę, która wolno opadając, oświetliła okolicę.

Sześć prowizorycznych legowisk, pięć nieruchomych ciał na ziemi, stwierdził, zanim raca się wypaliła.

- Jeden uciekł - oznajmił pozostałym. - Piątka i szóstka pójdą go odszukać. Powinien być ranny. Jeśli się uda, chcę go mieć żywego. Czwórka skontroluje zabitych - zaczął wydawać polecenia.

Wstał, nasłuchując najlżejszego choćby hałasu. Przy poruszeniach dawało o sobie znać trafienie w ramię. Bardzo bolało, ale jego kamizelka kuloodporna i tym razem wytrzymała.

- Ten jeszcze żyje - oznajmił czwórka i przewrócił rannego na plecy, cały czas celując do niego z automatu.

Zabici chronili się przed zarażeniem podobnie jak miejscowi. Jednak ich odzież nie była podgumowana, tylko pokryta czymś błyszczącym. Maski wskazywały na wyższy poziom techniki niż koprivnicka. Ochrona oczu wykonana była nie ze szkła, lecz z plastiku, filtry bardziej płaskie.

Teraz JFK mógł dostrzec postrzały ramienia i piersi, jakie otrzymał ranny.

- Chyba długo nie pociągnie - stwierdził. - Trupy odciągnijcie na bok, obejrzymy ich przy świetle dziennym.

Żołnierze wysłani za uciekinierem wrócili wkrótce z jeńcem i bez słowa przywiązali go do drzewa.

Wszyscy instynktownie skupili się na środku polany, jak najdalej od ściany drzew, kryjącej żywe organizmy.

Taki właśnie sposób myślenia stał się przyczyną zguby wrogów, pomyślał Kovař, oni też tłoczyli się razem pośrodku. Jednak głośno niczego nie powiedział. Zmusił się do odwrócenia wzroku od płomienia palnika gazowego i spoglądał w ciemność. Po długim oczekiwaniu

usłyszeli szelest.

- Jankis - zameldował się przybysz.

Kovař na myśl o tym, że mógłby się teraz mokry wynurzyć z wody, cały ścierpł.

- Na wyspie są nasi ludzie. Wszyscy ciężko chorzy. Ofiary pierwszego pirackiego szczepienia. Macie rannych? Przyniosłem apteczkę.

- Nie mamy rannych - odpowiedział któryś, sądząc po głosie: piątka. Porucznik usiadł, milcząc, wydawało się, jakby zniknął.

Ranek nadszedł po długim oczekiwaniu pełnym chłodu i odgłosów życia w otaczającym ich lesie. Tuż przed wschodem słońca jeszcze bardziej się ochłodziło i dwóch ludzi zaczęło kaszleć, co źle wypłynęło na samopoczucie wszystkich. Przemarznienie miało w tym świecie zupełnie inne znaczenie niż w domu.

- Wymieńcie filtry - zarządził siódemka, który zajmował się procedurami kwarantanny. Kovař przyglądał się, jak żołnierze nerwowymi ruchami wymieniają zużyte filtry i wkładki dezynfekcyjne na nowe. Nie był w stanie ocenić, na ile ich obawy są uzasadnione, a jaką rolę odgrywa w tym powszechne przyzwyczajenie.

- Przejrzyjcie jeszcze raz okolicę - rozkazał, gdy skończyli i rozwidniło się zupełnie.

- Mają tu herbatę, kawę i jakieś zupy w proszku - zameldował trójka.

Kovař znał wszystkich żołnierzy z widzenia, ale z powodu masek nie mógł rozpoznać, kto jest kim.

- Kto ma ochotę, niech się częstuje - powiedział.

Czwórka podkręcił palnik na pełny regulator i przystąpił do gotowania oraz dezynfekowania w ogniu znalezionych łyżek.

JFK przyglądał się zamaskowanej broni, która czyhała tu na „Berenikę”. Nigdy czegoś podobnego nie widział. Kaliber miała nieco mniejszy niż dwadzieścia milimetrów, ale nadzwyczaj długie pociski. Po chwili odkrył, że składają się one z dwóch części. Rozłączył je i zobaczył dwie duże ołowiane kule złączone stalowym łańcuchem.

- Do rozdzierania powłoki sterowca, na małym dystansie może być całkiem skuteczne, bardziej niż trafienie z trzydziestki - piątka wyjaśnił przeznaczenie znaleziska.

- Ci ludzie dużo ryzykowali, zostając tu sami - powiedział po chwili Jankis. - Według tego, co wiem o piratach, powinien z nimi zostać oficer, i to wysokiej rangi, posiadający duży udział w zyskach. Tylko w takim przypadku mogli uwierzyć, że ktoś po nich wróci.

JFK przerwał oględziny broni i odwrócił się do jeńca.

- Miał na sobie kamizelkę kuloodporną, pistolet z kolbą wykładaną masą perłową i mnóstwo cennych drobiazgów. Założę się, że to on jest tym oficerem - oświadczył piątka.

- Radiostacje - oznajmił żołnierz, który przeglądał wyposażenie nieprzyjaciela. - O połowę mniejsze od naszych - dodał z niezadowoleniem.

- A ty co nam o tym powiesz? - zapytał jeńca JFK.

Ten tylko pokręcił głową.

- Już jesteś martwy - rzekł Jankis i jednym ruchem zerwał mu maskę.

Pojawiła się wystraszona twarz z trójkątną bródką, ale wyraz paniki szybko zniknął z oblicza i jeńiec przybrał obojętną minę.

Kovař uświadomił sobie, że nie ma sensu mieszać się do przesłuchania prowadzonego przez Jankisa.

- Porwaliście dwa tysiące naszych ludzi, a pomiędzy nimi moją żonę i córki - głos Jankisa brzmiał niewyraźnie, głucho, ale przez to ani trochę mniej groźnie.

Porucznik umiał być opanowany aż do granic podziwu, JFK był pewny, że wewnątrz szarpia nim niezwykle emocje, mogące zniszczyć kogoś o słabszej psychice.

- Albo będziesz odpowiadał na pytania, albo...

- Albo? - powtórzył jeńiec kpiąco.

- Albo twoje umieranie będzie długie i cholernie bolesne.

- To już lepiej wszystko ci powiem - odparł jeńiec. Kovař wyczuł, że znowu robi sobie kpiny.

Był twardy, jak cały ten świat.

Mówił szczególnym, ale łatwo zrozumiałym slangiem. Powstał jako mieszanina kilku języków słowiańskich i w wersji obecnej używano go na wschodzie. Jak się do tego miał prawie czysty język rosyjski, który Kovař słyszał podczas ataku? Być może był to ojczysty język napastników.

- Najpierw będę cię wypytywał o różne rzeczy, a ty będziesz odpowiadał. Jeśli nie odpowiesz, obetnę ci palec, nos i tak dalej - wyjaśniał spokojnie Jankis. - Od czasu do czasu zapytam o sprawy dla nas ważne. A jeśli przyłapię cię na kłamstwie, będzie bolało. Przekonująco kłamać jest bardzo trudno, dobrze o tym wiesz. Zdajesz już sobie sprawę, co cię spotka, gdy kłamstwo się wykryje, więc będziesz się denerwował i zaczniesz popełniać błędy. Rozumiesz, co mówię? Możesz próbować mnie okłamać, ale to ci się nie uda.

Jeniec kiwnął głową, lecz Kovař widział, że nie uwierzył.

- Potrzebuję jakichś leków wzmacniających, na wypadek gdyby zemdłał - porucznik zwrócił się do piątki. - I coś do tamowania krwawienia.

Pirat obserwował złowrogie przygotowania z obojętnym wyrazem twarzy.

- Rozdzielcie się na dwójki i przetrząśnijcie okolicę - rozkazał Kovař żołnierzom. - Jeśli w

ciągu dwóch godzin niczego podejrzanego nie wykryjecie, to wracajcie, wezwiemy „Berenikę”.

Mógł z tym poczekać, ale nie chciał, żeby ci poczciwi chłopcy widzieli szykujące się tortury. Mogłoby ich to potem straszyć w snach.

- Poruczniku, wydostań z niego wszystko, moja rodzina też tam jest - powiedział czwórka na odchodnym.

Może nie mieliby nocnych koszmarów? - pomyślał Kovař. Może to ja będę je miał?

- Masz rodzinę? - padło pierwsze pytanie.

- Nie mam dzieci - odparł jeniec.

- To dobrze - rzekł obojętnie Jankis. - A małżonkę?

- Nie żyję tak jak wy, jestem bogaty, mogę mieć tyle kobiet, ile zechcę - wybuchnął jeniec.

- Czemu nie? - przytaknął porucznik. - A twoja matka? Jak się nazywa?

- Co cię to, do cholery, obchodzi?

Jankis błysnął nożem, jeniec syknął. Palec został przecięty do połowy kości.

- Jak się nazywa twoja matka? - powtórzył pytanie Jankis.

- Waler i a Andrejewna, ty skurwysynu!

Pirat pochylił się, na ile pozwoliły mu więzy, i plunął porucznikowi w twarz. Trafił w lewy filtr maski.

Jankis bez pośpiechu ściągnął maskę, wydobyl z apteczki butelkę wysokoprocentowego spirytusu, starannie ją oczyścił i nałożył z powrotem. W tym świecie była to próba śmiertelnego ataku, jedyne, jaki jeniec miał do dyspozycji. Jednak porucznik nawet nie drgnął. Nawet nie ukarał bezsilnego mężczyzny.

- Odpowiedziałeś na pytanie, myślę, że nie skłamałeś. Trzymam się umowy - rzekł spokojnie. - Ale jeśli jeszcze raz na mnie pluniesz, wykluję ci lewe oko.

Kovař podszedł do palnika i nalał sobie gorącej herbaty. Smakowała wspaniale. Jankis tymczasem zadawał kolejne pytania. Po godzinie jeniec się załamał. Najbardziej wytręcało go z równowagi, że Jankis bezbłędnie orientował się w jego kłamstwach i mówił mu, dlaczego kłamie oraz co się nie zgadza z jego poprzednimi odpowiedziami.

W końcu dowiedzieli się wszystkiego. Ten człowiek w ogóle nie był przygotowany na przesłuchanie i nie miał żadnej nieprawdziwej, ale sensownie brzmiącej wersji.

Gdyby to, co powiedział, miało być nieprawdą, mógł ją przedstawić od razu, a nie dopuścić, żeby mu zerwano skórę z przedramion. Kovař otarł twarz z potu. Wciąż słyszał ten przeraźliwy wrzask. Jednak przypomniał sobie, że na sztucznej wyspie leżeli umierający cywile.

- No, myślę, że powiedziałaś nam wszystko, co było do powiedzenia - Jankis zakończył przesłuchanie.

- Nie będziecie chcieli, żebym ich przywołał? - zapytał Jeniec słabym głosem.

Ból i przeżyty szok wyraźnie go wyczerpały, ale mimo to Kovař podziwiał twardego charakter mężczyzny.

- Kapitanie? - Jankis zwrócił się do JFK.

- Nie - rzekł Kovař. - Jesteście tak dobrze zorganizowani, że na pewno macie umówiony jakiś prosty kod, za pomocą którego można przekazać, że mówicie pod przymusem. Niczego już od ciebie nie potrzebujemy.

- A co teraz? - Jeniec spojrział na swoich pogromców. Wróciły patrole, meldując, że niczego podejrzanego nie wykryto. Radiowiec zaczął wywoływać „Berenikę” alfabetem Morse’a.

Dotrzymam słowa - oznajmił Jankis.

ZASTĘPSTWO KRYSTYNY RUSTOVEJ



Frank Boorman pieczołowicie postawił na barku puszkę mocno schłodzonego piwa. Miała temperaturę minus jednego i ośmiu dziesiątych stopnia Celsjusza. Do chwili ukończenia ćwiczeń powinna ocieplić się do wartości siedmiu, ośmiu stopni, tak jak lubił. Jeśli będzie ćwiczył zbyt wolno lub zbyt szybko, piwo nie będzie miało odpowiedniej temperatury.

Odszedł od barku i rozejrzał się po sztangach, drążkach i workach bokserskich. Naturalny wyraz jego arystokratycznie wymodelowanej twarzy, która mogłaby należeć do któregoś z dawnych władców Czarnego Kontynentu albo sławnego jazzmana z minionego stulecia, zmienił się w ponury grymas. Agent nie przyszedł dziś po to, żeby trenować i odreagowywać, ale po to, żeby stłumić obawy. Krystynę Rustovą, kobietę, na której mu zależało, oczekiwała trudna próba, podczas której bardzo łatwo mogła zginąć. Po raz pierwszy miała się znaleźć w obcym świecie. Stosunkowo przyjaznym, jednak... Boorman znał statystyki.

Odbił się, podwójnym kopnięciem posłał pięćdziesięciokilogramowy worek do poziomu, przeturlał się przez ramię i śmiernym ciosem kumite^[8] uderzył w drugi worek. Skóra poddała się, dłoń zagłębiła się aż po nadgarstek w sypkiej zawartości worka.

Uświadomił sobie, że ze zdenerwowania nieświadomie pokonał spowalniającą barierę wszczepianą cyborgom. Gdyby to zobaczyli agencyjni psychologowie, uznaliby Boormana za niepoczytalnego, chociaż nie zaatakował żywego człowieka. Ale ich zdanie nie obchodziło go w tej chwili, po prostu nie chciał niszczyć worków. Nałożył po cztery ciężkie tarcze na olimpijską sztangę i w szybkim tempie wykonał dziesięć wyciskania, a później bez większego trudu zrobił dwadzieścia przysiadów ze sztangą na ramionach.

Krystynę oczekiwała niebezpieczna próba i nic nie mógł na to poradzić. Pewnie dlatego pierwsze niepisane motto pracowników Equilibrii Ferrarius brzmiało: „Nigdy nie kochaj agenta”. A on, cyborg, nie zastosował się do niego.

Nałożył po dwie kolejne tarcze na sztangę, która wyraźnie wygięła się pod takim ciężarem. Zignorował ewentualne zmęczenie metalu i wykonał następne dziesięć podnoszeń na ławeczce. Szło mu łatwo, wydawało się, że każda część jego ciała dąży do wykonywania tych czynności, żeby mogła przełamać barierę niemożliwego.

- Panie Boorman? - Uświadomił sobie, że od pewnego czasu ktoś dzwoni do drzwi, i właśnie je uchylił.

Całe ciało miał zlane potem, oddychał ciężko jak po pięciokilometrowym biegu.

- Tu jestem - rzucił, wytarł się ręcznikiem i sięgnął po puszkę piwa. Zdążyła już się ogrzać, trening musiał trwać dłużej, niż myślał.

- Przepraszam, że przeszkadzam. - W pomieszczeniu pojawiła się około sześćdziesięcioletnia dama. - Zauważyłam, że jest pan w domu, a tylko pan może mi pomóc. Josef, to znaczy mój mąż, wdał się w gospodzie w kłótnię z jakimiś łysymi młodzieńcami, zdaje się, że mówią o nich skinheadzi. Zna pan Josefa, nic mu się nie podoba, obawiam się, że go pobiją.

Boorman odstawił piwo.

- Zaraz tam będę, pani Vedska - uspokoił ją.

- Naprawdę wielki chłop z pana - oznajmiła stara dama. - Josef nie jest ułomkiem, ale pan...

- Po prostu jestem lepiej zbudowany - odparł Boorman.

Zanim wyszedł ze swojej podziemnej siłowni, uświadomił sobie, że dziś po raz pierwszy ćwiczył z użyciem nowych irydowych ciężarów. To oznaczało, że o ponad trzydzieści procent przekroczył zaprojektowane maksimum swojej wydolności.

Zamiast spokoju czuł obawę. Z tymi skinami musi zachować szczególną ostrożność. Nie chciał nikogo poważnie poszkodować. Łamanie kości nie wchodzi w rachubę. Miał nadzieję, że jest ich więcej niż pięciu. Inaczej zabawa okaże się nudna.

- Ilu ich tam jest, pani Vedska? - zapytał.

- Ja nie wiem, naprawdę. Mają tam jakiś koncert, może ich być i setka!

Boorman uśmiechnął się z zadowoleniem. Chociaż na chwilę zapomni o próbie Krystyny. Bał się, cholera, po tylu latach zwyczajnie się bał.

Krystyna Rustova rozglądała się po sali. Czuła się niczym postać z romantycznego filmu ukazującego dekadenski luksus francuskiej arystokracji, z domieszką realistycznej powieści Karola Dickensa. Tylko to kojarzyło jej się z bufiastymi rękawami, zapinanymi kamaszami na chorobliwie chudych lub przeciwnie: tłustych łydkach mężczyzn, z damami uwięzionymi w ciasno zasnurowanych gorsetach z fiszbinami i pozostałymi gośćmi lokalu, ubranymi w całą gamę różnych masek z otworami na oczy zakrytymi wielokolorowymi szkiełkami, a nawet przeźroczystymi kamieniami półszlachetnymi. Była to w gruncie rzeczy luksusowa restauracja, której pewnej specyfiki dodawał zapach dymu wypuszczanego przez parowozy, przejeżdżające za niezbyt szczelnymi oknami.

- Jeszcze raz proszę o wybaczenie - powiedział Krasmun Bitzky, chyba po raz ósmy. - Gdybym wiedział, że to panią przyślą na moje żądanie...

Krystyna usiadła na tyle wygodnie, na ile pozwalały na to gorset i krynolina. To można

porównać z sytuacją, kiedy ktoś kopie mnie po tyłku, oczekując uprzejmej miny, pomyślała sobie. Mimo to było jej żal swego partnera w akcji.

Bitzky, wysoki, szczupły dżentelmen, sprawiający wrażenie, jakby wyszedł z którejś z książek Artura Conan Doylea, miał naprawdę strapioną minę.

- Wydaję się panu aż tak nieodpowiednia? - odpowiedziała z uśmiechem na te przeprosiny, co wprawiło go w jeszcze większe zmieszanie.

- Nie! - Zamachał ręką tak energicznie, że aż wzbudził zainteresowanie siedzących w pobliżu znudzonych dandysów. - Nie przeszła pani jeszcze pełnego szkolenia, a ta akcja jest przecież ryzykowna, chociaż w umiarkowanym stopniu. A ja nie cierpię narażać kobiety na niebezpieczeństwo.

Krystynie nie udało się ukryć rozbawienia. Watson czy Holmes? Holmes byłby stosowniejszy, ale z drugiej strony nawet skrupuły Bitzky ego nie zdołały ukryć jego przenikliwego, analitycznego umysłu.

- No cóż, stało się, przydzielili panu niedoszoloną - powiedziała spokojnie. - Wiem tylko, że ma pan kogoś unieszkodliwić, a pańska dotychczasowa partnerka nie może wziąć udziału w akcji. A bez partnerki akcji nie da się przeprowadzić. To wszystko oprócz kilku niezbędnych realiów tego świata, które zdołano mi przekazać podczas szminkowania, ubierania i przygotowywania do transportu.

Bitzky uspokoił się i kiwnął głową.

- Ma pani rację, na przeprosiny przyjdzie czas, kiedy już skończymy. To jest świat, w którym istnieją czarodzieje.

Spojrzał na Krystynę, jakby nie był pewny, czy przyjmie do wiadomości tę informację. Nie powiedziała nic. W czasie szkolenia do wielu rzeczy już przywykła.

- Człowiek, którego ścigam wraz z agentką Fiorą, jest czarodziejem - kontynuował Bitzky. - Jego zdolności wykraczają poza ramy tego świata, jest przy tym niezwykle bezwzględny. Nasza teoria, na poparcie której zbieramy dowody, a spotkanie z nim powinno ich dostarczyć więcej, zakłada, że chodzi tu o emigranta pochodzącego skądinąd. Rozumie pani?

- Jasne - przytaknęła Krystyna. - Ale dlaczego muszę wystąpić w roli pańskiej żony?

- Ponieważ Cagnus, mam na myśli nasz obiekt, jest bardzo namiętny, można go określić jako seksualnego psychopatę. Fiora jest tym typem kobiety, która zmusiłaby go do podjęcia ryzyka. Mielśmy nadzieję, że w trakcie rozmowy, która powinna być dla niego bardzo ważna, spróbuje pozyskać sobie Fiorę, a teraz panią. Tak umalowana i w tej peruce jest pani naprawdę bardzo do niej podobna.

- Ehm - mruknęła Krystyna, dotykając rewolweru s&w 360 PD AIR-LITE SC. Był

niewielki dzięki korpusowi ze skandru oraz leciutki dzięki tytanowemu bębenkowi naboju. Bez problemu zmieścił się do torebki a la madame Pompadour, którą miała przywiązaną do lewej ręki. Dwucalowej długości lufa kalibru .357 magnum nie wystarczyłaby zapewne na nosorożca, lecz na każdego nieopancerzonego humanoida rodzaju męskiego o masie poniżej pięciuset kilogramów bez wątpienia tak.

- Pan Cagnus jest wprawdzie stosunkowo silnym czarodziejem, ale mogę panią uspokoić, że zwyciężyłem już pięciokrotnie silniejszych od niego - oświadczył nagle Bitzky.

Krystyna zaniepokoiła się nieco.

Nie chwalił się, chciał ją jedynie uspokoić. Jednak osiągnął całkiem odwrotny efekt. Czarodziej? Nagle rewolwer wydał się Rustovej niedostatecznym środkiem.

- Zakładam, że w trakcie transakcji sprzedaży pewnego towaru, stanowiącego tutaj modny i cenny materiał, przy której będzie pani obecna, spróbuje wyrzucić na mnie nacisk, żeby mnie złamać. A to pomoże nam ustalić, co to za jeden.

- Aha - odrzekła krótko.

- Nie powiedzieli pani nawet tego? - Na twarzy Bitzky ego pojawił się wyraz zatroskania.

- Nie, dowiedziałam się tylko, że mam zastąpić agentkę występującą w roli małżonki.

- No, możemy to jeszcze odwołać - oznajmił.

Krystyna Rustova pokręciła głową.

- W porządku, myślę, że dam radę.

- Cieszę się. - Bitzky uśmiechnął się z ulgą. - A teraz proszę mi wybaczyć - powiedział z tym swoim niemożliwym do podrobienia wdziękiem - skoczę tylko kupić prasę. Gazeta „Sport Arystokratów” zwinięta w lewej ręce jest naszym znakiem rozpoznawczym, że umowa została zawarta i transakcja dojdzie do skutku.

- Oczywiście - przytaknęła Krystyna i zdała sobie sprawę, że wykonała gest podpatrzony u aktorek francuskich filmów historyczno-romantycznych.

A dlaczego nie, do cholery, przecież tutaj to wyglądało całkiem naturalnie.

Kelner postawił przed nimi dwie filiżanki czekolady i oddalił się dyskretnie. Skinęła Bitzky emu, że wszystko w porządku i może odejść. Obserwowała go później przez witrynę restauracji.

Przeszedł przez ulicę, w kiosku kupił gazetę. Wkroczył na jezdnię i pomachał do agentki na znak, że już wraca. Po ulicy przemknął ciężki wóz o napędzie parowym, opatrzony królewskim emblematem. Bitzky zniknął, została po nim tylko krwawa plama na jezdni. Krystyna Rustova stłumiła odruch zerwania się z krzesła. Przez chwilę usiłowała zwalczyć przerażenie wywołane śmiercią znajomego człowieka, a potem jeszcze świadomością, że

została sama. Uspokoiła się po jakichś pięciu minutach, serce już nie biło jej tak gwałtownie. Niczego nie mogła zrobić i została sama - z tymi dwiema podstawowymi prawdami musiała się uporać.

Wypiwszy czekoladę, swoją i zabitego agenta, zaczęła rozmyślać nad sytuacją, w jakiej się znalazła. Nieznajomy czarodziej poznają, ponieważ będzie uważał za Fiorę. Musi się go pozbyć w jakiś sposób i wrócić do domu. Drogę znała. Oczy Krystyny naraz napęłniły się łzami. Pierwszy raz widziała śmierć kolegi. I co gorsza, przez głupi przypadek.

NA ŁUKU KARPACKIM



Krystal starał się utrzymywać stały kurs stu dziesięciu stopni i wysokość 1 poziomie tysiąca pięciuset metrów, według wskazań barometru. Kovař oceniał rzeczywistą wysokość lotu na niecały kilometr nad powierzchnią ziemi. Przyrządy wskazywały, że lecieli z prędkością stu pięciu kilometrów na godzinę. To oznaczało, że w ciągu minionych dziesięciu godzin pokonali

ponad tysiąc kilometrów. Po lewej przez cały czas obserwowali grzbiety łuku Karpat, to przybliżające się do nich, to prawie znikające na granicy widzialności. Na samym początku, gdy zbliżali się do Tatr, tak blisko, że wydawały się w zasięgu ręki, Kovař poczuł obawę, patrząc na przysypane śniegiem szczyty. Wiedział, że prędzej czy później będą musieli nad nimi przelecieć. A już zupełnie nie cieszyła go perspektywa przemieszczenia się pomiędzy niebotycznymi szczytami Wielkiego Kaukazu. Właśnie tam zmierzali, opierając się na zeznaniach pirackiego oficera, którego Jankis pośród beskidzkich wzgórz zabił strzałem miłosierdzia prosto w czoło.

- Napijemy się piwa?

Kovař spojrzał na człowieka, który całe dni i noce spędzał w kabinie sterowania.

Z oczu Krystala wyczierała niezłomność, wydawało się, że oprócz pogłębiających się zmarszczek na twarzy zmęczenie i odpowiedzialność, jaką na siebie wziął, nie wywołują na nim żadnego śladu.

- Bardzo chętnie - zgodził się Kovař.

Lecieli szybko i dość wysoko, ale wschodzące słońce powodowało, że temperatura w kabinie wzrosła do prawie trzydziestu stopni.

Kovař wyjął z lodówki dzban, nalał do dwóch szklaneczek i z przyjemnością wychylił pół litra zimnego, orzeźwiającego leżaka.

- Jeśli dobrze obliczam, w beczce, którą pan zabrał na pokład, dużo już nie zostało - powiedział z pewnym zalem, słuchając poświstywania powietrza rozcinanego kadłubem sterowca. Po intensywności tego odgłosu oraz pracy silników mógł odgadywać prędkość lotu.

Krystal wzruszył ramionami.

- Tak się dzieje z każdym dobrym piwem, kiedyś się po prostu kończy.

JFK odstawił kufel i zaczął wymachiwać ramionami, zmęczonymi długim ślęceniem nad mapą.

- Idę odwiedzić doktor Kaňkovą.

- Dobrze, na pewno tego potrzebuje. To, co ona potrafi wytrzymać, mogłoby zabić

niejednego chłopca - westchnął główny sternik. Jednak gdy JFK rzucił mu pytające spojrzenie, patrzył prosto przed siebie.

- Zaniósę jej resztę piwa, która została w lodówce - rzekł Kovař na odchodnym.

Strefa wydzielona na potrzeby kwarantanny znajdowała się na tylnym pokładzie, oddzielona od pozostałych pomieszczeń wąską kładką. Zawieszona była tylko kilka metrów pod ogromnymi walcowatymi pojemnikami zawierającymi drogocenny hel, czynnik nośny „Bereniki”. Dystans do przejścia wynosił około stu metrów, ale przechadzka zabrała Kovařowi ponad pół godziny. Musiał bowiem rozebrać się zupełnie, pod czujną kontrolą strażników przejść przez kładkę i nałożyć biały kombinezon, którego materiał był już bardzo cienki skutkiem wielokrotnego prania.

Miał ze sobą jedynie paczkę delikatesów, które za milczącą zgodą pozostałych zabrał z kuchni, i kanister z piwem. Podstawowych produktów żywnościowych było w strefie kwarantanny pod dostatkiem.

W pomieszczeniu służącym doktor Kaňkovej i obu jej koleżankom za główne lokum mieszkalne znów spotkał tę młodą, nierzucającą się w oczy kobietę, której nazwisko zapamiętał dopiero za trzecim razem, i to z dużym trudem. Nazywała się Jana Kurlova i w hierarchii koprivnickiej służby zdrowia była medykiem, tuż przed uzyskaniem oficjalnego tytułu lekarza. Jej przełożona, a równocześnie przyjaciółka mówiła o niej w samych superlatywach.

Kovař położył paczkę ze smakołykami na stole i nalał sporą porcję piwa do szklanki, przeznaczonej do badania moczu pacjentów. Trochę piany spłynęło przy tym na aluminiowy blat stolika.

- Jak się powodzi? - zapytał, chociaż nie było takiej potrzeby.

Widząc głębokie zmarszczki na twarzy kobiety i oczy zaczerwienione z niewyspania, a może od płaczu, mógł sam sobie odpowiedzieć. Na Moravce przyjęli na pokład dwudziestu ludzi zainfekowanych zabójczym dla Koprivniczan szczepem wirusów grypy. Piraci zostawili ich tam, kiedy się okazało, że nawet osłabione wirusy, których użyli do szczepień, są dla części jeńców śmiertelne.

- Już trzech ludzi umarło - odparła znużonym głosem. - Jeden starszy człowiek i dwoje dzieci.

Kovařowi zrobiło się żal Jany, ale w niczym nie mógł dziewczynie pomóc.

- Wygląda na to, że ta trójka będzie ostatnimi zmarłymi! - odezwał się nieoczekiwanie dźwięczny głos doktor Kaňkovej. - Reszta odzyskała przytomność, szczepionka sporządzona według procedury trzydzieści cztery jest skuteczna! - pani doktor prawie krzyczała.

- Procedura trzydzieści cztery? - nie zrozumiał Kovař.

- W roku tysiąc dziewięćset trzydziestym czwartym doktor Babinec sporządził szczepionkę, która uratowała życie kilkudziesięciu tysiącom ludzi zarażonym podczas strzyżenia owiec - wyjaśniła Kaňkova.

Kovař dopiero teraz spostrzegł, że jest ubrana tylko w cienki, sprany kitel, a na twarzy nadal ma odcisk zdjętej przed chwilą maski.

- Niech pan mi naleje, kapitanie - poprosiła. - Jestem bardzo szczęśliwa. - Oparła się w krzesło, wypiła kilka łyków i usnęła.

- Pracowała trzydzieści sześć godzin bez przerwy - wyjaśniła Jana Kurlova. - Nie chciała, żebyśmy wszystkie narażały się na zakażenie.

- Rozumiem - przytaknął Kovař. - Ale to dobra wiadomość, prawda? - starał się podnieść na duchu przyszlą lekarkę.

- Tak, lecz tych dwoje dzieci... - Pokręciła głową. - Umarły mi na rękach.

Na to Kovař nie znalazł odpowiedzi.

Był przyzwyczajony do strat, ale nie tego rodzaju.

- Proszę być dobrej myśli, dogonimy ich na czas - rzekł na pożegnanie.

Odchodząc, dostrzegł w szybie drzwi badawcze spojrzenie Jany Kurlovej.

Nie zdołał odgadnąć, co mogło ono znaczyć, i za moment o tym zapomniał, bo z głośnika rozległ się głos Krystala:

- Obszar zamieszkały przed nami, powtarzam, obszar zamieszkały. Zarządzam pogotowie!

- Porucznik Jankis - odezwał się chłodny głos. - Wszystkie wieżyczki strzelnicze są w pełnej gotowości.

- Będę w centrali za dziesięć minut - rzucił Kovař, zdzierając z siebie kombinezon. Oczekiwał go prysznic, suszenie gorącym powietrzem i krótkie naświetlanie lampą ultrafioletową.

Masyw Karpat ukazywał im się teraz w całej swej krasie, ciągnąc się łukiem z północy na południe. Już w drugiej połowie września niektóre szczyty pokrywał świeży śnieg, roślinność w wyższych partiach gór straciła zielen, przybierając kolory jesieni.

W innych okolicznościach góry, nad którymi musieli przelecieć, bardziej zainteresowałyby Kovařa, ale teraz poświęcał uwagę miasteczkom i wioskom ukazującym się pod nimi. Było ich dużo i łączyła je sieć szarych, prawdopodobnie betonowych lub brukowanych dróg.

„Berenika” utrzymywała prędkość stu kilometrów na godzinę, osiedla z wolna się

przybliżały, a malejąca odległość pozwalała dostrzec wciąż nowe szczegóły.

- Może tu mieszkać jakieś trzydzieści, czterdzieści tysięcy ludzi - ocenił Krystal.

- Sądzi pan, że mają wspólną organizację? Że nie dzielą ich strefy kwarantanny?

- Przyjrzelśmy się przez lunetę drodze pomiędzy dwoma sąsiadującymi miejscowościami.

Nie ma na niej żadnych zapór, straży, myślę, że cały ten obszar stanowi jedną całość - włączył się do rozmowy porucznik Jankis.

Mówił z wieżyczki strzeleckiej, przez pokładowy system łączności.

- Gdzieś dalej powinniśmy zobaczyć system ochrony przed zarażeniem pochodzącym z rejonów niezamieszkałych - zauważył Kovař.

Krystal przytaknął i obniżył wysokość lotu o sto metrów, co spowodowało zwiększenie prędkości sterowca.

- Widzę je - odezwał się Jankis. - Duże drewniane i druciane płoty. Oddzielają obszar zamieszkały od niziny. Drugą granicę tworzą oczywiście góry.

- Tym sposobem mają swobodę poruszania się na obszarze tysięcy, a raczej dziesiątków tysięcy kilometrów kwadratowych - westchnął technolog z zazdrością w głosie. - Muszą być bogaci. Wszędzie widać ogromne stada bydła!

- Sądząc po zabudowaniach, nie wygląda na to, żeby żyli dostatnio - z powątpiewaniem oznajmił Jankis.

JFK zdjął zawieszoną na ścianie silną lornetkę i zaczął metodycznie przepatrywać teren pod nimi. Kierując się instynktem żołnierza, badał wzrokiem pagórki i podobne miejsca dogodne do umieszczenia w nich dział i innych urządzeń techniki wojskowej.

- Czy nie grozi nam z ich strony niebezpieczeństwo? - zapytał.

Jakość dostrzeżonych przez niego budynków wojskowych, ukrytych częściowo pomiędzy drzewami i krzewami, ostro kontrastowała z nędznymi domkami mieszkańców. W Koprivnicach ta różnica nie była aż tak wyraźna.

- „Anioł” nadlatujący nocą to nieprzyjaciel, „anioł” nadlatujący za dnia to posłaniec, handlarz albo przyjaciel - odparł Krystal z przekonaniem, a Michał stojący przy sterze wysokości pokiwał głową na potwierdzenie.

Kovař nadal w skupieniu obserwował okolicę.

- Radio? - huknął do telefonu.

- Nadajemy na standardowych częstotliwościach, ale nie odpowiadają - zameldowano z przedziału radiowego.

Kovař dostrzegł srebrzysty błysk wysoko wznoszących się anten i biegnące szybko postaci u podnóża pagórka, którego każdy rozumny taktyk użyłby jako pierwszej pozycji obronnej.

- Maksymalne wznoszenie, panie pierwszy - krzyknął nagle do Krystala z lornetką nadal przy oczach. - Kurs bez zmian, nie chcę odwracać się do nich burtą.

Technolog stłumił zaskoczenie i wykrzyczał do mikrofonu lawinę rozkazów:

- Śmigła ciąg pionowy trzydzieści pięć stopni, stery wysokości pełne wychylenie na wznoszenie, wszystkie silniki maksymalne obroty, uruchomić pompy, dopełniać zbiorniki helem!

„Berenika” zachwiała się jak żywy stwór i pokład zaczął się powoli przechylać.

- Kontrolujcie ciągłość dopływu paliwa do silników. Uważajcie na bąble powietrzne - Krystal wydawał kolejne rozkazy.

- Przechył wzłużny dziewięć, dziesięć, jedenaście stopni - meldował drugi sternik. - Przechył poprzeczny jeden i pół, jeden i trzy czwarte, poprawić wyważenie, lewy ster...

JFK przestał zwracać uwagę na głosy ludzi, starających się wydobyć z „Bereniki” maksimum jej możliwości, skupił się tylko na wysokościomierzu i obserwacji wieży działowej, która jego zdaniem przygotowywała się do otwarcia ognia.

Tysiąc trzysta metrów, trzysta dwadzieścia, trzysta pięćdziesiąt, pokazywał wysokościomierz baryczny. Cały czas zbliżali się do wroga. Kovař nie odważył się wystawić na ostrzał całego, prawie trzystumetrowego profilu ogromnego sterowca.

Niech nie strzelają, niech się myślę, powtarzał w duchu.

Nie mylił się.

Z pozornie niewielkich luf błysnął ogień, w siedem sekund później usłyszeli odgłos strzałów.

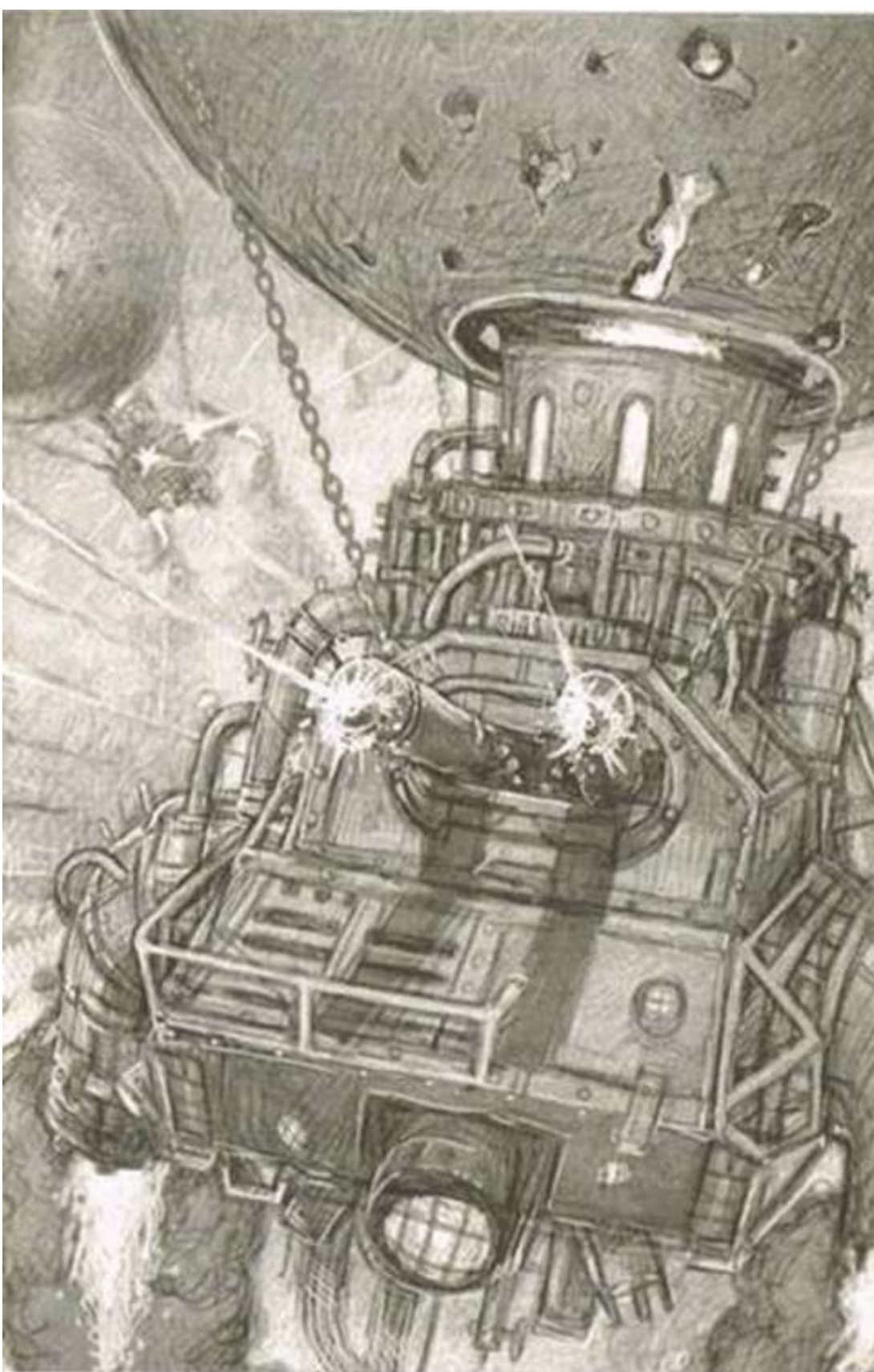
Wskazówka dosięgnęła już wartości tysiąca sześciuset metrów, JFK musiał się przytrzymać, żeby nie stracić równowagi na pochyłym pokładzie.

- Mieli nabite niewłaściwą amunicją, za drugim razem będzie gorzej - mruknął Krystal, pilnujący steru i mikrofonu.

JFK kalkulował szybko, jaki może być zasięg ognia nieprzyjaciela. Oceniał go na dwa, trzy kilometry, nie więcej.

Huknęły dalsze wystrzały, tym razem pociski wybuchły nie dalej niż kilkaset metrów od „Bereniki”.

Kovař poczuł, że na moment przestało mu bić serce. Było już bardzo blisko.



- Wznosimy się trzydzieści metrów na sekundę - krzyknął naraz Krystal. - To za dużo, zbiorniki nie mogą się rozdmąć tak szybko! Wstrzymać pompowanie helu, włączyć hamulce aerodynamiczne!

Kolejne pociski wybuchły pod „Bereniką”, która zatrzęsała się pod wpływem podmuchu eksplozji. Ogień otworzyły następne wieże, ale znajdowały się dalej i ich pociski nie osiągnęły pułapu sterowca. Kovař poczuł szum w uszach i zaczął szybko połykać ślinę, żeby wyrównać

różnicę ciśnień. Nie przerywał jednak obserwacji terenu pod sobą.

Miał nieprzyjemne uczucie, że czekano na nich, a oni wpadli w przygotowaną pułapkę.

Obłe kształty, które wydawały się pagórkami, wleciały nagle do góry, wznosząc się z wielką prędkością, sprawiały wrażenie, że są napędzane słupami ognia wylatującego z dysz skierowanych ku ziemi. Było to tylko pierwsze wrażenie. Kurs „Bereniki” zastawiła ściana balonów na ogrzane powietrze.

- Poruczniku Jankis, niech pan zacznie je niszczyć od pozycji numer jednaście w kierunku na lewo - zagrzmiął.

- Wysokość dwa tysiące dziewięćset metrów - wykrzyknął ktoś.

Pokład się zatrząsł, uszy rozdarł metaliczny dźwięk. Kovař nie utrzymał równowagi i upadł. Trafili ich tuż przed tym, zanim osiągnęli bezpieczną wysokość. Wstał i spojrzał na wskazówkę wysokościomierza. Nadal się wznosili, nie tak szybko jak przedtem, ale równomiernie. Trzydziestomilimetrowe działka „Bereniki” otworzyły ogień i pierwsza celna seria trafiła w balon. O dziwo, nie zaczął opadać, wprost przeciwnie: wznosił się dalej. Z nieforemnej gondoli podczepionej pod nim wysunęły się lufy dwóch sprzężonych karabinów maszynowych i zaczęły pluć ogniem.

Wszystkie wystrzały jednak chybiły.

- Nie zdaje sobie sprawy, jak wielka jest „Berenika”, i źle ocenia odległość - powiedział spokojnie Krystal.

- Walcie w gondolę następnego balonu! Jeśli się uda, to ostry skręt w lewo - rozkazał Kovař.

Balony w ciągu kilkunastu sekund osiągnęły pułap sterowca, oczywiście było, że nie zdołają przez nie przelecieć, nie wystawiając się na ostrzał.

- Jak ostry, to ostry - wycedził technolog. - Przygotować się do wyważenia - zawołał głośno, żeby przekrzyczeć ostre szczekanie dwudziestek.

Gondola znajdująca się przed nimi otrzymała trafienie, a równocześnie „Berenika” zaczęła skręcać w lewo. Kovařowi wydało się, że z tyłu, poza nimi, przemknął błysk ognia, ale nie miał pewności, czy go naprawdę dostrzegł.

Trzy balony przed nimi zostały podziurawione jak rzeszoto, jednak dzięki wydajnym palnikom nadał utrzymywały się na osiągniętej wysokości. Sterowiec stopniowo wzlatywał ponad nie, unikając w ten sposób ostrzału z gondoli.

JFK uświadomił sobie, że trzęsie się z zimna i ma zawroty głowy. Wysokościomierz pokazywał trzy tysiące pięćset metrów i powoli się stabilizował.

Kovař poczuł ulgę.

KOCICE I KOCURY



Komtesa de Villefort zmęczona zamknęła za sobą drzwi biura. Papierkow robotę uważała za najgorsze zajęcie na świecie, mimo że na misjach przymierała głodem, strzelano do niej zatrutymi strzałami, wymyślała sposoby na pozbycie się pół tuzina maharadzów, gotowych z jej powodu rozpędzić na cztery wiatry swoje haremy. Akcja, z której wróciła, była krótka, raczej dyplomatyczna, a przy tym niezwykle delikatna. Musiała uważać na każde słowo, rozłożenie wachlarza, a nawet mrugnięcie. Dała sobie z tym wszystkim radę doskonale, ale pisanie szczegółowego sprawozdania - na tyle szczegółowego, żeby zadowoliło administrację, a przede wszystkim socjologów i specjalistów od etyki - mocno ją wyczerpało.

Potrzebowała wyłączyć się na jakiś czas, odpocząć. Wpaść na szklaneczkę wina z Johnem. W takich sprawach był najlepszy, mogła przy nim milczeć, cieszyć się spokojnymi chwilami i wiedziała, że gdy spojrzy w jego stronę, to on tam będzie, sprytny, silny facet, gotów podać jej ramię i odprowadzić do domu. Albo mogła nadal siedzieć obok niego bez słów. Jednak John był gdzieś w piekielnym świecie pełnym wirusów i nikt nie wiedział, czy wyniesie z tej akcji całą skórę. Komtesa de Villefort westchnęła, lecz nie litowała się nad nim. Taki już był los mężczyzny typu Johna Kovařa: wyruszać do miejsc, z których niełatwo się wracało. Przejść przez piekło, zarazę, śmierć, a mimo to zachować choćby małą niezniszczoną część własnego ja, część mężczyzny, którego kochała.

Nie przywiązywała wagi do tego, czy zobaczy go jutro, czy pojutrze, czy za kilka miesięcy. Wierzyła, że prędzej czy później go zobaczy, i to wystarczało. Wspomnienie o nim pomogło, nie czuła się już taka zmęczona i pochmurna. Znała przecież ludzi, którzy wyszli z tej akcji o wiele gorzej, na przykład Lenka Lavassi, która już trzeci tydzień kurowała się z poważnych ran.

Należy Lenkę pocieszyć, pogłaskać dobrym słowem albo dotknięciem ręki. Andrea de Villefort odwróciła się na pięcie, wróciła do biura i po krótkich poszukiwaniach odnalazła pewną bardzo specjalną bombonierkę. Zatrzymała ją dla siebie, co było wykroczeniem przeciwko przepisom o przemyśle, ale komtesa de Villefort wyznawała własne poglądy na przepisy i ich przestrzeganie. Ponadto każda czekoladka miała inne przeznaczenie, a kiedy przeczytała napisy informacyjne wykaligrafowane na złotych foliach, prawie się zaczerwieniła. Coś takiego warte jest złamania przepisów.

Wsadziła pod pachę skrzyneczkę z wykładanego szmaragdami drewna tekowego i zamiast do podziemnych garaży zjechała windą jeszcze niżej, do agencyjnego szpitala.

Właściwie nie był to szpital w pełnym tego słowa znaczeniu, lecz niewielki oddział z podstawowym wyposażeniem, przeznaczony do szybkiego i skutecznego leczenia złamanych kończyn, przestrzelonych płuc, mechanicznych kontuzji kręgosłupa oraz średnio ciężkich uszkodzeń mózgu. A więc typowych zranień, jakie prędkiej czy później przytrafiają się agentom na służbie. Lavassi chcieli z jakichś powodów przenieść do szpitala centralnego, lecz de Villefort sprzeciwiła się temu po konsultacji z naczelnym lekarzem, zresztą swoim dobrym znajomym.

Z pokoju, w którym leżała doktor Lavassi, wyszedł mężczyzna w białym kitlu, z typowym lekarskim minikomputerem na przedramieniu. Spojrzał przelotnie na komtesę i poszedł dalej. Jego obecność zdziwiła nieco Andreę, miejscowy personel dobrze znała, a on do niego nie należał. Z drugiej strony, w przypadku gdy sztuczna inteligencja KILLER uznała to za stosowne, agencja potrafiła potrzebnego człowieka przegonić przez dwadzieścia kontynentów pięciu światów równoległych.

Zastukała do drzwi, poczekała na wyrzeczone słabym głosem „proszę” i dopiero wtedy weszła.

- Witaj z powrotem - powiedziała już od progu.

Szczuplejsza nieco blondynka zdziwiła się.

- Nie wiedziałam, że ze mną tak źle, żebyś musiała mnie witać jak ducha wracającego do świata żywych!

Andrea de Villefort przysunęła sobie krzeselko i usiadła z właściwą sobie elegancją.

Krytycznie spojrzała przy tym na swoje szpilki.

- Dałam się skusić sprzedawcy, chyba do mnie nie pasują, są za bardzo seksowne - powiedziała.

Lavassi przyjrzała się pantofelkom dokładnie.

- Tak - potwierdziła po chwili. - Są naprawdę bardzo sexy, a ty wcale tego nie potrzebujesz.

Obie kobiety zaśmiały się.

- Dlaczego tak mnie przywitałaś? - Lavassi wróciła do tematu.

- Jesteś naukowcem - odparła de Villefort z powagą. - A to przeżycie było dla ciebie wyjątkowe. My, wysyłani do różnych zadań, wiemy, że przeżyć to jedna sprawa, a druga wrócić do czynnego życia. Znam wielu żywych zombie. Ale ty wróciłaś, jesteś tą samą starą, dobrą, chociaż młodą i efektowną Lenką Lavassi, która opędza się od napalonych samców kotem o dziewięciu ogonach, jak mawiają marynarze.

Pokój wypełnił się śmiechem obu kobiet.

- Po czym to poznałaś? - zapytała po chwili Lavassi.

Komtesa de Villefort wyciągnęła z torebki lusterko i podsunęła przed twarz Lenki.

- Znów w makijażu, znów w pełnym rynsztunku.

Siostra dyżurna zajrzała do pokoju, żeby się upewnić, że pacjentka nie dostała jakiegoś dziwnego ataku. Poznała Andreę, skinęła jej przyjacielsko i zamknęła drzwi.

- W szafce mam szampana, otwórz go, proszę. - Lavassi starała się wyrównać oddech.

- Od kiedy to szampan jest elementem rekonwalescencji? Aż tak o nas agencja nie dba - zdziwiła się de Villefort, przyglądając się etykietce. - Hm, bardzo dobry rocznik, takiego już od kilku lat nie piłam. Pierre go przyniósł?

Lavassi odpowiedziała lekkim mrugnięciem.

- O! - De Villefort przybrała zgorzowaną minę. - W takim razie może będzie ci potrzebna taka bombonierka?

Popijając wyśmienitego szampana, ze śmiechem studiowały właściwości poszczególnych czekoladek.

Andrea pożegnała się z Lavassi w nastroju, jakiego nie miała od kilku tygodni. Jak dobrze mieć przyjaciół, myślała, idąc korytarzem. Po drodze wstąpiła do siostry przełożonej.

- Nie wie pani, kiedy Lenkę wypiszą? - zapytała. - Chciałabym urządzić dla niej przyjęcie.

Pielęgniarka, starsza pani o łagodnym spojrzeniu, z włosami domagającymi się ufarbowania, rozłożyła ręce.

- Jej leczenie przejął przedwczoraj doktor Kami Akawa i jego asystenci. Praktycznie nie mam z nimi kontaktu.

- Dziękuję. - Andrea pożegnała siostrę.

Dobry humor natychmiast ją opuścił.

- Kami Akawa... - wycedziła przez zęby.

Nie było pewności, czy łajdak w jednym świecie w innym też będzie łajdakiem. Im większy jednak łotr, tym bardziej można się tego spodziewać. Czasem zdarzały się wyjątki, pewnego razu odwiedziła świat, w którym Adolf Hitler pozostał przy swoich pełnych depresji akwarelach i nie objął przywództwa Trzeciej Rzeszy. Ale i tak siedemdziesiąt milionów zabitych, jakie pochłonęła wojna ze Stalinem, nie stanowiło wielkiej pociechy.

Kami Akawa był silną osobowością, szarą eminencją niechwalebego japońskiego oddziału u-731 przeprowadzającego podczas drugiej wojny światowej eksperymenty medyczne na cywilach i jeńcach. Nie miał żadnych zahamowań etycznych, ale był tak sprytny i przebiegły, że nigdy nie oskarżono go o zbrodnie przeciw ludzkości. Brak humanitaryzmu łączył się w jego przypadku z przenikliwym umysłem i intuicją, co czyniło z

niego obecnie znakomitego chirurga i lekarza równocześnie.

De Villefort pomyślała, że takich ludzi agencja nie powinna zatrudniać bez względu na to, jak są dobrzy zawodowo. Jednak zatrudnianiem ludzi rządziła polityka wewnętrzna poszczególnych wydziałów, a najwięcej do powiedzenia mieli szefowie oddziałów.

Idąc do samochodu, zadzwoniła pod znajomy numer.

- Marty?

- Szanowanko, Andrea, domyślam się, że czegoś potrzebujesz, inaczej byś nie dzwoniła.

- Masz rację, ale kiedyś ci to wynagrodzę - obiecała.

- Jak?

Wyobraziła sobie szeroki uśmiech Marty ego Anaheima. Marty wyglądał jak ucieleśnienie rosyjskiego niedźwiedzia, miał siedmioro dzieci, a jego żona Gal była tak drobna jak on potężny.

- Zorganizuję piknik na plaży, przedstawienie teatralne dla dzieci, wycieczkę łódkami, ubawię ci dzieciaki tak, że pójda spać niczym niemowlęta.

- To brzmi zachęcająco - powiedział z powagą Marty. - Ale chłopaki znów będą się chciały bić samurajskimi mieczami, jak poprzednim razem - w jego głosie pojawiło się zatroskanie.

- Przyniosę jakieś tępe albo drewniane, a do tego zestaw medyczny do reperowania połamanych czy pociętych palców.

- Gdyby to słyszała Gal, żadnego party by nie było - zaśmiał się. - Czego ci trzeba? Resztę obgadamy później - przeszedł do rzeczy.

- Potrzebny mi wykaz ludzi z agencji, którzy przylecieli w ciągu ostatnich - zawahała się - trzech dni. Jeśli się uda, to i z podaniem powodu.

- Nigdy mnie nie zawiodłaś, zawsze chcesz więcej, niż człowiek może zrobić. Odezwę się, jak tylko będę to miał - zakończył rozmowę profesjonalnym tonem. - A na to party z góry się cieszę.

Andrea kiwnęła strażnikowi, weszła do windy i zjechała do garażu. Nie służył tylko potrzebom agencji, ale również dwóm blisko położonym bankom i jednemu przedsiębiorstwu importowo-eksportowemu. De Villefort szła szybko do swego samochodu, w ciszy podziemia głośno stukały jej obcasy. Machnęła ręką do kamery, która odwróciła się w jej kierunku. Strażnikom się nudziło i chętnie na nią popatrywali.

Porsche błysnęło kierunkowskazami na powitanie, o dwa wozy dalej odezwał się odgłos zapuszczanego silnika i zaraz ucichł. Trzasnęły drzwiczki, z błyszczącego czernią samochodu wysiadł mężczyzna w czarnym garniturze, z eleganckim szarym krawatem i krótko

ostrzyżonymi włosami, czarnymi jak skrzydła kruk.

- Nie trzeba pani gdzieś podwieźć?

Andrea prześliznęła się wzrokiem po złotej obrączce ślubnej, klamrze pasa wysadzonej diamentami i błyszczącym samochodzie. Dwunastocylindrowy mercedes AGM z podwójnym doładowaniem.

- Te włosy rzeczywiście pasują do koloru auta - zauważyła.

Mężczyzna na moment przybrał niepewną minę.

- No tak, to najszybsze auto, jakim wypada jeździć szefowi banku, żeby mu przy tym było wygodnie - znalazł w końcu odpowiedź, która przy okazji zawierała informację o jego stanowisku.

De Villefort rozumiała i jedno, i drugie. Tęsknotę za szybkością i pożądanie komfortu. Sama bardzo chętnie z Vincentem Vegą przeglądała katalogi supersportowych aut, gdy postanowił wydać kilka baniek, które według jego własnych słów dostał za pewną fuchę. Co w końcu wybrał, Andrea się nie dowiedziała. Lecz ta blisko dwutonowa limuzyna nie zapewniała ani jednego, ani drugiego. Może i była szybka, lecz systemy elektroniczne oddzielały kierowcę od bezpośredniego oddziaływania na silnik, całkiem jak gromada urzędników zatwierdzających jego decyzje.

Poza tym nie lubiła mężczyzn farbujących włosy i już w drugim zdaniu wciskających informację, ile to szmalu zarabiają.

- Faktycznie, muszę gdzieś pojechać, ale to auto wygląda na strasznie wolowate, a ja akurat się śpieszę. - Zrobiła współczującą minę.

Jakby zamachała bykowi czerwoną płachtą przed oczami.

- Do setki w cztery i dwie dziesiąte sekundy, do dwustu w niecałe trzynaście - wyrzucił z siebie bankier, prawie się krztusząc.

- No może - nie spierała się de Villefort.

Otworzyła drzwi swego porsche, zdjęła szpilki i sadowiąc się w ergonomicznie ukształtowanym fotelu, pozwoliła, żeby jej mini podjechała dokładnie do koronkowego obrzeża pończoch.

Mężczyzna nie spuszczał z niej oczu.

- Będę na ulicy za siedem sekund, kolejne pięć mogę na pana poczekać. Jeśli pan zdąży, może mnie zaprosić na szklaneczkę. Ale jak powiedziałam, śpieszę się, a to pańskie auto... - Rzuciła mu przeproszający uśmiech, zamknęła drzwiczki i przekręciła kluczyk startera. Bankowiec w pośpiechu wsiadał do wozu.

De Villefort palcem wskazującym aktywowała telefon samochodowy.

- Mam wolną drogę? - zapytała znajomego parkingowego.

- Jasne, madame, może pani wystrzelić jak diabełek z pudełka.

- Dzięki - pożegnała go komtesa, wrzuciła jedynkę i mocno nadepnęła na pedał gazu.

Ryk motoru odbił się echem od ścian, szerokie opony z ekstremalnie przyczepnej masy kauczukowej zapiszczały i dosłownie katapultowały srebrzysty samochód do przodu.

Niedaleko od wyjazdu z garażu stanęła przy krawężniku, obserwując wskazówkę sekundnika na zegarze pokładowym.

Zadzwonił telefon.

- Madame? - odezwał się głos parkingowego. - Na tego pana, który tak za panią pognał, może pani już nie czekać. Nie wyrobił zakrętu i przeleciał przez barierkę na pas dla wjeżdżających.

- Jeszcze raz dziękuję, życzę przyjemnej służby.

- A pani miłego wieczoru, madame.

Andrea włączyła się do ruchu. Dokąd pojedzie, zależało od tego, co powie jej Marty.

Odezwał się po niecałych dziesięciu minutach.

- No więc mam to - przeszedł od razu do rzeczy. - Przedwczoraj przybył doktor Akawa z zespołem i sześcioma specjalistami technicznymi. Nie znalazłem żadnych danych, co to za jedni. Wszyscy pracują dla wojska. Razem z nimi przyleciało czterech gości. Ci są zupełnie nieprzejrzysti.

W agencyjnym slangu oznaczało to, że dokumenty podróżne były niewypełnione.

- Ochroniarze Akawy - domyśliła się de Villefort. - Kiedy wojsko chce kogoś zamaskować, zwykle robi to tak idiotycznie, jakby go wskazywało palcem.

- Dokładnie tak - zgodził się Marty. - Uważaj na siebie.

- Jasne, znasz mnie przecież, jestem ostrożną dziewczynką - odpowiedziała Andrea, zmieniła pas na lewy skrajny, wyprzedzając dwie ciężarówki, i wróciła na środkowy.

- No pewnie - westchnął głos w telefonie i umilkł.

De Villefort zamiast do swego mieszkania numer jeden pojechała do mieszkania numer trzy. Człowiek z trudem pozbywa się starych nawyków, a ona nawet tego nie próbowała. W każdym świecie, na każdej misji miała kilka miejsc, w których mogła się ukryć, wylizać z ran i w razie potrzeby uzupełnić wyposażenie. Na razie przebijała się przez wieczorny szczyt komunikacyjny, rozmyślając o tym, z jakiego powodu do leczenia doktor Lavassi powołany został tajny zespół lekarzy wojskowych. Ta akcja była z góry ustawiona. O co tu chodziło? Kto to zorganizował? Komtesa nie lubiła pytań, na które nie znała odpowiedzi. Szczególnie wtedy, gdy dotyczyły jej bliskich.

ŚLADEM NIEPRZYJACIELA



Na bezpiecznej wysokości trzech i pół tysiąca metrów „Berenika” wykona jeszcze jedno okrążenie nad zamieszkałym terenem. John Kovař wyglądał przez okno, zostawiając śledzenie mapy nawigatorowi i jego zastępcy. Obszar zajmowany przez ludzi znajdował się na zakręcie pasma Karpat i obejmował około pięciu tysięcy kilometrów kwadratowych. Zakładów przemysłowych było bardzo niewiele, wydawało się, że ich specjalizacją jest hodowla wielkich stad bydła.

- Zakończono naprawy - zabrzmiał w telefonie głos Jankisa.

- Co zostało uszkodzone? - zapytał stojący przy sterze Krystal.

- Dwie przestrzeleny poszycia kadłuba, jedna powłoki balonu. Ta zamknęła się automatycznie dzięki wewnętrznej warstwie fedeksu - meldował Jankis. - Przekazuję słuchawkę kierownikowi drużyny naprawczej.

Pomiędzy kierownikiem a Krystalem rozpoczęła się ożywiona rozmowa pełna pytań i odpowiedzi, naszpikowana fachowymi terminami, które Kovař rozumiał tylko częściowo. Zrozumiał jednak, że Krystal upewnia się, czy została przeprowadzona kontrola lin nośnych usztywniających kadłub „Bereniki”, i stara się ustalić, ile drogiego helu zostało utracone.

- Mamy sygnał! Ktoś chce nawiązać z nami łączność! - odezwał się głos z kabiny radiowej.

- Wezmę to - uprzedził wszystkich Kovař.

- Halo, halo, tu pułkownik Veren Belberow - odezwał się ktoś w języku bułgarskim.

Powtórzył to samo po rosyjsku, a potem spróbował łamanego niemieckiego.

- Rozumiecie mnie? Statek powietrzny, słyszycie mnie?

- Może pan mówić, kapitanie, usłyszysz pana - oznajmił dyżurny radiowiec.

- Tu John Kovař, kapitan sterowca „Berenika”, należącego do floty powietrznej państwa Koprivnice - odpowiedział JFK. - O czym chcecie z nami rozmawiać, po tym jak próbowaliście nas zestrzelić?

- Próbowaliśmy - pułkownik Belberow nie starał się tego ukryć. - Dostaliśmy takie zlecenie od handlarza niewolników, pracującego dla piratów z Kaukazu. Przypuszczali, że ktoś za nimi poleci.

JFK spojrzał na Krystala. Potwierdziły się informacje wydobyte z jeńca.

- Ile wam za to zapłacili?

- Niewiele, jeden stary silnik, radiostacja i informacja, że będziecie tędy przelatowali i że

macie mnóstwo znakomitego wyposażenia.

- A czego pan oczekuje po naszej rozmowie? - zapytał JFK. - Polowaliście na nas dość zawzięcie. Poruczniku Jankis? - powiedział przez linię wewnętrzną.

- Obserwatorzy meldują, że nie widać żadnych ruchów na ziemi, nie wygląda na to, żeby mieli zamiar czegoś spróbować - poinformował go porucznik, zanim JFK zadał pytanie.

- A moglibyśmy wojować jeszcze bardziej zawzięcie, może mi pan wierzyć. Nie wolno obiecać czegoś piratom, a później tej obietnicy nie dotrzymać. Oni mają swoje sposoby, żeby się dowiedzieć, jak było naprawdę - rzekł Belberow.

- Rozumiem. Zapytam jeszcze raz, czego pan oczekuje po naszej rozmowie?

- No cóż, lećcie za nimi, żeby odebrać coś, co jest wasze, jak rozumiem.

- Tak jest, pułkowniku, całkiem dobrze powiedziane.

- Jeśli się wam powiedzie, to może przyda się jakieś miejsce, w którym moglibyście się zatrzymać w powrotnej drodze i wylizać z ran. Ludzie będą potrzebowali wody, odpoczynku, sam pan wie, jak to jest.

- A dlaczego mielibyśmy wam zaufać?

- Nie musicie nam ufać. Możecie sobie wymyślić wszelkie zabezpieczenia, jakie przyjdą wam do głowy. Mnie wystarczy, że ubijemy interes. Oddacie nam w zamian wszystko to, bez czego będziecie się mogli obejść.

JFK spojrzał pytająco na Krystala. Znów natknął się na granicę swojej wiedzy o tym świecie. W domu taką ofertę natychmiast by odrzucił, tutaj wiele spraw wyglądało inaczej.

Technolog skinął głową.

- Dobra, zastanowimy się nad waszą ofertą. Przydałby się jednak jakiś zadatek, symbol dobrej woli z waszej strony - powiedział spokojnie.

- A co by to miało być?

- Z pana słów wynika, że co nieco o tych piratach panu wiadomo. Pomogłyby nam informacje o ich terytorium, uzbrojeniu i tak dalej.

- To by wam pomogło, na pewno - odparł pułkownik Belberow, z tonu jego odpowiedzi wynikało, że w przeszłości miał z tymi ludźmi coś wspólnego. - A co w zamian?

- Informacje, plany, silnik... - zaoferował JFK.

- Brzmi dobrze. W takim razie bierzmy się do interesów.

Cała część transakcji, podczas której Belberow przekazywał informacje o mieszkańcach Kaukazu i piratach, zabrała aż trzy godziny. „Berenika” krążyła nad państwem Belber, jak pułkownik z wrodzoną skromnością nazwał swoje dobra, a Krystal wraz ze swoimi ludźmi wykonywał rysunki techniczne silników i innych urządzeń, jakie mogły się przydać

miejscowym.

- A więc dużo szczęścia w walce - życzył im na koniec pułkownik.

JFK miał nadzieję, że mówi to szczerze, bo potrzebował takiego przystanku w drodze powrotnej. Wypatrzył już trzy jeziora, nad którymi mogliby zakotwiczyć.

- Z Bogiem, na razie - odpowiedział.

- Za górami jest pustkowie, śmiertelne pustkowie, nie zatrzymujcie się tam - Belberow ostrzegł ich nagle, bez wyraźnej przyczyny, i zakończył połączenie.

Kovař opasał się rzemieniem i zapiął go ciasno na sobie. Kilkaset metrów pod nimi przesuwwały się najwyższe szczyty Karpat i w kabinie zrobiło się bardzo zimno. Mimo świecącego słońca termometr wskazywał pięć stopni Celsjusza, lecz świeży śnieg na szczytach świadczył o tym, że temperatura powietrza jest jeszcze niższa. JFK tak przywykł do ciągłego odgłosu pracujących silników, że musiał wyteńczyć uwagę, żeby go usłyszeć.

- Tracimy wypór - oznajmił sternik wysokości. - Właściwie ciągniemy tylko śmigłami.

- No! - zgodził się z nim Krystal. - To przez ten cholerny masyw. Ale przynajmniej piwo będzie solidnie schłodzone. Mango? - zwrócił się przez telefon do szefa maszynowni. - Podpompuj trochę helu do balonów, powoli, dopóki Michał nie powie, że dosyć. Chcę lecieć z ujemnym wyporem aerodynamicznym, żebyśmy mogli podskoczyć o co najmniej trzysta metrów, w razie potrzeby - powiedział do drugiego sternika. - Kalvan? Zastąpisz mnie? Stercę tu już od czternastu godzin, muszę coś zjeść i trochę odpocząć. Zmiana pozostałych wacht za dwie godziny, zgodnie z harmonogramem.

John Kovař zwinął jedną z map i ruszył do drzwi jeszcze przed Krystalem. On też spędził w kabinie sterowania ostatnie czternaście godzin i zaczynał odczuwać zmęczenie. A zmęczenie rodzi błędy. Wrócił jednak na chwilę do telefonu.

- Poruczniku Jankis?

- Tak, kapitanie?

- Za chwilę w jadalni będzie podany obiad. Pójdzie pan tam ze mną, a później czeka pana regulaminowy odpoczynek. To rozkaz, zrozumiał pan?

- Tak, kapitanie, zrozumiałem.

Krystal przyszedł do jadalni z dwiema szklankami i dużym dzbanem pełnym piwa.

- Należy się nam. Za chwilę przyniosą coś do jedzenia.

JFK nalał sobie bez pytania i solidnie się napił. Piwo smakowało wyśmienicie, dopiero teraz zorientował się, jak bardzo był spragniony.

- Ile go jeszcze zostało? - zapytał. - Obliczając według przydziałów, powinna kończyć się i

ta druga beczka. Więcej mógł ich pan przemycić na pokład tylko z dużym trudem.

Technolog też się napił. Kovař zdał sobie nagle sprawę, że brzuch Krystala nie jest tak wydatny jak na początku wyprawy. Nieustająca praca i napięcie odciskały na nich wszystkich wyraźne piętno.

- Do wyważenia „Bereniki” służy piętnaście zbiorników z wodą, każdy ma dwa i pół tysiąca litrów pojemności. Trzy z nich zawierają paliwo, jako awaryjną rezerwę dla naszych dziewięćdziesięciu ton głównego zapasu. Już nieco z nich uszczknęliśmy. Oprócz tego są jeszcze mniejsze zbiorniki, do poprzecznego wyważania, już o nich mówiłem przedtem. Do dwóch kazałem napompować piwa i mamy tysiąc litrów. Lecimy wysoko, piwo się chłodzi, jakiś czas spokojnie wytrzyma.

JFK pokręcił tylko głową, opróżnił szklankę do końca i zabrał się do porcji mięsa, którą przyniesiono właśnie z kuchni. Stanowiła ona obiadokolację na dziś.

Ryzykowali życie, przez pół Europy ścigali handlarzy niewolników, którzy uprowadzili dwa tysiące ludzi, narażając ich na śmierć przez zarażenie zabójczymi szczepami wirusów, a tymczasem Krystal zabrał ze sobą tysiąc litrów piwa jako balast. W gruncie rzeczy spodobało się to agentowi. Trzeba było choć na krótko uwolnić się od nieustającej walki na śmierć i życie, jaką miejscowi toczyli ze swoim światem.

Obaj mężczyźni jedli w milczeniu. „Berenika” leciała spokojnie stałym kursem, wydawało się prawie nierzeczywiste, że unosi się wysoko w powietrzu.

- Jankis ma tam żonę i obie córki - rzekł naraz Krystal. - Zrobi wszystko, byle tylko osiągnąć sukces. I ufa panu, wierzy, że wie pan, jak je uratować.

JFK wiedział, że porucznik zrobi wszystko, co trzeba, widział to w jego oczach podczas przesłuchania jeńca. Zaciekłość, strach, wściekłość, emocje żelazną siłą woli zbite w jedną całość.

- Wiem - powiedział cicho, tłumiąc nagły dreszcz.

Dreszcz na myśl o tym, że nie będzie wiedział, jak uratować dwa tysiące mężczyzn, kobiet i dzieci, że zawiedzie tych, którzy mu ufają, i samego siebie.

- Mogę się przysiąc? - wyrwał go z tej smutnej zadumy brat Kali.

JFK skinął zapraszająco ręką, Krystal podniósł się, żeby przynieść trzecią szklankę, a przy okazji dolał piwa do dzbana.

- W jaki sposób regulujemy wysokość lotu? W górę albo w dół. Cały czas zużywamy paliwo, wodę, hel, żywność... Jak dotąd nie słyszałem, żeby padł rozkaz upuszczania helu - zapytał JFK, żeby zmienić temat.

- Hel jest drogi, produkowaliśmy go przez pięć lat - odparł Krystal. - Pod nami, ze

względu na właściwe położenie środka ciężkości, znajdują się dwa zbiorniki o pojemności dziesięciu metrów sześciennych każdy - wyjaśniał. - Z wysokogatunkowej stali, mogące wytrzymać ciśnienie tysiąca trzystu megapaskali. Dzięki nim mogą te zbiorniki, o grubości ścianki nieco powyżej pięciu centymetrów, napełnić helem pod ciśnieniem czterdziestu megapaskali czy, jak wolicie, około czterystu atmosfer.

- Ale co to znaczy? - nie zrozumiał brat Kali.

JFK pomału zaczynał pojmować, o co chodzi.

- To znaczy, że w jednym zbiorniku mogę zmagazynować cztery tysiące metrów sześciennych helu, jaką to objętość zajmowałby pod ciśnieniem atmosferycznym. Jeden zbiornik mamy napełniony na dziewięćdziesiąt procent, drugi na dwadzieścia. A to znaczy, że w razie potrzeby możemy zapewnić „Berenice” około czterech i pół tony pionowej siły nośnej albo trzy tony siły ujemnej dla utraty wysokości.

Ksiądz rozważał te wiadomości, popijając piwo.

- To naprawdę sprytne - ocenił w końcu.

- Ale do tego potrzebne są cholernie silne wentylatory i sprężarki - głośno myślał Kovař.

- I mamy je. - Technolog wyszczerzył zęby. - Już mówiłem, że w dziedzinie silników jestem najlepszy.

- A co znaczy lecieć z ujemnym wyporem aerodynamicznym? - chciał się dowiedzieć JFK.

- Nasze śmigła mają zmienny ciąg, a gondole silników profil podobny do skrzydeł - wyjaśniał Krystal. W każdym jego słowie kryła się duma z własnej pomysłowości. - Dodajemy „Berenice” wyporu, tak żeby mogła się wznosić, ale równocześnie przechylamy gondole silnikowe wraz ze śmigłami w dół, zmuszając ją do lotu na niższej wysokości, niż wynikałoby to z wyporu statycznego. Dzięki temu po przestawieniu śmigieł na ciąg do góry możemy uzyskać wznoszenie na poziomie kilkuset metrów na minutę - zakończył wywód technolog i pierwszy sternik w jednej osobie.

Drzwi otworzyły się, przybyły nacisnął guzik zabezpieczenia przed niepożądanym otwarciem, w razie na przykład rozruchów na pokładzie, i wszedł do jadalni. Był to Jankis w towarzystwie swojego zastępcy.

- Siadajcie i bierzcie się za jedzenie - zaprosił ich do stołu Kovař. - Mamy mało czasu, zróbmy przy okazji nieformalną naradę.

Podczas podróży nauczył się wielu prawideł i wymagań technicznych dotyczących żeglugi powietrznej, dzięki czemu uzyskał wycucie sytuacji i mógł lepiej planować działania. Ale wiedział też, że to nie jego świat i wielu rzeczy wciąż nie dostrzega.

- Według tego, co mówił Belberow, będziemy mieli do czynienia z jednym dużym

sterowcem bojowym, trzema małymi i dwoma transportowymi z jeńcami na pokładzie. Dobrze mówię?

Popatrzył po pozostałych. Nikt nie zaprotestował.

- Może byłoby dobrze, gdyby udział w naradzie wzięła doktor Kaňkova? - zaproponował Jankis.

JFK kiwnął głową na znak zgody.

- Jest w strefie kwarantanny - zwrócił uwagę brat Kali.

Krystal wstał i wykręcił numer w aparacie odrębnej sieci telefonicznej.

- Pani doktor? Tu najgorszy z pani pacjentów. Słyszysz mnie pani? Mamy naradę.

- Słyszę, jakbym tam z wami siedziała - zabrzmiała zwięzła odpowiedź.

Zadowolony Krystal usiadł z powrotem przy stole.

- Dalej - kontynuował JFK. - Mieszkańcy Kaukazu dysponują znacznymi siłami lądowymi. To znaczy, że kiedy tylko piraci dotrą do swoich zleceniodawców, wypadamy z gry.

- A więc musimy ich doścignąć, zanim tam dotrą - podsumował Krystal. - A mają nad nami przewagę jednego dnia.

- Silniki pracujące na pełnej mocy będą nas kosztowały mnóstwo paliwa - stwierdził JFK.

- Jaka jest nasza prędkość maksymalna?

- Sto czterdzieści, sto czterdzieści pięć kilometrów na godzinę na wysokości do dwóch i pół kilometra. Wyżej silniki tracą część mocy z powodu niedostatku tlenu - odpowiedział natychmiast technolog.

JFK położył na stole mapę i rozwinął.

- Najkrótsza droga wiedzie przez Morze Czarne. Biorąc pod uwagę ich prędkość podrózną, ocenianą na około sześćdziesiąt kilometrów na godzinę, oraz konieczność lądowań co dwadzieścia cztery godziny dla odnowienia zapasu wody i dotankowania przeciążonych maszyn transportowych, będą zmuszeni okrążyć ten akwen. My możemy nad nim przelecieć i w ten sposób ich wyprzedzimy.

JFK rozejrzał się, czekając na uwagi.

Zaczął Krystal, tak jak agent przypuszczał. Wiedział on zaskakująco dużo o statkach powietrznych, piratach i handlu niewolnikami.

- Niebezpiecznie lecieć nad Morzem Czarnym. Rządzi nim Kriegsmarine - oznajmił z niechęcią Krystal.

Nikt nic nie powiedział, jednak zaciekawione twarze były dostatecznie wymowne.

- Są to spadkobiercy oraz nowi właściciele starych okrętów wojennych Marynarki Austro-

Węgierskiej - wyjaśniał Krystal. - To taka arystokracja morska, której pozycja wypływa z posiadania stuletnich, ale pieczołowicie utrzymanych krążowników. W praktyce władają Morzem Śródziemnym i Czarnym. Ich działa mają kaliber sześćdziesięciu sześciu milimetrów, co zapewnia pułap ostrzału do wysokości dwunastu tysięcy metrów. Nikt nie próbuje tamtędy latać, chyba że szaleniec lub ktoś mający po temu jakiś szalony powód. To aroganckie bękarty, jednak gdy trzeba kogoś zestrzelić, umieją się szybko dogadać.

JFK dał znać gestem, że zgadza się z opinią Krystala. Nie interesowało go, skąd technolog to wie.

Krystal zamilkł, wyraźnie błędził myślami w przeszłości.

- Wzięli mnie do niewoli, prawie wszystkich - zaczął po chwili wolno, jakby z wahaniem. - Było nas około dwóch setek, mieszkańcy wiosek zbudowanych między górami, osad, w których ludziom zaczynało się powodzić trochę lepiej - ciągnął coraz składowiej i szybciej. - Siedzieliśmy w żelaznych koszach, umierając na jakąś piekielną gripę, kiedy nastąpił atak. Nie wiem, kim byli napastnicy, może inni piraci, a może jacyś ich wrogowie. Wiem tylko, że porywacze ponieśli ciężkie straty. Sterówce napełnione wodorem pospadały w płomieniach, helowe ledwie się utrzymywały w powietrzu z licznymi przestrzelinami wzdłuż i wszerz, większość załogi poległa. Wtedy przyszedł jeden z ich dowódców z pytaniem, który z nas potrafi naprawić silnik. Mieliśmy w domu dwa traktory, zajmowałem się nimi. Zgłosiłem się. Latałem z piratami przez cztery lata, najpierw przykuwany do miejsca pracy, później jako prawie pełnoprawny członek załogi. Ze statku powietrznego nie mając uciec. Nikt z mieszkających w mojej wiosce nie przeżył, więc nie było nawet sensu uciekać. Potem nadeszła dalsza partia jeńców i zobaczyłem, jak umierają, cierpią, jak są jeszcze za życia zrzućani na ziemię z dużej wysokości. Znalazłem pomiędzy nimi kobietę, którą pokochałem. Miałem plan, jak ją uratować i uwolnić. Już nadarzyła się okazja do ucieczki, lecz w ostatniej chwili przełożyłem ją na następny dzień, kiedy szanse powodzenia miałyby być większe. Jednak podczas burzy, których przeżyłem na pokładzie całe dziesiątki, gondola pełna jeńców urwała się z mocowań.

Krystal umilkł, napił się i nieco ochrypłym głosem opowiadał dalej:

- Uciekłem, zemściłem się, ale dla Bereniki było już za późno. Od tej pory nigdy się nie ugiąłem, nigdy nie czekałem na lepszą okazję. Jeśli uważacie, że trzeba lecieć przez morze, to polecę. Jeśli jest tu ktoś, kto mi nie wierzy, niech powie od razu.

Wstał i z powagą spoglądał na każdego z obecnych.

- Polecimy z tobą nawet do piekła, jeśli będzie trzeba - odpowiedział Jankis chłodnym, wypranym z emocji głosem.

- Którędy zatem poleci nasz nieprzyjaciel? - Kovař wrócił do nurtującego ich problemu,

wskazując na mapę. - Południową trasą, przez dawną Turcję, czy północną, przez Rosję?

- Jeśli polecą na północ, będą się musieli dostać do domu przez Wielki Kaukaz. - Jankis wskazał na długie na ponad tysiąc kilometrów pasmo górskie o wysokości dochodzącej do pięciu tysięcy metrów.

- Ale na południu nie będą mile widziani...

- Kapitanie, idzie burza - przerwał naradę głos drugiego sternika.

- Wygląda na to, że ze snu nici... - stwierdził Krystal, wstając od stołu jako pierwszy.

JFK nie wierzył własnym oczom. Jeszcze przed godziną lecieli w pełnym słońcu, mając rozległy widok na dziesiątki kilometrów dookoła. Teraz horyzont z lewej strony ściemniał, wielkie jak góra cumulonimbusy kłębiły się, wznosząc na ogromną wysokość.

- Te niższe chmury są gdzieś na dwóch kilometrach, ale wyższe sięgają pięciu, sześciu, już za późno, musimy je wyminąć - ocenił sytuację Krystal.

- A więc lecimy na północ - stwierdził Kovař. - Nie zapominajmy tylko, że musimy być nad Tbilisi przed piratami.

- Nie zapomnimy - skrzywił się Krystal.

Poryw wiatru zakłósał spokojnie dotąd lecącym sterowcem. JFK złapał się poręczy, żeby nie stracić równowagi.

- Mango! - zawołał do telefonu technolog. - Wszystkie silniki na moc dziewięćdziesiąt procent, dopilnuj, żeby zbiorniki grawitacyjne były pełne, a ludzie niech kontrolują temperaturę. Pełne pogotowie.

Warkot silników przybrał na sile, przypominał teraz głuchy pomruk rozdrażnionego niedźwiedzia. Za chwilę dołączył do niego przenikliwy świst wiatru dmącego na stale szybciej lecącą „Berenikę”.

Front burzowy pomału się oddalał, ale nagle, jakby skokiem, znów się zbliżył i silny wiatr zaczął kołysać kadłubem wokół osi podłużnej, JFK wyczuł rosnące napięcie w kabinie sterowania, obaj sternicy nie spuszczaali oczu z przyrządów.

- Z jaką prędkością lecimy? - zapytał.

- Sto trzydzieści pięć - odpowiedział Krystal. - Jeśli zacznie wiać mocniej, nie utrzymamy jej.

- Jakim sposobem burza tak szybko nas dogoniła? - nie rozumiał JFK.

- Ona nas nie dogoniła, tworzy się właśnie dookoła nas - zabrzmiała odpowiedź.

Kovař znów wyjrzał przez bulaj i stwierdził, że niebo wytwarza ogromne ciemne chmury z małych, niewinnie wyglądających obłoczków. Słońce zniknęło, chmury przybrały kolor

atramentu przemieszanego z roztopionym ołowiem.

- Meldujcie temperaturę silników - zażądał Krystal.

- W normie, pełna moc, wysokość dwa, trzy, spróbujemy przebić się w spokojniejsze okolice.

Świst powietrza przybierał na sile. Kovař czuł, jak dzieło ludzkich rąk walczy z nieprzyjazną pogodą, jak przedziera się byle dalej od szalejących żywiołów. Miał nadzieję, że zdążą. Niepotrzebna mu była walka z przyrodą, zamierzał walczyć z ludźmi. Na tym się znał.

CZARODZIEJ I REWOLWER



Krystyna Rustova usiadła z powrotem na swoim miejscu, z fotografią smętnego fircyka trzymającego maskę w zwieszanej ręce. Na pustym krześle, zajmowanym poprzednio przez Bitzky ego, położyła torbę z towarem.

Śledztwo w sprawie wypadku, w którym Bitzky poniósł śmierć, szybko zmierzało ku końcowi. Sądząc po tym, z jakim szacunkiem policjanci w uniformach przypominających ilustracje do „Trzech muszkieterów” odnosili się do mężczyzny w gronostajowym płaszczu, winnym uznano pieszego. Rozwiązanie wygodne dla wszystkich.

Popatrzyła na fotografię, którą wyjęła z kabatu Bitzky ego. Młodzieniec przedstawiony na niej był według wszelkiego prawdopodobieństwa Cagnusem, człowiekiem, o którego chodziło. Od razu jej się nie spodobał. Fotkę zrobiono bez pozwania, ale dobrze oddawała oziębły i pogardliwy zarazem wyraz oczu młodzieńca. Rustova domyślała się, że to tylko jedna z części jego osobowości. Swobodną pozę fircyka cechowała wyraźna pewność siebie. Człowiek umiejący właściwie patrzeć stwierdziłby, że wręcz niebotyczna pewność siebie.

Zarejestrowała w pamięci jego podobiznę i schowała zdjęcie pod obrusem. Przekręciła krzesło tak, żeby mieć na oku wszystkich wchodzących do restauracji.

Zdała sobie sprawę, że stopniowo wzbudza coraz większe zainteresowanie obecnych. Była jedyną kobietą siedzącą przy stoliku samotnie. Według miejscowych obyczajów coś takiego nie powinno mieć miejsca.

Wszedł starszy pan z wąsikami i dwukolorową maską. Mimowolnie przyłożyła do oczu swoją i skinęła na kelnera.

- Mój mąż jest lekarzem, musiał odejść do nagłego wypadku, proszę o rachunek i niech mi pan sprowadzi droksik - użyła właściwego słowa dla określenia taksówki o napędzie parowym.

Kelner uprzejmie obiecał spełnić jej życzenia. Widać było, że jego zdaniem bez względu na to, z jak ważnych powodów to nastąpiło, kobieta nie powinna siedzieć w restauracji sama.

- Czy mogę pani w czymś pomóc? - Siwowłosa mężczyzna stał o dwa kroki od stolika Krystyny. W chwili gdy na niego spojrzała, ukłonił się z galanterią.

Chciała powiedzieć „nie”.

- Tak - odpowiedziała mimo to. - Mój mążzonek miał wypadek. Czy mógłby pan odprowadzić mnie do pokoju?

Miała uczucie, że mówi za nią ktoś inny. Nie musiała tego robić, gdyby się

zmobilizowała, ale wyczuwała, że to nie jest właściwa chwila do stawiania oporu. Mogłoby to tylko spowodować wzmożony nacisk.

- Oczywiście, madame, z przyjemnością.

Według tego, co wiedziała o tym świecie, w porze dziennej i w takim miejscu żaden mężczyzna dbały o swoją i jej reputację nie odpowiedziałby w ten sposób. Czyżby siwowłosey, uprzejmy elegant był w gruncie rzeczy zamaskowanym pod jego postacią czarodziejem? Jeśli tak, zachowywał się o wiele ostrożniej, niż Bitzky się spodziewał.

Gdzieś głęboko odczuwała obawę, jak się to wszystko zakończy. Ale stłumiła uczucie pod twardym pancerzem koncentracji. Nie lubiła, gdy ktoś manipulował nią jak marionetką. Nie znosiła tego, uważała za najgorsze, co może ją spotkać. Przypomniała sobie lata dzieciństwa i zacisnęła zęby. Nigdy więcej.

- Muszę wziąć klucz z recepcji - powiedziała, używając całej siły woli. - Niech pan weźmie, proszę, tę teczkę, małżonek ma w niej ważne przedmioty.

Drugie zdanie nie sprawiło jej trudu, chyba dlatego, że było prawdziwe.

Wzięła z recepcji klucz od pokoju numer dwieście sześć i pozwoliła mężczyźnie towarzyszyć jej na piętro.

Weszli do pokoju, w pierwszej chwili chciała od razu wyciągnąć rewolwer i zastrzelić tego człowieka, ale opanowała się i usiadła na zaścielonym łóżku, kiedy tylko poczuła nacisk, aby tak właśnie postąpić.

Jej towarzysz stał z boku, z pustym wyrazem w oczach. Teczkę położył na stole.

Czas płynął, Krystyna obserwowała taniec drobin kurzu w promieniach słońca, przenikających do apartamentu przez częściowo tylko zaciągnięte zasłony. Walczyła z chęcią sprawdzenia, czy jej beczynność jest wymuszona, czy spowodowana własną decyzją. Wiedziała jednak, że każde działanie okaże się błędem. Będzie miała tylko jedną próbę, na samym końcu. Nie powinna ostrzegać czarodzieja, że pozostała w niej zdolność do stawiania oporu.

Drzwi nagle otworzyły się i wszedł młody mężczyzna z bokobrodami i ufryzowanymi włosami w kolorze blond. Tutaj ludzie też farbują włosy, pomyślała bezsensownie. Spokój i uległość, jakie odczuwała do tej pory, zaczęły naraz ciążyć Krystynie. Człowiek, który z nią przyszedł, służył czarodziejowi tylko jako przymuszony posłaniec, dobrze, że nie zrobiła mu krzywdy.

- Pan Cagnus? Mam dla pana pewne przedmioty, mąż zamierzał zawrzeć z panem transakcję handlową. Teraz ja chciałabym ją przeprowadzić, skoro małżonek nie żyje.

Mówiła to zupełnie swobodnie, nie odczuwając żadnego przymusu.

- A więc poznała mnie pani. Biedny pan Bitzky, niech mu ziemia lekką będzie, lub temu, co z niego zostało. Miał naprawdę uważną żonę. Ach, cóż za tragedia - oznajmił ubawiony.

Znów poczuła ogarniającą ją falę wściekłości, lecz zdołała się opanować. Pod naciskiem cudzej woli czy też czarów nie było to takie trudne.

- Transakcję oczywiście sfinalizujemy, jednak chyba według nieco innych zasad.

Cagnus uśmiechnął się i przeszedł na środek pomieszczenia.

Wolnymi, niemal teatralnymi ruchami zaczął rozpinać kamizelkę zdobioną półszlachetnymi kamieniami oraz pasek od spodni.

- Niezbyt lubię uległe kobiety, trochę namiętności, a nawet strachu, to jest właśnie to, czego potrzebuje taki mężczyzna jak ja - deklarował.

Rustową rzeczywiście zdjął strach przed brutalnym gwałtem, przed oczami przemknął jej cały szereg obscenicznych scen pornograficznych, które Cagnus posłał jej do mózgu. Gdyby nie ekstremalna koncentracja, jaką się chroniła, zapewne krzyknęłaby ze strachu, czując się niczym mucha złapana w pajęczynę. A tak odetchnęła tylko głęboko.

- Nic? - powiedział z niezadowoleniem.

Przygotowała się na drugą falę obrazów, kiedy nagle otworzyły się drzwi i wszedł kelner w towarzystwie pracownika recepcji.

- Co państwo robią w pokoju czcigodnego pana Gavendi?! W cudzym pokoju! To niesłychane!

Nacisk na wolę Krystyny, który chciała właśnie przełamać, ustąpił, kiedy tylko zaskoczony Cagnus się odwrócił.

- Pana Gavendi? - czarodziej nie mógł zrozumieć.

Krystyna rozluźniła sznurowanie torebki i sięgnęła po rewolwer.

- Ty ścierwo, przyprowadziłaś nas do cudzego pokoju! - czerwony z wściekłości Cagnus zwrócił się do niej.

Złapała rewolwer obiema rękami, ani zbyt wolno, ani zbyt szybko, wycelowała i nacisnęła spust, dla pewności dwa razy. Huk wystrzałów wstrząsnął pomieszczeniem, na lewym udzie wściekającego się czarodzieja pojawiła się brzydka rana, a on sam runął na podłogę.

Nie stracił przytomności, ścisnął zranione miejsce obiema dłońmi i popatrzył na Krystynę z nienawiścią.

- Jeśli poczuje coś na kształt czarów albo czegoś niezwykłego, przestrelę ci kolano. Już nigdy nie będziesz chodził - ostrzegła go.

Jej zimny ton załamał Cagnusa, puścił ranę, złożył zakrwawione ręce i zaczął jęczeć.

- Ten człowiek jest czarodziejem i próbował mnie zgwałcić. Mnie zależy na reputacji, a waszemu hotelowi? - powiedziała do kelnera i recepcjonisty.

- Tak, tak, jakoś się dogadamy. - Obaj gorliwie przytaknęli.

- Wezwijcie lekarza, bo gotów się wykrwawić - dodała, stwierdzając nagle, że zaczyna jej się trząść głos i potrzebuje oparcia pod plecy. Objawiło się napięcie nerwowe, jakie tłumiała dotąd tak skutecznie. - I przynieście mi kieliszek koniaku - zadysponowała.

Jakby słysząc zamówienie, do pokoju wpadł Krasmun Bitzky z karafką w jednej ręce i kielichem z rżniętego szkła w drugiej.

- Dała pani radę! - Jego twarz promieniowała niekłamana radością.

- Pan, pan?!

Krystyna spojrzała, w której ręce trzyma rewolwer, a potem drugą wymierzyła partnerowi taki policzek, że aż stęknął.

- Nabraliście mnie! Nabraliście!

Bitzky, ignorując rozciętą wargę, nalał trunku do kielicha i podał Krystynie.

- Niestety, muszę przyznać, że ma pani rację - stwierdził. - Na pewno zasłużyłem na to, żeby mi pani przyłożyła rewolwerem, a nie tylko gołą dłońią. Była pani aż nazbyt łaskawa. Ten teatr to w gruncie rzeczy ostatnia pani próba, polegająca na działaniu w prawdziwej akcji. A ta skończyła się sukcesem, moje gratulacje.

Krystyna uspokoiła się, gdy dotarł do niej sens tych słów.

- Proszę wybaczyć. - Wskazała rozciętą wargę Bitzky ego, podając chusteczkę. - To znaczy, że postrzeliłam niewinnego? - Spojrzała na otrząsającego się z szoku Cagnusa.

Nie, to najprawdziwszy łotr. Właśnie zastanawiam się nad czarami, których użył do zatrzymania krwawienia i regeneracji organizmu. To wprowadzie bękart, ale tutejszy, więc nic przeciw niemu nie osiągniemy. Niestety... - Bitzky z rezygnacją wzruszył ramionami. Pójdziemy już? Okno startowe otwiera się za niecałą godzinę, a mamy do niego kawał drogi przez całe miasto. Droksik już czeka.



- Dobrze - zgodziła się Krystyna, chowając swojego Smith & Wessona .357 z powrotem do torebki pompadurki.

Odchodząc, dostrzegła wyraz ulgi na twarzy Cagnusa. Czarodziej zaczął mieć nadzieję, że wygrzebie się z tej afery stosunkowo niewielkim kosztem.

Przystanęła i przyglądała mu się przez chwilę.

- Wracaj, suko, do swojego świata - syknął.

Kopnęła go w zranione miejsce, gojące się za sprawą czarów. Silny ból i nowy krwotok spowodowały, że Cagnus wrzasnął i zemdłał.

- To ode mnie na pożegnanie, chociaż ładnie nie zrobiłam. - Pokręciła głową nad swoim postępkiem.

Sięgnęła do kieszeni na piersi siwowłosego dżentelmena, wyciągnęła z niej portfel i wsadziła do kamizelki Cagnusa.

Potem chwyciła wciąż jeszcze oszołomionego starszego pana za ramię i zaprowadziła do recepcji.

- Na górze leży indywiduum, które okradło tego oto dżentelmena. Doszło do bójki i wtedy pan...

- Draven, nazywam się Draven. - Mężczyzna częściowo wrócił do równowagi.

- Wyrwał złoczyńcy broń i go postrzelił, ale sam również został zraniony w głowę - tłumaczyła szybko recepcjoniście. - Może nie będzie wszystkiego pamiętał, ale ja widziałam to zajście.

Recepcjonista, przed momentem znajdujący się w pokoju, o którym mówiła Krystyna, słuchał uważnie i kiwał potakująco głową. Kelner stał obok skonsternowany. Nadbiegł kierownik.

- Dowody, potrzebne nam będą jakieś dowody na potwierdzenie tego, co się stało - wmieszał się do rozmowy, chociaż nie miał pojęcia, o co właściwie chodzi.

Dowody... - powiedziała przeciągle Krystyna. - Myślę, że u tego złoczyńcy znajdziecie mienie należące do czcigodnego pana Dravena. Ale na mnie już czas, panowie, droksik i mój mąż, to jest - zaśmiała się - mój mąż i droksik czekają - rzuciła na pożegnanie.

WALKA Z HURAGANEM



Stalowy kil, liny, duralowe podpory, laminaty, każda część ogromnej, stworzonej przez ludzi maszyny drżała desperacko, usiłując wymknąć się narastającej nie wiadomo skąd potężnej burzy. O słońcu można było zapomnieć, wyższe warstwy chmur przepuszczały jedynie słaby, mleczny poblask, wszędzie dookoła piętrzyły się ciemne wieże chmur burzowych.

JFK stał przy centrali telefonicznej, obserwując, jak telefonista przełącza rozkazy Krystala na poszczególne aparaty odbiorcze. Kolejne rozmowy przebiegały pomiędzy maszynownią a ekipą naprawczą celem rozwiązywania powstających problemów.

- Radio - rozkazał JFK. - Sprawdzajcie na krótkich i długich falach, jeśli coś znajdziecie, przełączcie od razu na kabinę sterowania - polecił. - Do tej pory zachowywali ciszę radiową, żebyśmy ich nie wysłyszeli. Lecieli razem, utrzymując kontakt wzrokowy. Na pewno pogubili się w tej nawałnicy i zaczną używać radia, a wtedy my ich znajdziemy.

- Spróbuję, kapitanie, jak tylko będę coś miał, usłyszysz pan to.

- Nie wiem, jak sobie poradzić z tą burzą - powiedział zaszepcony Krystal. - Kichać na kurs, wynośmy się stąd póki czas, co pan na to, kapitanie?

- Zgoda - potwierdził Kovař.

Jak dotąd Krystal usiłował zygzakować wokół wymaganego kursu wschodniego, ale dawało to coraz gorsze efekty. Zboczenie z niego było jedynym rozsądnym wyjściem.

Szybę czołową zalewała woda, którą napór wiatru gnał po wypukłości szkła cieniutkimi nitkami. Nawigator włączył wycieraczki i usiłował wypatrzeć w półmroku pod nimi jakiś punkt orientacyjny.

- Opadamy - zameldował krótko sternik wysokości. - Mamy na kadłubie kilkaset litrów wody - sprecyzował, operując sterem.

Krystal zostawił mu całą troskę o utrzymanie wysokości.

- Wyłączyć chłodzenie gazów wydechowych, uzupełnić zasoby wody - technolog połączył się z maszynownią.

- Mam sygnał! - przez stukot uderzających w szybę kropli wody, świst wiatru i warkot silników przebił się podniecony głos radiowca.

JFK zbliżył ucho do głośnika.

- Wybrzeże północne, starą... trasą... przesmyk...

Sygnał zanikł w wyładowaniach elektrycznych.

- Wybrali trasę północną - stwierdził JFK. - Tak jak i my.

- Tak, wobec tego ich też burza nie puściła dalej. Pewnie kręcimy się gdzieś blisko siebie.
- Na jakich falach nadawali?
- Na długich - odpowiedział natychmiast radiowiec.
- To możemy ich słyszeć z odległości kilkuset kilometrów - zachmurzył się JFK.

Nagły podmuch bocznego wiatru przewrócił na podłogę Kovařa i drugiego sternika, poprzez lukę w wypiętrzonych wysoko chmurach oświetliły ich promienie słońca. Wyglądało to tak, jakby znaleźli się w jedynym fragmencie wolnej przestrzeni otoczonej zewsząd ciemnym burzowym piekłem. Słońce szybko jednak zniknęło i znów nastała ciemność, jeszcze bardziej ponura i deprymująca niż przedtem. Rozświetlał ją tylko słaby blask przyrządów pokładowych.

- Wojskową... krzyżowy... - odezwał się znów głośnik. - Przesmyk... starą...
Sygnał znów zanikł.

- Starą trasą wojskową przez Przesmyk Krzyżowy - Kovař połączył usłyszane fragmenty w jedną całość.

Nagle wycie żywiołu ucichło, dostali się w pasmo spokojnego powietrza i znów zalały ich promienie słoneczne. Przelatywali właśnie nad szeroką, meandrującą rzeką z wieloma małymi dopływami. Kovař sądził, że to Dniepr, ale nie miał pewności. W jego świecie widziałby wielką, uregulowaną rzekę płynącą wśród niekończących się pól uprawnych i dużych, rozległych miast o wysokiej zabudowie. Teraz lecieli nad puszcza, poprzecinaną ciekami wodnymi i żółtawymi stepami. Ta ziemia była już od dawna opuszczona przez ludzi.

- Wydostaliśmy się z tego? - zapytał, nadal przyglądając się nizinnemu krajobrazowi.
- Nie wydaje mi się - odpowiedział Krystal, a skrywane napięcie w jego głosie zmusiło Kovařa do odwrócenia wzroku i spojrzenia do przodu, w kierunku lotu.

Kilka kilometrów przed nimi wznosiła się stalowoniebieska ściana chmur. U podstawy sięgała do samej ziemi, u góry zdawała się nikać gdzieś w niebie.

- Co to jest? - zapytał Kovař, słysząc strach we własnym głosie.
- Nie wiem - odparł Krystal. - Nigdy o czymś takim nie słyszałem. To chyba jakiś front chłodny - dodał niepewnie.

Kovař zamilkł, wydawało mu się, że lecą na spotkanie olbrzymiego młota, który z tytaniczną siłą wbije ich w ziemię.

Dostrzegli kilka następujących po sobie błyskawic, a później już tylko mruganie błędnych ogników daleko przed nimi. Z tak wielkiej odległości nie słyszeli huku gromów.

- Nie możemy tego oblecieć? - zapytał JFK.

Widok z bocznych okien wystarczył za odpowiedź.

Strome ściany chmur wznosiły się z obu stron „Bereniki”, swymi wysuniętymi mackami sięgając aż do kłębiącej się mrocznej masy, od której właśnie uciekli. Dostali się pomiędzy dwa fronty, wpadając przez przypadek w pułapkę.

- Kontakt, kontakt optyczny! Na godzinie trzeciej - zameldował obserwator z prawej burty. - Około pięciu stopni powyżej nas.

Nawigator przywarł do lunety.

- Tak, jest tam, to statek powietrzny - potwierdził.

Po chwili Kovař też go zobaczył przez zwykłą lornetkę.

- To mniejszy sterowiec półsztynowego typu - oznajmił Krystal. - Nie więcej niż dziesięć tysięcy metrów sześciennych gazu. Statek zwiadowczy o dużej wytrzymałości.

Nieprzyjaciel zbliżał się do pozornie jednolitej ściany gęstych chmur, błyski licznych wyładowań odbijały się od kadłuba sterowca, zmieniając go w świecące cygaro.

- Chcą przelecieć przez sam środek - nawigator ocenił poczynania obcej jednostki.

JFK uświadomił sobie, że w tej chwili na krótki czas przestali być wrogami, że w gruncie rzeczy życzy im powodzenia. Teraz i oni, i „Berenika” walczyli nie ze sobą, lecz z szalejącymi żywiołami.

- Już są bardzo blisko - mruknął nawigator pochylony nad okularem lunety.

Statek powietrzny uniósł dziób, jakby szykując się do przeciwstawienia wichurze wytwarzającej pionowy prąd duszący ku ziemi. W chwilę później dotknął ciemnej ściany chmur.

Z daleka wszystko wydawało się przebiegać wolno, ale Kovař wyobraził sobie, jak szybko w rzeczywistości potoczyły się wydarzenia. Dziób sterowca pochylił się nagle ku ziemi i statek powietrzny wpadł w głąb ciemnej, wypiętrzanej masy chmur. Przetoczył się i natychmiast rozpadł na dwie połowy. Maszyna zniknęła, ludzie zginęli. Wystarczył jeden jedyny dotyk orkanu.

- Musimy przez to przelecieć - szepnął Krystal i zaczął wydawać rozkazy.

- Poruczniku Jankis! - Kovař też miał szereg poleceń. - Będziemy się szybko wznosić. Niech pan spowoduje, żeby ludzie byli właściwie ubrani, zorganizuje patrole z maskami, które będą pilnować podstawowych stanowisk pracy i zapewniać doraźną pomoc. Niech pan zaczyna od razu i za dziesięć minut zamelduje o wykonaniu. Więcej czasu chyba nie będziemy mieli.

- Zrozumiałem - porucznik potwierdził przyjęcie rozkazu chłodnym jak zwykle głosem.

- Chcę, żeby mnie słyszeli wszyscy, z którymi właśnie nie rozmawia główny sternik - zażądał Kovař od łącznościowca.

Krystal w tym czasie zmienił kierunek lotu. Zaczął wznosić „Berenikę”, lecąc szerokim łukiem, aby trzymać się w strefie spokojnego powietrza, jak najdalej od obu zbliżających się frontów. Pompy tłoczące hel do balonów pracowały pełną mocą, podobnie silniki napędowe. Śmigła ustawione pod kątem do góry wwiercały się w powietrze, na sterach kierunku wiatr świstał jednostajnie.

- Trzy tysiące pięćset metrów - zameldował sternik wysokości.

- Zaczynamy obserwować spadek mocy silników - nadszedł meldunek z maszynowni.

- Kompresory, przygotujcie kompresory do podjęcia pracy - rozkazał Krystal, nie spuszczać z oczu sytuacji przed „Bereniką”.

Kompresory powinny zapewnić wystarczającą ilość tlenu do komór spalania silników, nawet przy spadającym ciśnieniu atmosferycznym otaczającego powietrza. JFK znów miał okazję podziwiać geniusz konstrukcyjny Krystala.

- Będziemy się wznosić bardzo szybko - zaczął podawać informacje dla załogi. - Wszyscy odczujemy osłabienie skutkiem obniżonego ciśnienia i niedoboru tlenu. Pierwsze nieprzyjemne oznaki mogą wystąpić już teraz. Nie zapominajcie połykać śliny, wyrównując w ten sposób ciśnienie w uszach. Poważniejsze kłopoty mogą wystąpić później, po przekroczeniu wysokości czterech tysięcy metrów.

- Tu trzy siedem, przygotowujemy kompresory - na tle warkotu silnika głos szefa maszynowni brzmiał słabo. - Silniki numer jeden, trzy i cztery w porządku, reszta trochę kuleje, pracujemy nad tym.

- Część z was może się teraz czuć przyjemnie, jak po wychyleniu paru głębszych - kontynuował JFK. - To złudzenie, wszystkim wam wydłuża się czas reakcji, niektórzy mogą mieć problemy z widzeniem albo z poprawną oceną sytuacji. Każdy, kto zauważy u siebie opisane objawy, niech się melduje do centrali. Porucznik Jankis będzie w takich przypadkach przynosił maski tlenowe.

- Wysokość cztery tysiące!

- Kompresor numer dwa gotowy!

- Świetnie, nie będziemy latać w kółko - mruknął Krystal. - Ładować do oporu, potrzebujemy każdego kilowata! - ryknął do mikrofonu.

Mimo ostrożnych manewrów jednolita ściana chmur i deszczu wciąż się przybliżała i sprawiała wrażenie jeszcze wyższej niż przed paroma minutami.

Czas płynął, maszyny starały się przewyciężyć grawitację i zmienne prądy powietrzne.

- Spada prędkość wznoszenia - zameldował sternik wysokości.

Kovař stwierdził, że oddycha z trudem i ma kłopoty z akomodacją wzroku przy

spojrzeniu na odleglejsze przyrządy. Temperatura w kabinie spadła do zera.

- Hel? - chciał wiedzieć Krystal.
- Jeszcze trochę jest - padła odpowiedź.
- Pompować balony dalej i wypuszczać balast wodny.

Nachylenie osi podłużnej się zwiększyło.

- Pięć tysięcy metrów - zameldował ktoś piskliwym głosem.

Ten nietypowy głos mógł być spowodowany niskim ciśnieniem powietrza lub kłopotami ze słuchem, JFK nie był pewny, na co postawić.

- Porucznik Jankis? Czy są meldunki o problemach zdrowotnych?

- Żadnych, kapitanie!

- Każda sekcja będzie meldować się po kolei - ryknął Kovař jak najgłośniej potrafił i skinął na łącznościowca. - Najpierw maszynownie od pierwszej do szóstej - rozkazał.

Trójka nie odpowiadała.

- Poruczniku?

- Już idziemy, kapitanie.

Nagle „Berenika” zajęczała wszystkimi spojeniami, gdy zaatakował ją gwałtowny podmuch wiatru. Dziób zaczął opuszczać się ku ziemi.

- Przepompować zawartość zbiorników jeden, dwa i trzy na rufę, maksymalny wydatek dwanaście do piętnastu!

Podczas gdy Krystal wykrzykiwał rozkazy, sternik wysokości starał się opanować pochylenie.

Ogromny sterowiec powoli wrócił do lotu poziomego, a następnie znów zaczął się wznosić.

Front burzy był już prosto przed nimi, nadal nieco ich przewyższając. Kovař nie był w stanie ocenić o ile.

- W trójce stracili przytomność, zostawiłem im maskę tlenową - zameldował Jankis.

- Brak meldunków z kabiny radio, stacji pomp numer dwa i wieżyczki strzeleckiej numer dwa. Wieżyczkę na razie zostawcie. - Decyzja Kovařa była bezlitosna dla jej obsady.

W aktualnej sytuacji wieżyczka nie była do niczego potrzebna.

- Sześć tysięcy pięćset metrów.

JFK miał wrażenie, że pogrąża się w ciemnym, coraz węższym tunelu. Wiedział, że jego stan pogorszył się wyraźnie, ale z żelazną konsekwencją powtarzał rozkazy i przekazywał Jankisowi liczby, których znaczenia nie był pewny.

- Wlatujemy w środek burzy - krótko oznajmił technolog.

„Berenika” zdrząła, pokrycie kadłuba zaskrzypiało, duralowe żebra wydały z siebie jakiś nieharmoniczny ton, a o przednią szybę kabiny załomotały lodowe grudki.

- Na takiej wysokości? - zdziwił się Kovař.

- Wyrzucić pięć skrzynek amunicji do dwudziestek - rozkazał Krystal. - I wypuścić więcej wody. Powłoka obmarza, ciągnąc nas na dół.

- Sześć tysięcy dziewięćset metrów - wymamrotał ktoś, po czym nastąpił moment względnego spokoju.

- Tracimy moc, kompresory nie dają rady!

- Minimalny pobór energii. Wyłączyć całe oświetlenie i ogrzewanie oprócz pomieszczeń szpitala.

JFK opierał się o pulpit. Zauważył, że nieostro postrzegana postać obok niego upadła na podłogę. Ten człowiek trzymał dotąd wielkie, zaopatrzone w rękojeść koło. To mogło być ważne. Ostrożnie przesunął się na jego miejsce, ujął koło i starał się utrzymać czerwoną wskazówkę w położeniu poziomym.

- Siedem pięć, jesteśmy nad burzą, teraz musimy się tylko szybko wynosić - powiedział ktoś.

Wtedy ciemny tunel otaczający Kovařa zawalił się, pozostawiając mały punkcik świetlny na samym końcu.

JFK odzyskał przytomność na podłodze, oparty o podstawę steru wysokości, z brodą pokrytą śliną i wymiocinami. Mętym wzrokiem dostrzegł stojącego u steru Krystala.

- Jankis był tu dwa razy, nie chciał pan tlenu, zmuszał Jankisa, żeby podał tlen mnie, a potem pogonił go pan do maszynowni - wyjaśnił technolog. - Jest pan cholernie uparty.

- Nic nie pamiętam. - Kovař pokręcił głową i ostrożnie wstał. - Przeżyliśmy dzięki panu.

- Nie wydaje mi się - powiedział Krystal. - Gdy już się zwałem, zjawił się ojciec Kali i nasadził mi na twarz maskę tlenową. A miał przy tym taką minę, jakby nic się nie działo.

Kovař milczał i zbierał siły.

- Nie lecimy już tak szybko, jak byśmy mogli - powiedział Krystal. - Pani doktor kazała utrzymywać wysokość czterech tysięcy metrów, żeby uniknąć choroby kesonowej.

- Tak, bardzo słusznie - zgodził się JFK. - Zimno mi, boli mnie żołądek i jestem głodny, cholernie głodny - zaklął nagle, gdy ugięły się pod nim kolana.

Na klęczkach sięgnął po mikrofon.

- Z porucznikiem Jankisem - rzucił do telefonisty. - Jakie mamy straty, poruczniku? - zapytał, gdy tylko zatrzeszczało w słuchawkach.

CZARNY, ŻÓŁTY I BIAŁY RASIZM



Mar-twy bia-łas do-bry bia-łas, sra-sram na wasz e-establishment - ogromny Murzyn starał się rapować, chaotycznie trzęsąc przy tym głową do rytmu, który czuł tylko on sam. Jego wygolona czaszka, ozdobiona na ciemieniu nalepionym na krzyż plastrem, w dyskretnym świetle halogenowych żarówek lekko połyskiwała. W lewej pięści wielkości melona niósł plastikowy kubek pełen piwa.

Każda próba uchwycenia rytmu powodowała pobrzękiwanie ciężkich, złotych łańcuchów, jakie nosił na szyi i nadgarstkach. Był to olbrzymi mężczyzna, sądząc po wypuszczonej na wierzch kolorowej koszuli opinającej mu boki, niezły grubas, ale brzęczenie mniej więcej kilograma złota było jedynym dźwiękiem towarzyszącym odgłosowi jego kroków; powierzchnia piwa w kubku pozostawała nieruchoma.

Zamiast do windy skierował się ku schodom wiodącym do pokoi zajmujących najbardziej ekskluzywną część hotelu. Roztaczał się z nich widok na Stare Miasto z jednej strony i Wełtawę z drugiej. Bogatych turystów kosztowało to słońną dopłatę do ceny pokoju.

Wielkiemu Murzynowi zagroził drogę barczysty osiłek w ciemnym garniturze i nijakim, szarym krawacie. Ostrzyżony najeża, miał przyklejony do szyi miniaturowy mikrofon. Na widok nadchodzącego znudzony wyraz jego twarzy zmienił się w pogardliwy grymas.

- To piętro jest zajęte, koleś. Nie ma tu nic dla ludzi twojego typu.

Murzyn zatrzymał się i wbił w ochroniarza nierozumiejące spojrzenie przyjacielsko nastawionego pijaka.

- Jakiego mojego typu? Ja nie jestem zły człowiek, absolutnie nie jestem, nie musisz się mnie bać. Chcesz łyka? Jak miód, powiadam ci, jak miód. Tu, w tym państewku, mają dobre piwo, fakt, dobre piwo. - Podtykał blondasowi kubek pod sam nos.

- Żaden problem, wszystko w porządku - powiedział osiłek do kogoś na drugim końcu połączenia radiowego. - To tylko jakiś schlany Negr, który chce sobie skrócić drogę przez nasz korytarz.

- Schlany Negr?

Murzyn potrząsnął głową, jakby nie wierząc własnym uszom.

- Mar-twy bia-łas do-bry bia-łas, sra-sram na wasz e-establish-ment - spróbował znowu podchwycić rytm i melodię rapowego hitu powstałego gdzieś pośród ponurych ulic Harlemu. Tym razem też mu się nie udało.

- Spadaj, małpiszonie - ostrzegł blondas, popychając olbrzyma dłonią w pierś.

Równie dobrze mógłby próbować popchnąć ciężarówkę.

- Wyglądasz na jednego z tych zasrańców z Ku-Klux-Klanu, brakuje ci tylko szpiczastej czapki i kaptura. - Murzyn czknął głośno. - A jak chętnie palicie ogień! Muszę ugasić ten pożar nienawiści rasowej - to mówiąc, chlusnął blondasowi w twarz zawartością kubka.

- Ten kutas mnie oblał, wywalę go na zęby i połamię kilka kości - warknął osiłek do swego radiowego partnera i wyprowadził cios, celując w krtań zuchwalca.

Blok był szybki, ale delikatny, wystarczył jednak, żeby uderzenie poszło w bok. Kontratak na splot słoneczny został przeprowadzony prawie niedostrzegalnie, ale osiłek wydał taki odgłos, jaki towarzyszy przedziurawieniu gumowego przewodu ciśnieniowego, i ukląkł na podłodze z wybałuszonymi oczami.

Korytarzem nadbiegli dwaj inni ochroniarze, prawie idealne kopie pierwszego.

- Tak tylko się trochę poszturchiwaliśmy - wyjaśnił Murzyn z niewinną miną, odskokiem ku ścianie uniknął ciosu pałki, wyczarowanej zza rozpiętej marynarki, a równocześnie lewą ręką walnął przeciwnika w łokieć wyciągniętego ramienia, obracając go przodem do ściany. Pchnął silnie, aż głowa goryla wgniotła płytę gipsową, którą wyłożona została ściana korytarza.

Trzeci miał się na baczności, zbliżał się w postawie bokserskiej, z jedną ręką kryjącą górną połowę ciała, drugą wyciągniętą przed siebie, lekko ugiętą w łokciu.

Podczas walki Murzynowi rozpięła się tahitańska, kolorowa koszula. Nie był otyły, jak się mogło wydawać. Przypominał starożytną rzeźbę z Halikarnasu ^[9], której zacięty miłośnik ekstremalnej kulturystyki poprawił muskulaturę przez zastosowanie programu morfingowego ^[10].

Goryl zaatakował lewą, Murzyn w ostatniej chwili zdążył uchylić głowę, pięść ześliznęła się po kości policzkowej, kopnięcia w skroń uniknął tylko częściowo, ale atak piętą drugiej nogi trafił do celu. Murzyn zachwiał się i cofnął kilka kroków.

- Zabiję cię, czarnuchu - syknął ochroniarz.

Przed uderzeniem w brzuch Murzyn w ogóle się nie bronił, przed kopniakiem w kolano wykonał unik i nagle złapał obie ręce napastnika za nadgarstki. Błyskawicznie przyciągnął go do siebie i jeszcze szybciej odepchnął. Wążący ponad sto kilogramów ochroniarz przeleciał w powietrzu prawie cztery metry i zakończył lot serią efektownych koziołków.

- Zawsze chciałem wypróbować ten sposób - mruknął Murzyn. - Ale trzeba się postarać, żeby dobrze uchwycić ręce.

Goryl, który uderzył głową w ścianę, zerwał się nagle z błyszczącym pistoletem w ręce.

- Zastrane fircyki - mruknął Murzyn, wyrwał tamtemu pistolet, podniósł ochroniarza do

góry i z ogromną, nieludzką wprost siłą cisnął nim w kompana, który niepewnie zbierał się z podłogi. To był ostatni akord, którym znokautował obu.

- No jak, biali chłopcy, chce któryś jeszcze trochę powalczyć? - zapytał, a z jego tonu można było wywnioskować, że odpowiedź twierdząca nie sprawiłaby mu przykrości.

- Wystarczy, Frank. - Wysoka, choć przy olbrzymie właściwie niepozorna brunetka położyła mu rękę na ramieniu. Wyszła właśnie ze schowka na wózki sprzątaczek. - Mam wprowadzić sporo znajomości, ale zorganizowanie trzech pogrzebów jednocześnie mogłoby się okazać nie takie proste.

Frank Boorman z pewnym żalem popatrzył na stękających na podłodze goryli i pomacał się po szczęce.

- Masz rację. Choć muszę przyznać, że byli niezli. To jakiś specjalny gatunek. Czy pokój już przygotowany? - zapytał.

- Tak - potwierdziła komtesa de Villefort. - Mam u ciebie dług.

- To drobiazg, gdybyś jeszcze czegoś potrzebowała, daj mi znać.

Frank Boorman zarzucił sobie na ramię jednego goryla, na drugie jego kompana, a ostatniego po prostu ciągnął za nogę po podłodze. Na szczęście do pokoju wynajętego przez Andreę nie było daleko. Boorman położył całą trójkę na podłodze, każdego porządnie napoił i oblał whisky, zabrał im wszystkie banknoty o nominałach większych niż dziesięć euro i na końcu wrzucił pod stół wizytówki dwóch znanych praskich nocnych klubów, w gruncie rzeczy burdeli.

- O mało co bym zapomniał.

Wrócił od drzwi, pod popielniczkę wsunął pusty listek po starym, dobrym rohypnolu ^[11], a następnie za pomocą specjalnej formy wykonanej z celulozy naniósł na brzegi kilku kieliszków odciski trzech różnych kształtów warg.

- To powinno wystarczyć. Zdaje mi się, młodzieńcy, że ta orgietka nie bardzo się wam udała - oznajmił na pożegnanie.

Na korytarzu ponownie spotkał się z Andreą.

- Wciąż jestem nieswój - przyznał. - Boję się o nią.

- Da sobie radę. - Komtesa położyła uspokajająco rękę na jego ramieniu. - A teraz powinienes w ciągu dziesięciu minut załatwić sobie jakieś alibi.

- To żaden problem. - Uśmiech nie zdołał zamaskować zatroskania.

- Dlaczego masz tu plaster? - Andrea wskazała opatrunek pośrodku głowy Franka.

- Ale tam! - Boorman machnął lekceważąco ręką. - Pomagałem jako porządkowy na jednym koncercie u nas na wsi i spadło na mnie szkło.

- No tak, rozumiem, na pecha nie ma rady - powiedziała Andrea i pomachała cyborgowi na pożegnanie.

Komtesa de Villefort na moment zatrzymała się przed drzwiami, rozpięta długi płaszcz i przerzuciła połą za rękojeść skrywającej się pod nim katany. Rozważała chwilę, co zrobić ze szpilkami. Po namyśle zostawiła je na nogach, chociaż wysokie obcasy nie są najwygodniejsze w przypadku szybkich działań. Doktor Akawa nie był aż tak niebezpieczny, o ile oczywiście człowiek nie znajdował się w roli omamionego obiektu eksperymentalnego lub w jeszcze gorszym przypadku przypiętego do chirurgicznego stołu.

Weszła bez pukania, poczuła zapach cygara, alkoholu, palonego opium i ciężkich perfum.

Główny pokój apartamentu zastała pusty. Słyszac podbite chichotanie i brzęk szklaneczek, podeszła do drzwi znajdujących się po prawej stronie. W wytwornym prospekcie hotelowym apartament zapewne opisano jako „luksus przeznaczony dla waszego relaksu”, ale pani de Villefort przypominał raczej nieciekawie umeblowane biuro z sąsiadującą z nim burdelową sypialnią. Tym, czego na reklamowych fotografiach na pewno brakowało, były dwie szcudrze obdarzone wdziękami platynowe blondyny w pończochach z czerwono-czarnymi koronkowymi podwiązkami.

Bez skutku starały się uszczęśliwić cynamonowożółtego, zaszuszonego człowieczka o japońskich rysach twarzy. Sądząc z wyrazu jego oczu, stracił wszelkie szanse przez dymek opiumowy i obie profesjonalistki starały się nadaremno.

- Akawa, Akawa, wciąż te typowo japońskie ciągoty do kobiet dwa razy większych od ciebie - odezwała się de Villefort, stojąc w drzwiach.

Chichot ustał, miała wrażenie, że kobiety też sobie zapaliły albo zażyły coś innego.

- Mam nadzieję, że nie zrobiłyście mu krzywdy, to dość kruchy staruszek - przerwała pełną napięcia ciszę.

Prostytutki roześmiały się sztucznie, otępiały wyraz twarzy doktora Akawy zniknął, zastąpiony wściekłością.

- I nie staje mu, nie staje, chociaż robicie wszystko, co można, no nie? - komtesa zwróciła się do prostytutek tonem towarzyskiej pogawędki.

Teraz już zupełnie przestały się bać, śmiały się i żywo potakiwały.

Doktor poderwał się, ale natychmiast upadł z powrotem na łóżko, powalony wymierzonym mu przez komtesę policzkiem.

- Precz, dziwki! - syknął do obu kobiet.

- Lepiej, żebyście naprawdę poszły - zgodziła się de Villefort. - Nie musicie oglądać tego,

co się tu będzie działo. Już im zapłaciłeś? - zwróciła się do Japończyka.

Odpowiedział niepewnym kiwnięciem głową.

Wstydliva nagość odbierała Akawie resztki pewności siebie.

- Ale należy się jakaś premia, no nie? Za taką ciężką pracę... - zasugerowała de Villefort.

Akawa walczył z ponizieniem i strachem. Nie chciał, żeby prostytutki były świadkami rozmowy prowadzonej przez komtesę w ten sposób, z drugiej strony bał się zostać z nią sam na sam.



Złapał spodnie, wyjął z kieszeni portfel, rzucił go jednej z kobiet i zaczął gorączkowo wkładać zmiętą sztukę odzieży.

- Weźcie sobie wszystkie pieniądze, ale karty kredytowe zostawcie. Znaleźliby was dzięki nim - poleciła prostytutkom de Villefort, dając równocześnie znak, żeby już poszły. - Ty mnie dobrze znasz, Akawa - zmieniła ton, kiedy zostali sami.

Jej głos przypominał syk klingi wyciąganej z pochwy.

- No, odpowiedz! - rzuciła, opierając mu skośny grot o pierś.

- Znam i ciebie, i to, co o tobie opowiadają.

- Co twój zespół robił z panią doktor Lavassi? Dlaczego trafiła pod waszą opiekę?

Komtesa nieświadomie poruszyła nadgarstkiem i na żółtej skórze Akawy pojawiła się cienka czerwona linia.

- Ludzi twojego pokroju agencja nigdy nie powinna najmować, bez względu na to, jak bardzo są uzdolnieni - rzuciła cicho, gdy milczał. - Wiesz, że uważam cię za parszywego szkodnika, którego należałoby zniszczyć. Może świat pozbędzie się dzisiaj jednego gnoja. Jeżeli mi nie odpowiesz!

Ostatnie zdanie wykrzyczała po japońsku, doktor Akawa targnął się do przodu i gdyby w porę nie cofnęła ostrza, Japończyk miałby za sobą połowę seppuku.

- Chcę wiedzieć, co robiliście z Lavassi. Jeśli mi nie powiesz, będziesz oglądał własne flaki. Wiesz, że to zrobię. Liczę do trzech.

Akawa głośno przełknął ślinę.

- Jeden... dwa...

- To był rozkaz, zadanie do wykonania dla agencji, żadna prywatna sprawa - zaczął mamrotać po japońsku. - System immunologiczny doktor Lavassi nie był w przypadku tej misji wzmocniony zwykłym typem bionanorobotów, ale typem zmodyfikowanym. Pozwalał na przechowanie w jej organizmie próbek wirusów, z którymi miała styczność. Ale równocześnie w ten sposób ochrona nie okazała się tak doskonała, jak być powinna. Groziło niebezpieczeństwo, że prędzej czy później wystąpi u niej zaraza. Przyjechaliśmy, żeby temu zapobiec.

Komtesa spuściła wzrok, jakby chciała przyjrzeć się noskom swoich szpilek, lecz miecz w jej ręce nawet nie drgnął.

- I odzyskać próbki, które przywiozła we własnym ciele - uzupełniła tę część informacji, którą Akawa przemilczał. - A co z Johnem Kovařem, on też ma taki ulepszony system immunologiczny? - zapytała z lodowatym spokojem.

- Tak - przytaknął gorliwie Akawa. - To nie jest ani łatwa, ani dostatecznie wypróbowana technologia. Powinni tam pojechać nasi ludzie, ale ten głupek nie dał się przekonać! - bronił się nagle o wiele energiczniej.

- A kto wydał taki rozkaz? Kto stoi na czele tej parszywej tajnej operacji?

De Villefort wiedziała, że takie rzeczy mają miejsce od czasu do czasu. Jeden wydział chce uzyskać przewagę nad drugim, a wojsko było obecnie w stanie półparanoidalnym. Ściągali broń ze wszystkich dostępnych światów, często wbrew wszelkim regułom obowiązującym w agencji.

- Nie. - Akawa pokręcił głową. - Tego ci nie powiem.

Popatrzyła na doktora i na kataną dotykającą jego nagiej piersi.

- Boję się ciebie, ale swojego szefa boję się bardziej. W porównaniu z nim nie masz mnie czym przestraszyć.

De Villefort stłumiła nagłą chęć rozsiekania tego nikczemnego człowieczka na kawałki, na wiele małych kawałków. John Kovař umierał gdzieś w świecie pełnym zarazy albo umrze wkrótce, a ona nic nie mogła na to poradzić. Odwołała się do swego żelaznego opanowania i zmusiła do myślenia.

Akawa dość szybko zdradził jej, o co chodziło, ale kategorycznie odmówił podania nazwiska człowieka, który całą sprawę zorganizował. Informacje uzyskane od Akawy nie na wiele mogły jej się przydać, dopóki nie miała dowodów, a te na pewno zostały starannie zniszczone. Tożsamość wojskowego rozkazodawcy natomiast byłaby przydatna w dalszym śledztwie.

- Byłeś łajdakiem, jesteś łajdakiem i zawsze nim będziesz - powiedziała cicho, klinga miecza błysnęła w powietrzu. Akawa zamknął oczy, przeczuwając swój rychły koniec.

Komtesa z głośnym szurgotem wsunęła miecz do pochwy.

- Kto walczy z potworami, musi się wystrzegać tego, żeby samemu nie stać się potworem - powiedziała głucho brzmiącym głosem, odwróciła się i poszła ku wyjściu. Stukanie jej obcasów po parkiecie i tykanie secesyjnego wahadłowego zegara były jedynymi dźwiękami, jakie rozlegały się w pokoju. Zatrzymała się przy drzwiach.

- Rozczarowałeś mnie, miałam nadzieję, że sięgniesz po rewolwer schowany na krześle pod marynarką - powiedziała, nie odwracając się.

- Nie chcę jeszcze umierać - szepnął doktor Akawa. Głos mu się trząsał po przeżytych napięciu nerwowym.

A to szkoda - westchnęła de Villefort, wyszła na korytarz i powoli ruszyła do windy. W oczach zabłysły jej łzy. Nie było w ludzkiej mocy uratować Johna Francisa Kovařa. Do otwarcia się najbliższego okna transportowego pozostawało jeszcze kilka tygodni.

PAŃSTWA ŚMIERCI



„Berenika” umknęła szalejącej burzy, przelatując wysoko nad nią, a teraz pędziła ponad monotonną równiną z szybkością stu trzydziestu pięciu kilometrów na godzinę, na wysokości dwóch tysięcy metrów. W pobliżu rzek i mokradeł rosły liczne lasy, cały pozostały teren zajmowały tysiące kilometrów kwadratowych stepów.

John Kovař tylko na krótko pojawił się w kabinie sterowania, aby przyjrzeć się okolicy i skonfrontować widok z mapą, którą na bieżąco śledził człowiek zajmujący się nawigacją. Potem z rulonem starych, dawno nieużywanych map Wielkiego Kaukazu poszedł do jadalni i zaczął wbijać sobie do głowy niezbyt wprawdzie szczegółowy obraz górskich szczytów i grzebieni. Podczas akcji każda informacja może przyczynić się do uratowania życia.

Według podsłuchanej transmisji radiowej piraci szykowali się do przelotu nad około tysiąc sto kilometrów długim i niecałe dwieście kilometrów szerokim pasmem gór, poprzez Przesmyk Krzyżowy, albo Przesmykiem Jvari, którą wiodła stara droga wojskowa. Kovař nie miał złudzeń, w obecnej chwili żadnej drogi z pewnością już tam nie było. Według oznaczenia na mapie przesmyk miał w swym najwyższym punkcie wysokość dwa tysiące trzysta osiemdziesiąt metrów nad poziomem morza, natomiast otaczające go szczyty wznosiły się na ponad pięć tysięcy metrów.

Wspomnienie przelotu ponad burzą spowodowało, że Kovař mimowolnie zadrżał. Zginęliby wszyscy, gdyby nie żelazna wytrzymałość Jankisa i tajemniczego księdza. Nie chciałby po raz drugi kusić losu takim szalonym przedsięwzięciem. Wrócił do map, starając się określić, ile miejsca na manewry będzie miała prawie trzystumetrowa „Berenika” wśród górskich szczytów. Niestety, nie dysponował mapą trójwymiarową o dużej dokładności uzyskanej dzięki zdjęciom z satelity.

- Napije się pan kawy? - Brat Kali trzymał dwa kubki i dzbanek z gorącym, apetycznie pachnącym naparem. - Wszyscy chorzy zdrowieją, moje posługi nie są im potrzebne - powiedział i nie czekając na odpowiedź, nalał Kovařowi pełen kubek.

Statek powietrzny łagodnie podskoczył do góry, dostawszy się w prąd wstępujący spowodowany bliskością zbocza góry. Kovař pomyślał, że w przypadku silnych prądów wstępujących i duszących powietrze, ten niewidzialny żywioł, mogłoby ich rozerwać jak szmacianą laleczkę.

- To zdumiewające, że zachował pan przytomność na tak wielkiej wysokości. To nam uratowało życie.

- Nie byłem sam - przypomniał Kali.

- Wyraziłem już swój podziw porucznikowi - powiedział JFK. - Zastanawiam się, co wam pomogło. Wrodzone cechy organizmów, nadzwyczajna wytrzymałość?

- A może wiara? - odparł ksiądz z uśmiechem. - Może całe lata medytacji? Wyrzeczeń? Nie wiem... - nie dokończył myśli.

Kovař popatrzył na jego czarny strój, przepasany czerwoną szarfą, i miecz, z którym się nie rozstawał.

- Jako jeden z niewielu może się pan poruszać bez obawy zarażenia. Musiał pan niejedno widzieć w swoim świecie.

Kovař zreflektował się nagle, że mówiąc „w swoim świecie”, naruszył własne incognito, ale ksiądz albo niczego nie zauważył, albo nic nie dał po sobie poznać.

- Ma pan rację, jestem uodporniony i dlatego podróżuję, zatrzymując się tam, gdzie mogę być ludziom użyteczny. Takie jest posłanie księdza. Czy u was jest inaczej?

Na słowa „u was” nie położył żadnego nacisku.

Kovař wzruszył ramionami.

- Każdy stara się być użyteczny na swój sposób. Ale ci ludzie, z którymi mamy walczyć, czy nie są pana bliźniami?

Ksiądz się uśmiechnął.

- Oczywiście, jednak ludzie na pokładzie są mi bliżsi. Ze względu na to, że jestem księdzem, będę się starał zabijać nieprzyjaciół najszybciej i najmniej boleśnie, jak się da.

- No to pozostaje mi tylko życzyć księdzu jak najwięcej sukcesów - uśmiechnął się JFK, któremu ta konwersacja dodała otuchy.

Roman Krystal dbał o stan techniczny sterowca i o to, żeby bez przeszkód dolecieć na miejsce. Jakie to będzie miejsce, co tam będą robić i w jaki sposób, pozostawało w gestii Kovařa. Dowódca ze swoją odpowiedzialnością jest zawsze sam. Dawno to zrozumiał, lecz nie było mu z tego powodu łatwiej.

- Kapitanie? - Z kabiny sterowania wyjrzał sternik wysokości. - Pani doktor Kaňkova prosi, żeby zwrócił pan uwagę na roślinność pod nami, zmieniła się, a ona chciałaby o tym z panem porozmawiać.

Godzinę później lecieli zaledwie trzysta metrów nad ziemią i wszyscy, którzy nie spali albo nie pełnili służby, obserwowali teren z nieprzyjemnym uczuciem chłodu. Obszary zielone porośnięte drzewami iglastymi oraz różnokolorowe połacie lasów mieszanych, oddzielone od siebie żółtawymi stepami, coraz częściej zmieniały się w obszary oznaczone czarnymi plamami. Po zmniejszeniu prędkości i dalszym obniżeniu wysokości lotu

stwierdzili, że cała roślinność, poczynając od drzew, aż do trawy, wyglądała na zaatakowaną jakąś chorobą, sprawiała wrażenie zatrutej. Drzewa pokrywała pleśń, odpadały od nich wielkie płyty kory wraz z kawałkami pni, z koron pozostały żalosne kikuty. Żdźbła trawy były rozszczepione i leżały na ziemi niczym poskręcane robaki.

- Co to jest? - zapytał ktoś spośród zgromadzonych przy oknach jadalni.

Kovař nie znalazł odpowiedzi. Widmowa, splamiona ziemia pod nimi budziła grozę i strach przed czymś nienaturalnym, co wymykało się dotychczasowym doświadczeniom.

- Czy możemy skręcić nieco w lewo? - odezwała się z głośnika doktor Kaňkova.

Nie opuściła swego królestwa, chociaż kwarantanna została już zniesiona.

- Mam na myśli kierunek na godzinę drugą.

Ona również przyswoiła sobie częściowo terminologię żeglugi powietrznej.

Roman Krystal spojrział pytająco na Kovařa.

- Zezwalam - powiedział krótko.

„Berenika” zmieniła kierunek i po chwili dostrzegli to, co przykuło uwagę lekarki, ich ostatniego anioła stróża, jak ją ludzie między sobą nazywali.

Przez pas zdrowej zieleni o kilkukilometrowej szerokości przechodziło stado koni. Zwierzęta pasły się rozciągnięte w długą wąską linię, trzymając się instynktownie lub na podstawie uprzednich doświadczeń jak najdalej od plamistych obszarów, wyglądających na zatrute.

- Za nimi, jeszcze dalej, jest drugie stado koni. Na granicy zieleni i tego paskudnego świństwa - zameldował obserwator przy teleskopie.

- Spójrzmy na to - zdecydował natychmiast Kovař.

Na niewielką zwłokę mogli sobie pozwolić.

Po chwili ujrzeli drugie stado koni, jednak wynędzniałych lub umierających. Zwierzęta ledwie stawiały kopyta, wychudzone do granic możliwości, większość z nich nie przejawiała żadnego zainteresowania paszą.

- Chciałabym im zrobić sekcję zwłok - mruknęła Kaňkova. - Przez lornetkę widzę, że się duszą, piana leci im z nozdrzy, te konie kaszlą krwią - informowała o swoich obserwacjach. - Są chore, zarażone jakimś rodzajem grypy. O podobnych objawach już czytałam.

- Założę się, że ta choroba bierze się z zatrutej ziemi - powiedział ktoś cicho.

JFK nie był biologiem, ale też tak uważał.

- Wygląda na to, że wirusy pokonały granicę pomiędzy roślinnością a światem zwierzęcym i do grona nosicieli dołączyły drzewa i inne rośliny - postawiła hipotezę Kaňkova. W jej słowach dało się wyczuć przestרח.

- Wysokość dwa tysiące metrów, prędkość sto trzydzieści pięć, poprzedni kurs. Mamy robotę i musimy być na czas - rozkazał Kovař, jakby przerażające zniszczenie świata w ogóle go nie dotyczyło.

Jego rozkazy rozproszyły ogólne przygnębienie, ale on sam nadal czuł grozę wobec zjawiska, jakie zaobserwował. Wraz z doktor Lavassi udowodnili, że nic z tego, co się tu dzieje, nie stoi w sprzeczności z naturalnym porządkiem rzeczy. A ludzie, którzy muszą tutaj żyć... Porzucił tę myśl i skupił się na zadaniu, jakie ich czekało. Znowu rozważał wszystkie sposoby walki piratów, o jakich usłyszał od Krystala.

„Berenika” leciała nad niekończącymi się obszarami zatrutej ziemi. Z każdą godziną zostawiali za sobą ponad sto kilometrów równiny, zdawało się niemożliwe, że gdzieś przed nimi znajdują się niebotyczne góry.

- Powierzchnia wody na w pół do trzeciej - zameldował obserwator przy teleskopie.

- Zmienić kurs - zareagował natychmiast Kovař.

Pojawiła się okazja do uzupełnienia zapasu wody balastowej, służącej do wyważenia sterowca, zakotwiczenia na krótki czas, wykonania przeglądu silników i innych prac obsługowych. Taką okazję na pewno wykorzystałby każdy statek powietrzny, jaki znalazłby się w tym rejonie. Woda i tutaj powinna stanowić ochronę przed zarazą.

Po zbliżeniu się do jeziora, czy może wielkiego zalewu, okazało się, że nie było to prawdą. Przywitał ich smród gnijących roślin i rozkładającego się mięsa. Roślinność wokół brzegu, wodorosty i całe ławice martwych ryb świadczyły dobitnie, że tu również toczy się walka pomiędzy makroskopijnym i mikroskopijnym światem.

- Trzymać kurs - rozkazał Kovař głosem bardziej szorstkim, niż chciał.

Jako pierwszy dostrzegł maszt służący do przywiązywania sterowców i domyślił się, czego mogą oczekiwać.

Kilkaset metrów od brzegu ujrzeli dużą, prymitywną sztuczną wyspę pływającą na pustych beczkach po paliwie. Na niej, chaotycznie rozmieszczonych, leżało kilkadziesiąt ludzi. Niczym nieprzykryci, w tych samych ubraniach, w których zostali porwani z domów.

Przez szkła lornetek widać było ich puste spojrzenia, wychudzone twarze, zdeformowane chorobą i pokryte krwawymi wybroczynami. Kolejne miejsce, w którym piraci porzucili część zdobyczy zabitą przez szczepionkę.

- Ilu ich jest? - zapytał ktoś.

- Trzydziestu ośmiu żywych i trzech, co do których nie mam pewności - odpowiedziała doktor Kaňkova.

JFK odwrócił lornetkę od wyspy umierających i zaczął systematycznie badać okolicę.

Akwen wodny był ogromny, a wyspa znajdowała się co najmniej osiemset metrów od brzegu. Jeśli nieprzyjaciel próbował zwabić ich w pułapkę, mógł to zorganizować o wiele lepiej.

- Dlaczego nie zrzucili ich po prostu na ziemię z większej wysokości? - szepnęła Roman Krystal na wpół do siebie.

Znał zwyczaje handlarzy niewolników lepiej niż inni.

- Z tego samego powodu, dla którego na wojnie lepiej nieprzyjacielskiego żołnierza ciężko zranić, niż zabić - odpowiedział mu spokojnie Kovař. - Trudniej jest opatrzyć rannego, niż pogrzebać trupa.

- I co my zrobimy? - odezwał się z głośnika porucznik Jankis.

JFK długo rozważał odpowiedź. Wiedział, że zatrzymanie się, strata czasu spowodowana ładowaniem umierających, ryzyko, że kwarantanna nie okaże się wystarczająco skuteczna i zaraza rozprzestrzeni się na załogę „Bereniki”, byłoby błędem. Z punktu widzenia żołnierza decyzja była jasna.

Wszędzie panowała cisza, wszystkie głośniki i telefony milczały.

- Musimy się dowiedzieć, kiedy ich tu porzuciono. Trzeba porozmawiać z którymś z nich - oznajmił sucho JFK. - Pani doktor Kaňkova, za dziesięć minut oczekuję od pani dokładnego opisu wymagań, które musimy spełnić z punktu widzenia kwarantanny. Pierwszy sternik, wykonamy teraz krąg, żeby się przekonać, czy wrogowie nie czyhają gdzieś w okolicy, czy nie wpadamy w pułapkę. Po wysłuchaniu relacji chorych umieścimy ich w naszym prowizorycznym szpitalu.

W głośnikach odezwały się pełne ulgi westchnienia.

- Panie Krystal, ma pan godzinę na podjęcie decyzji, czego możemy się pozbyć, aby zrównoważyć ciężar chorych.

Kovař mówił obojętnym tonem i miał nadzieję, że ktoś zaprotestuje, zażąda, żeby zmienił decyzję, błędną z punktu widzenia strategii. Wszyscy milczeli.

Po wykonaniu lotu patrolowego JFK uśmiechnął się z zadowoleniem. Nie zamierzał odwoływać decyzji. Wybrali go na dowódcę i teraz musieliby zabić, żeby móc zignorować jego rozkazy.

Silniki pracowały coraz ciszej, pompy tłoczące hel do zbiorników ciśnieniowych milkły jedna po drugiej. „Berenika” wznosiła się niecałe trzydzieści metrów ponad sztuczną wyspą pełną ludzi stojących nad brzegiem Styksu.

- Pani doktor? - powiedział Kovař cicho.

- Trzech ludzi w podgumowanych kombinezonach z najlepszymi filtrami, jakimi dysponujemy. Zejdą na wyspę i będą ładować chorych na nosze opuszczane bezpośrednio z

naszej sekcji. Kiedy skończą, zostaną podniesieni i dołączą do nas, dopóki się nie okaże, że nie są zarażeni.

JFK przez chwilę zastanawiał się nad jej planem. Był najlepszy z możliwych, ale trzech ludzi musiało zaryzykować życie.

- Kapitanie? - przemówił brat Kali. - Jestem uodporniony na wszystkie szczepy wirusów grypy. Nie sądzę, żebym mógł się od tych ludzi zarazić. Jednak nie mam pojęcia, co niszczy ten kraj. Ale łapać zwierząt nie zamierzamy.

- Rozumiem - zgodził się Kovař. - Zastosuje się pan jednak do wszystkich środków ostrożności, jakie zarządziła pani doktor.

Jeden z chorych wstał, musiał być w lepszym stanie niż pozostali, i usiłował pomachać do sterowca wznoszącego się blisko nad jego głową. Nie udało mu się, upadł na brzuch.

- To mój ojciec! - krzyknął ktoś.

- Zgłaszam się jako następny, kapitanie - rozległo się z głośnika.

JFK już nauczył się poznawać ten głos od pierwszej sylaby. Żelazny Jankis.

- Nie popełnię błędu, nie jestem nerwowym, wszystkie wymogi kwarantanny spełnię bez problemu. Ryzyko, że się zarażę, jest minimalne.

- Zgoda, poruczniku, jest pan numerem dwa - JFK potwierdził udział ochotnika w akcji.

„Berenika” łagodnie podskoczyła, Kovař spojrział na Krystala.

- Kotwiczymy - rozkazał.

Pierwsze wypuszczone kotwice wodne dokładnie uwiązały statek powietrzny w odpowiednim miejscu.

- A kto mógłby być pani zdaniem numerem trzy? - zapytał Kovař doktor Kaňkovej, gdy ucichły rozmowy techników podczas manewru stopowania.

- Nie wiem, to nie może być moja decyzja! - broniła się lekarka.

JFK ważył ryzyko. Dzięki biologicznym nanorobotom we krwi był odporny na wszystko, co opierało swoją egzystencję na bazie biologicznej. Nic mu nie groziło. W pobliżu nie było nieprzyjaciół, a jego uczestnictwo co najmniej o połowę zmniejszało prawdopodobieństwo zarażenia załogi.

- Ochotnik numer trzy to ja - oznajmił swoją decyzję. - Na czas mojej nieobecności zastępować mnie będzie Roman Krystal. - Nie zwracał uwagi na pełne zdziwienia szepty. - Pani doktor, jesteśmy gotowi. Jakich są pani dalsze polecenia?

Silnik elektryczny cicho zaszumiał i trzech mężczyzn opuścili się na sztuczną wyspę. Każdy trzymał w ręce pistolet na wypadek nieoczekiwanego ataku. Nadal istniało ryzyko, że piraci pozostawili wśród chorych jakiegoś konia trojańskiego, który nie dbał o własne życie.

JFK wybrał sobie miejsce pomiędzy kilkoma wgłębieniami, w którym ewentualni napastnicy mieliby do niego najtrudniejszy dostęp. Parę chwil poświęcił na zbadanie okolicy. Maska, którą Kaňkova określiła jako najlepszą, uciskała, a jej okrągłe szybki zachodziły mgłą. Woda wokół tratwy zapaskudzona była tłustymi plamami nafty, której resztki wyciekały z beczek, i zielonymi, porażonymi chorobą roślinami, otaczającymi sztuczną wyspę ze wszystkich stron.

- Chyba wszystko w porządku. Nie rozpoznaję wszystkich, ale wygląda na to, że to nasi ludzie - oznajmił porucznik.

- Ładujemy ich? - zapytał ksiądz.

Głosu wydobywającego się spod maski mógłby bratu Martinowi pozazdrościć duch powstały z grobu.

JFK dał znak obsłudze wciągarki, lina podjechała do góry i wróciła z przywiązanymi do niej noszami, na których mogło się pomieścić dwóch ludzi.

Ksiądz, który był najdrobniejszej postury, dyrygował obsługą wciągarki i w miarę możliwości obserwował otoczenie. Kovař i Jankis nosili chorych.

Znajdowało się między nimi sporo nastolatków i dzieci, JFK czuł, jak coraz bardziej twardnieje mu serce. Rozumiał wojnę, rozumiał różne rodzaje śmierci, ale tego było dla niego za dużo. Miał wrażenie, że dźwiga na barkach cały świat. Po raz pierwszy w życiu znalazł się na granicy samoopanowania, na granicy odporności. Na szczęście był z nim porucznik, który niczym dobrze pracująca maszyna dźwigał nosze ze swojej strony. Już za chwilę JFK znów stał się tym samym niezniszczalnym żołnierzem, byłym kapitanem oddziałów specjalnych, a obecnie agentem supertajnej organizacji, stojącej na straży bezpieczeństwa tysięcy światów.

Kolejne nosze wciągały się ku „Berenice”, brakowało zaledwie dwóch metrów, gdy podniosła się z nich niepewnie poruszająca się postać, coś zaskrzeczała i spadła na dół. Woda chlupnęła głośno, JFK zrobił trzy długie kroki ku krawędzi tratwy i skoczył jak najbliżej miejsca upadku chorego. Wiedział, że ma tylko jedną próbę, jeśli nie znajdzie mężczyzny od razu, nie znajdzie go w ogóle.

Nurkował coraz głębiej, macał w ciemności, natrafiając jedynie na zatopioną roślinność. Już miał wypłynąć, żeby samemu się nie utopić, gdy namacał materiał kołnierza. Przez ostatnie metry gwałtownego wynurzania się połykał wodę, ale w końcu, nieco przyduszony, wy dostał się na powierzchnię wraz ze swoją zdobyczą.

Trzy godziny później „Berenika” znów pędziła kursem prowadzącym do Przesmyku Jvari. Kombinezony i wyposażenie ratowników wyrzucono na zewnątrz, oni sami zostali starannie zdezynfekowani, dla pewności ogolono im głowy na zero, a ponadto pani doktor kazała

wypłukać usta i gardła roztworem dezynfekującym. Kovař pozostał w strefie kwarantanny jako ostatni. Przebrany w swój stary uniform i uzbrojony w broń osobistą.

- Gdyby nie znakomite wyniki testów na przeciwciała, które zrobiłam panu po przybyciu na nasze terytorium, nie mogłabym wypuścić pana do pozostałych członków załogi.

JFK przytaknął, mając nadzieję, że nic złego nie wyniknie z napicia się obrzydliwej wody. Już na tratwie natychmiast zwymiotował wszystko, co miał w żołądku. Lekarka na szczęście uważała to za naturalną reakcję organizmu.

Zza przepierzenia z mocnego papieru słychać było kaszel, rżenie i ciężki oddech chorych.

Przyjęcie ich na pokład spowodowało konieczność pozbycia się około tony wody balastowej, resztę ciężaru kompensował ubytek paliwa zużytego podczas dotychczasowego lotu. JFK rozważał, czy nie wpłynie to na ich zdolność manewrową, ale miał nadzieję, że najwyżej w bardzo niewielkim stopniu.

- Chciałabym, a właściwie rozkazuję panu - poprawiła się doktor Kaňkova z nieśmiałym uśmiechem - przez najbliższe dwa dni nosić na twarzy zasłonę z chusteczki. Przygotuję panu zapas, tak żeby co dwie, trzy godziny można było je wymieniać, a zużyte spalić.

Kapitan i głównodowodzący Kopřivnickich sił powietrznych wyszczerzył zęby do małej lekarki.

- Rozkaz, madame! - zasalutował.

Wyglądała na bardziej zmęczoną niż przed kilkoma godzinami. Dobrze wiedział z jakiego powodu.

- Ilu z nich przeżyje? - Spojrzał na ścianę, za którą stały łóżka chorych.

Drobna kobieta z rezygnacją wzruszyła ramionami.

- Nie odważę się prognozować, na razie zdążyłam porównać symptomy choroby z tym, co znam z książek medycznych. I tylko u dorosłych. Muszę jeszcze sprawdzić dzieci i starszych ludzi, mogłabym się w ten sposób czegoś dowiedzieć. Objawy często zależą od wieku chorego, ale... obawiam się, że nie bardzo. Wygląda to na szczep Warśava albo Spigi, zobaczymy.

- A ma pani szczepionki?

- Już je kultywujemy. Mamy zakonserwowane próbki, na szczęście są w porządku.

JFK kiwnął głową. Nareszcie coś pozytywnego.

- Pani doktor? Kilku chorym się pogorszyło! - Do pomieszczenia zajrzała asystentka Jana Kurłova, szara mysz, jak już wcześniej ochrzcił ją Kovař.

- Tu są chusteczki, kapitanie. Dla ochrony pozostałych.

Machnął ręką na znak zgody, nałożył na nos i usta złożoną poczwórną gazę pachnącą

środkiem dezynfekującym i wyszedł z pomieszczeń kwarantanny i szpitala.

Dwa dni z białą szmatą na twarzy, gdyby ją chociaż oblali wódką - mamrotał, przechodząc obok strażników. Miał nadzieję, właściwie obawiał się, że za dwa dni dojdzie do bitwy o wszystko.

ARYSTOKRATKA I NARCIARKA



Andrea de Villefort siedziała przy kawiarnianym stoliku po drugiej stronie ulicy, przy której znajdowały się budynki administracyjne agencji. Przed sobą miała otwarty notebook, obok niego filiżankę espresso. Trzecią w ciągu dwóch godzin. Na ekranie przebiegała symulacja reakcji ludzkiego systemu odpornościowego zasilonego standardowo używanymi nanorobotami celem jego wzmocnienia, jednakże nieco zmodyfikowanymi, które wyprodukowała sama Lavassi z próbek, jakie w sobie przyniosła, a których Akawa nie zdążył zniszczyć.

De Villefort wykorzystała swoje prawa dostępu do danych wymykających się sieci KILLER, a program symulacyjny i wspomagający go software po prostu ukradła. Nie chciała jednak zanadto kusić losu i aplikacje wyliczeniowe, maksymalnie skomplikowane, przepuszczała przez superkomputer Czeskiego Instytutu Meteorologicznego. Umożliwił jej to pewien dobry znajomy, spłacając tym sposobem stary dług, jaki zaciągnął względem Andrei. Jedenaście milionów ludzi będzie musiało przez parę dni polegać na prognozie pogody opierającej się na starym sposobie - na rzucie monetą.

Symulacja dobiegła końca. Komtesa wdusiła przycisk na klawiaturze, żeby zobaczyć wynik. Był negatywny, z jej punktu widzenia negatywny. Szalencie ukryty gdzieś w supertajnej strukturze Wydziału Militarynego, autor pomysłu, jak dostać się do próbek śmiertelnych wirusów, zapewne wydałby okrzyk zachwytu. Wirusy supergrypy, z którymi zetknęła się doktor Lavassi podczas misji, potrafią zniszczyć w ciągu trzydziestu dni każdy system odpornościowy człowieka niewzmocniony kompletną nanoochroną. W przypadku zmodyfikowanej, osłabionej ochrony okres ten wynosił sześćdziesiąt dni. Ale okno powrotne dla JFK otworzy się dopiero za ponad trzy miesiące. Pozostawał tylko wyścig z dokładnością parametrów obliczeniowych.

Może będzie miał szczęście, może przeżyje. Z tą myślą Andrea zamówiła czwartą kawę.

- Nie potrzebuje pani towarzystwa? - zapytał mężczyzna około czterdziestki, w jasnoniebieskich dżinsach i wełnianym pulowerze sięgającym szyi. Wyglądał na sympatycznego luzaka, koszykarza lub siatkarza.

Agentka przełknęła uszczypliwą odpowiedź.

- Wyglądam na taką? - zapytała zdumiewająco miękko.

- Hm, raczej nie - odparł.

De Villefort wzruszyła ramionami.

- No widzi pan, ale tak czy inaczej dziękuję, może innym razem, stosowniejszą porą.

Mężczyzna skłonił się lekko i odszedł.

Krystyna Rustova znalazła w recepcji kopertę z pismem, które informowało, że jej oficjalne przyjęcie do agencji i przydział odbędzie się o godzinie pierwszej po południu. Była jedenasta. Miała przed sobą badanie lekarskie, które mogło się skończyć nawet o wpół do trzeciej. Minimalne tolerancje czasowe, jakie dostawała, świadczyły o arogancji jej przyszłych szefów. Ale może to tylko normalna procedura, a ona przeceniała po prostu organizację pracy agencji, do której miała należeć?

Podziękowała pracownikowi recepcji, wyszła na ulicę. Sznur samochodów wydawał się nie mieć końca, na szczęście wypatrzyła w pobliżu przejście dla pieszych z sygnalizacją świetlną. Prowadziło prosto na lokal o przyjemnej nazwie „Przerwa w Środku Dnia”. Wielkie matowe okna świadczyły o tym, że nazwa nie kłamie i nie ma mowy o jakiejś pijalni na stojąco. Powoli poszła chodnikiem ku białej zebraze, rozkoszując się faktem, że po tygodniach spędzonych w ciężkich butach, maskujących spodniach i kurtce ubrana jest zupełnie inaczej. Szpilki, siatkowe pończochy z wyraźnym szwem, spódniczka przed kolana, bluzka ze sznurowanym dekoltem i lekkie wdzianko. Przechodząc przez zebra, zdążyła dojść na wysepkę między jezdniami pośrodku przejścia, gdy światło zmieniło się na czerwone. Zatrzymała się, ale kierowca mocno zardzewiałej skody I2.0 nie ruszył, tylko dał znak, żeby spokojnie przeszła przez jezdnię, i to samo zrobił właściciel czarnej luksusowej limuzyny. Uśmiechnęła się. Po tygodniach, podczas których instruktorzy rzucali nią na materac, nauczyciele przymuszali do ekstremalnych wysiłków, nieustannie mrużąc coś o niedostatecznym wytrenowaniu, instruktorzy technik bojowych i lekarze krytycznie oceniali jej kondycję fizyczną, kościec i w ogóle wszystko - to był balsam dla jej duszy.

Przeszła spokojnie, smakując każdy krok. Gdy dotarła do chodnika, rozległ się chór klaksonów i auta znów ruszyły.

Lokal wyglądał na przyjemny. Klimatyzacja nie usiłowała udowodniać, jak bardzo jest sprawna, a mimo to nie czuć było w ogóle dymu tytoniowego. Rozglądając się za wolnym stolikiem, spostrzegła, że przygląda jej się kobieta, którą spotkała w ośrodku treningowym i której pozazdrościła wyglądu oraz wrodzonej elegancji. Teraz już wiedziała, że to agent senior de Villefort, o bliżej nieokreślonym zakresie działania i kompetencjach. Nieprzychylnie języki twierdziły, że jest nadzwyczaj uzdolniona, ale ponieważ w przeszłości była zamieszana w jakąś dużą aferę, do dziś dnia wykonuje pracę agenta terenowego. Krystyna Rustova w to wątpiła. De Villefort nie wyglądała na osobę, która tęskni za pracą biurową, planowaniem i ważnymi, strategicznymi konferencjami. Inne złe języki twierdziły, że jest w bliskich stosunkach z łodziarzem, a właściwie agentem Johnem Francisem Kovařem, który polecił

Krystynę jako kandydatkę do pracy w agencji.

Przysiądziesz się? Gest de Villefort był jednoznaczny. Rustova wahała się tylko przez chwilę, podeszła do stolika i z uprzejmym wyrazem twarzy usiadła na krześle.

- A więc pomyślnie ukończyłaś szkolenie - stwierdziła de Villefort.

Krystyna prawidłowo odczytała podtekst wypowiedzi i poczuła przyływ sympatii. Trochę ją to zaskoczyło. Przypuszczała, że agentka senior jest o nią zazdrosna z powodu Kovařa. Byłoby to nawet uzasadnione, lecz sytuacja rozwinęła się trochę inaczej.

- Tak, ale jeszcze nie wiem, dokąd trafię. Przypuszczam, że do Bytewskiej. Widziałam skierowanie na szkolenie podpisane jej nazwiskiem.

- Co podać? - Przy stoliku pojawił się kelner.

- Poproszę kawę - zamówiła Rustova.

- No tak, na ogół człowieka przyłączają do tych, którzy go zwerbowali. Jeśli jest szczególnie dobry, mogą się nim zainteresować inne oddziały, wydziały, a czasem i inna baza agencyjna... - powiedziała de Villefort w zadumie.

- To na pewno lesby - dobiegło do nich od sąsiedniego stolika.

Rustova odwróciła się i taksującym spojrzeniem oszacowała siedzące obok męskie towarzystwo.

- Na wasz widok kobietom nic innego nie pozostaje - rzuciła w ich kierunku.

Po poważnej twarzy komtesy przemknął rozbawiony uśmiech.

- Najgorszą rzeczą jest zakochać się w swoim współpracowniku - rzekła z powagą, popijając łyk kawy.

Spojrzała przy tym na ekran notebooka.

- Przełożonym się to nie podoba. Bo kłótnie kochanków mogą zagrozić współpracy zespołu, powodzeniu akcji, a nawet bezpieczeństwu i życiu ludzi.

- Ale nie jesteśmy niewolnikami, wszyscy mamy prawo do życia prywatnego - protestowała Rustova, pomału domyślając się, dokąd de Villefort zmierza. Musiała się już czegoś o Krystynie dowiedzieć. Czy chciała ją ostrzec, czy pomóc jej, czy może miała w tym jakiś własny cel?

- Nie jesteśmy niewolnikami - zgodziła się doświadczona agentka. - Jednak biorąc pod uwagę specyfikę naszej pracy, przesunięcia w czasie, skoki w przestrzeni, można mieć swój pokój tuż obok tego, którego by się chciało często widywać - pozwoliła sobie na melancholijny uśmiech - i nie spotkać go przez dziesięć, dwadzieścia lat lub przez całe życie. A szef nic nie robi, najwyżej z lekka zmieni plan pracy agentów.

Rustova przez chwilę myślała o tym, czego dowiedziała się od starszej agentki. To mogła

być prawda.

- Jednak kiedy ten, na którym ci zależy, pracuje w innym oddziale albo wydziale, szefowie zawsze pójdą ci na rękę. Czują się w obowiązku tak postąpić, ponieważ zdają sobie sprawę, że nawet agenci tej dziwacznej organizacji mają prawo do życia prywatnego.

Chce się mnie pozbyć czy pomóc? - przebiegło Rustovej przez głowę.

Instynkt mówił jedno, rozum drugie.

Kolor ekranu notebooka, pozostający poza jej polem widzenia, zmienił się nagle. Poznała to po odbiciu światła w oczach de Villefort. Były to przepiękne oczy, perły wieńczące doskonałą powierzchowność, pomyślała z zawiścią. Może trochę twarde spojrzenie, ale to tylko podkreśla doskonałość.

Agentka senior patrzyła przez chwilę na ekran, wyglądała teraz na niezmiernie starą i zmęczoną. Nie z powodu wieku, ale doświadczeń, z którymi musiała sobie dawać radę.

- Napijesz się ze mną? Straciłam przyjaciela, człowieka, na którym mi zależało.

Rustova nie zrozumiała, co to dokładnie znaczy, lecz wypowiedź tchnęła szczerością. Komtesa nie okłamywała jej, tego była pewna.

- Tak, jeśli to pani pomoże.

- Pomoże, choć trochę.

Kelner zjawił się jakby wezwany przekazem telepatycznym.

- Jaki macie najlepszy koniak? - zapytała de Villefort. - Właściwie wszystko jedno. Proszę nam przynieść butelkę najlepszego i dwa kieliszki.

Gdy kelner przyniósł zamówiony koniak, odprawiła go ruchem ręki i sama nalała do obu kieliszków po jednej trzeciej objętości.

- Za przyjaciół! - Uniosła szkło. - Za martwych, żywych i tych, którzy mają wrócić. O ile to się w ogóle zdarzy.

Rustova oddała toast i wypła w milczeniu. Kobieta siedząca naprzeciw niej wyglądała na bardzo smutną i zranioną. Jak mająca setki lat doskonała rzeźba w kryształ, którą ktoś uderzył siekierą.

- I za zemstę - de Villefort wzniosła drugi toast zaraz po tym, jak wypła pierwszy kieliszek jednym haustem.

Energicznie zamknęła notebook i Rustova zrozumiała, że nie chodziło o kryształ, ale o coś innego, tak samo pięknego, lecz o wiele wytrzymalszego.

BITWA POWIETRZNA



Naprzężona lina kotwiczna drżała, maszynownia cały czas regulowała obroty silników, tak aby wypór i ciąg postępowy nie spowodowały urwania się z uwięzi. „Berenika” szykowała się do ataku niczym gigantyczna orka na krótkim łańcuchu. Z południa i północy przed dostrzeżeniem chroniły ją dwie zwiężające się ściany skalne tworzące Przesmyk Krzyżowy, przód statku powietrznego wznosił się około stu metrów nad ziemią, ale rufa zaledwie piętnaście, tak strome było dno doliny.

Roman Krystal stał u steru, ze wzrokiem wbitym w częściowo zaśnieżone zbocze przeciwnej ściany przesmyku. Sternik wysokości nie spuszczał oczu z przyrządów, nieustannie komunikując się z obsługą pomp i silników. Jankis bez przerwy nadzorował strzelców w wieżyczkach. Zbliżało się rozstrzygające starcie. Wiatr kręcił, naraz dmuchnął z góry, przytłaczając sterowiec ku ziemi. Lina kotwiczna na moment zwiotczała, ale wypór aerodynamiczny pochodzący od pracujących śmigieł oraz wypór statyczny balonów szybko zlikwidowała opadanie.

- Takie zakotwiczenie to bardzo dobry pomysł - mruknął Krystal. - Bez niego nie moglibyśmy utrzymać się tak blisko ziemi.

Kovař milczał. Obserwował wszystko i po raz tysięczny zastanawiał się nad szansami powodzenia ich planu. Zakładał, że nieprzyjaciel dysponuje jednym sterowcem bojowym, uzbrojonym tak jak „Berenika”. Krystal twierdził wprawdzie, że nigdy nie widział trzydziestomilimetrówek na pokładzie żadnego „anioła”, lecz JFK był przyzwyczajony brać pod uwagę możliwość wystąpienia najgorszej alternatywy. Dwa nieruchawe i przeciążone sterowce transportowe miały za bezpośrednią osłonę trzy mniejsze sterowce patrolowe. Jeden zniszczyła burza, pozostawały dwa zwrotne i szybkie statki powietrzne, które wprawdzie nie mogły rozwijać tak dużej prędkości jak „Berenika”, ale miały dużo większą prędkość wznoszenia. Na tym polegała ich główna siła w trakcie ataku. Jeśli dostaną się ponad kadłub przeciwnika, w martwe pole ostrzału działek szybkostrzelnych, mogą skoncentrowanym ogniem wielkokalibrowych karabinów maszynowych zniszczyć go lub na tyle poważnie uszkodzić, że będzie zmuszony wycofać się z walki.

Mglisty opar zrzędł nieco i równocześnie dał się słyszeć jakiś szelest. Śnieg, a raczej kryształki lodowe, wytwarzające w powietrzu abstrakcyjne wzory i bardzo ograniczające widzialność.

- Na zewnątrz minus pięć - oznajmił Krystal. - Musimy uważać na oblodzenie, żeby nas

nie ściągnęło na ziemię.

- Na razie niczego nie widać - odezwał się dodatkowy głośnik umieszczony obok stanowiska nawigatora.

W najwyższym punkcie przesmyku pomiędzy głazami kryli się wartownicy, którzy mieli zapewnić „Berenice” dodatkowy atut, wczesne ostrzeżenie. Dwóch ludzi zakutanych w koce, przysypanych cienką warstwą śniegu pełniło tam służbę już od samego świtu.

JFK wyjrzał na zewnątrz. Lodowe jęzory opuszczały się ze stromych ścian skalnych jak pazury zimy starającej się zawładnąć terenami pozostającymi poza jej królestwem, leżącym powyżej granicy wiecznych śniegów, która zaczynała się zaledwie o kilkaset metrów wyżej od miejsca kotwiczenia „Bereniki”. Jednak zima nadchodziła wielkimi krokami i w razie burzy...

- Łożysko lewego tylnego silnika przegrzewa się - zameldował główny mechanik.
- Mamy czas - odparł Kovař na niewypowiedziane pytanie technologa.
- Wymienić je jak najszybciej! - huknął Krystal. - Mango i Kryspin, oni są najsprawniejsi.
- Widzimy ich, wynurzają się z mgły blisko przed nami - głos wartownika z trudem przebijał się przez trzaski i zakłócenia. - Dopiero teraz ich zobaczyliśmy, mgła pod nami jest o wiele gęściejsza, niż się wydaje. Jeden duży, za nim transportowce, a za ni...

Połączenie przerwało się.

- Wymiana łożyska odwołana - oznajmił JFK.
- Chłodzić to, chłopcy, chłodzić, musi wytrzymać! - zachrypiał Krystal, ocierając pot z czoła.

W kabinie było zaledwie osiem stopni powyżej zera.

- Wspomóż, Panie, tych, którzy tego potrzebują - wymamrotał brat Martin Kali, wznosząc oczy do nieba skrywającego się za kadłubem „Bereniki”. - Niech się niebo do tego nie miesza, niech zostawi to nam - dokończył modlitwę.

Śnieg przestał padać, widoczność znacznie się polepszyła, aż mieli wrażenie, że przesmyk znajduje się na wyciągnięcie ręki. Wszelki ruch w kabinie ustał, zastygł w oczekiwaniu. Po kilku nieskończenie długich sekundach na wysokości niecałych trzystu metrów pojawił się przed nimi niewielki „anioł”.

- Jakies trzydzieści tysięcy metrów sześciennych, konstrukcja półsztywna - Krystal zaczął szeptać swoją litanie techniczną. - Z każdej burty trzy strzelnice dla wielkokalibrowych karabinów maszynowych. Trochę się po drodze uszkodził, gdyby nie to, leciałby nieco wyżej.

Kovař był pewny, że ich dostrzegą. Nawet na tle szaro-białych, przysypanych śniegiem skał ogromna „Berenika” musiała być widoczna na pierwszy rzut oka. Ale to była już kolejna

dolina, którą nieprzyjaciel mijał, i w żadnej z nich nie czyhało niebezpieczeństwo. Ponadto tutaj, blisko granicy wiecznych śniegów, w pobliżu poszarpanych skał, każdy poryw wiatru mógł spowodować katastrofę i wróg skupiał się raczej na prowadzeniu statku powietrznego. Mały „anioł” przeleciał obok nich i po około trzydziestu niemilosiernie długich sekundach na granicy pola widzenia pojawił się masywny dziób dużego sterowca.

- Ciąć linę, cała naprzód i w górę - rozkazał Kovař.

Aby zapewnić pole ostrzału trzydziestkom z przedniej wieżyczki, musieli wznieść się wyżej niż cel.

„Berenika” podskoczyła, nawigator nie ustał na nogach i upadł.

- Pełna moc! - ryknął Krystal, pewnie dzierżąc ster. - Trzymać położenie poziome, bo uderzymy rufą w ziemię!

Prędkościomierz skoczył na trzydziestkę i wskazanie nadał rosło, wysokościomierz pokazywał dobre dwieście metrów.

- Przednia wieżyczka, ognia! - rozkazał Kovař.

Działka huknęły, pierwsze pociski uderzyły w skałę przed nimi, celowniczy nie zdołał ocenić prawidłowo poprawki koniecznej przy strzelaniu do ruchomego celu. Ale po chwili trafienia dosięgły kadłuba wielkiej ryby przed nimi.

JFK nie przyglądał się efektom ostrzału.

- Warta, szukajcie małych „aniołów” - przypominał. - Jeden już przeleciał!

Nieprzyjacielski sterowiec nadal leciał, chociaż nieznacznie stracił wysokość. Poszycie miał rozerwane w wielu miejscach, ale dziury natychmiast zalewała szara, szybko ciemniejąca masa.

- Fedeks! - krzyknął z wściekłością Krystal. - Co najmniej tak dobry jak nasz.

- Jest więcej miejsca, zrobmy zwrot, żeby użyć również tylnej wieżyczki - rozkazał JFK, a Krystal zareagował już przy trzecim słowie.

- Prawa tylna wieżyczka, ognia w chwili kontaktu optycznego!

Dwie dwudziestki dołączyły do swych większych towarzyszek, kadłub „Bereniki” zatrzęsł się od wściekłych wystrzałów.

W tym momencie wszyscy obecni w kabinie spostrzegli, że trzy wieżyczki strzelnicze przeciwnika obróciły się w ich stronę.

Z ich luf wytrysnął ogień, lecz w tej samej chwili nieprzyjacielski statek powietrzny targnął się gwałtownie i załamał w połowie długości. Pozostał w całości, jednak podstawa jego konstrukcji nadająca mu sztywność, jego kręgosłup został przetrącony.

- Zniszczyliśmy im kil, ale mogą to jeszcze wyważyć - wycedził Krystal.

Gwałtowny ostrzał nieprzyjaciela chybił skutkiem nagłej zmiany położenia przestrzennego sterowca i pociski uderzyły skałę pod „Bereniką”.

Potem ranny „anioł” dotknął rufą ziemi, a kamienisty grunt przesmyku dokończył dzieła zniszczenia.

W kabinie „Bereniki” i na wszystkich liniach telefonicznych zapanowała radosna wrzawa, podniesiona przez ludzi, którzy przed chwilą toczyli śmiertelny pojedynek, a teraz stwierdzili, że pozostali przy życiu, co więcej, wygrali na loterii pierwszą nagrodę. Pod nimi, tuż nad ziemią, leniwie kołysały się dwa ogromne transportowce z podwieszonymi pod kadłubami klatkowymi kontenerami do przewozu porwanych ludzi. Leciąły poprzednim kursem, jakby mając nadzieję na udaną ucieczkę.

- Obserwatorzy prawej burty! Wieżyczka numer trzy! Obserwujcie sterowiec patrolowy! - ryczał Kovař do mikrofonu. - Powtarzam, pełne pogotowie! Szukajcie sterowca patrolowego, który przeleciał przesmykiem. Jeśli go nie znajdziecie, własnoręcznie was zastrzelę!

Ta pogróżka uciszyła radosną wrzawę w kabinie, a chwilę później również na łączach telefonicznych.

- Wysokość, maksymalna wysokość, sternik! - Kovař nie pozbył się jeszcze dowódczego tonu.

Krystal pochylił się nad mikrofonem i „Berenika” natychmiast zadarła dziób ostro do góry. Przejrzyste powietrze za oknami w ciągu kilku sekund zmieniło się w mleczną biel, po powierzchni sterowca zagrzechotały lodowe grudki.

- Szybciej, szybciej! - krzyczał Kovař, a Krystal wyłączał jeden bezpiecznik po drugim, silniki wyły, śmigła ze świstem wwiercały się w powietrze. Krystal wiedziony instynktem właściwym dla doskonałych pilotów i sterników skierował „Berenikę” do przeciwległej doliny, wznoszącej się stromo ku pięciotysięcznym szczytom.

- Są na ósmej, blisko przed granicą martwego kąta ostrzału! - zameldował obserwator numer pięć z oznakami przestrachu w głosie.

- Wieżyczka trzy, pal! - Kovař zareagował błyskawicznie.

- Mamy jeszcze Strzelca z karabinem maszynowym na górze - przypomniał Jankis bez cienia emocji.

- Strzelec na górze, ognia! - JFK natychmiast skorzystał z okazji.

Sterowiec patrolowy napędzany czterema silnikami, które dzięki jego niewielkiemu oporowi aerodynamicznemu nadawały mu prędkość wznoszenia o wiele przewyższającą wpływ wyporu aerostatycznego, wychodził już z sektora ostrzału wieżyczki „Bereniki”.

Roman Krystal, polegając na swoim nieomylnym instynkcie, szybko zakręcił sterem,

zadzierając dziób „Bereniki”, przez co działka uzyskały kilka kolejnych stopni pola ostrzału.

Trzy salwy trafiły w sterowiec patrolowy, wytrącając go ze stromo wznoszącego toru lotu. Wystrzelone z niego w odpowiedzi serie z karabinu maszynowego kalibru 12..67 w większości chybiły, tylko parę pocisków dosięgło „Bereniki”. Wszystkie trafiły w ten sam balon, lecz niewielkie otwory w kilka sekund zostały zalepione przez fedeks.

„Anioł” nieprzyjaciela zaczął powoli opadać, prosto pod lufy działek wieżyczki numer trzy. Każdy podwójny wystrzał ujmował „Berenice” około kilograma ciężaru i posłuszna Krystalowi wznosiła się coraz szybciej.

- Wstrzymać ogień, już są załatwieni! - Kovař usiłował opanować bojowe podniecenie strzelców.

Jakby na potwierdzenie tych słów sterowiec patrolowy rozpadł się nagle i niczym potargany przez wiatr latawiec coraz szybciej spadał na ziemię.

- Jest tu jeszcze jeden mały „anioł”! - Kovař starał się uspokoić wybuch radości ze zwycięstwa. - Nie powinien nam rozczochrać czupryny bardziej, niż to konieczne!

- Z lewej burty! Na dziewiątej! - obserwator wręcz wykrzyczał meldunek.

Ze stale gęstniejącej mgły, czy raczej chmury pełnej lodowych kryształków, wynurzył się ciemny kształt dużego statku powietrznego. Znajdował się w tak bliskiej odległości, że nawet poprzez mgłę widzieli lufy odwracające się w ich kierunku. Sterowiec bojowy numer dwa. Nikt nie liczył się z jego obecnością. Wrzawa umilkła, radość ustąpiła miejsca przeczuciu porażki i nadchodzącej śmierci.

Blisko pod nami, odgradzając nas od nieprzyjaciela, jest wznoszący się grzebień górski, uświadomił sobie JFK.

- Na dół, jak najszybciej na dół! - wrzasnął do sternika wysokości.

Mleczny koktajl śniegowy zmienił się na moment w palący likier, nocny koszmar skacowanego barmana, „Berenika” zatrzęsała się jak w agonii, gdy zahuczały działka nieprzyjaciela.

- Na dół to pójdzie szybko - warknął Krystal i zaczął wydawać serię rozkazów.

Ktoś krzyczał ze strachu, Kovař obserwował z pozoru wolno wznoszący się grzebień, za którym chcieli się ukryć przed wrogiem, dłonie zacisnął na krawędzi stolika. Szybkostrzelne działka wypluwały salwę ze salwą, „Berenika” rezonowała, protestowała za każdym trafieniem.

- Tracimy wypór!

- Balony numer pięć, sześć, osiem, dziesięć trafione!

Grzebień wzniosł się skokowo i zasłonił ich przed ostrzałem, dalsze pociski uderzały w

jego stok.

- Wszystkie drużyny naprawcze w akcji!

- Na dół, ale nie do samej ziemi, rozumie pan, panie pierwszy? - spokojnie powiedział

Kovař.

Nadal wydawał rozkazy swym podwładnym.

Wykonując szybki zwrot o sto osiemdziesiąt stopni, „Berenika” zwróciła się z powrotem ku przesmykowi, opadający teren pomógł im oszczędzić gazu. Większość przestrzelin zalepił fedeks, trzy największe zlikwidowały drużyny naprawcze. Stracony hel uzupełniły pompy, tłocząc go do nieuszkodzonych balonów, a wypór potrzebny do pokonania wysokich gór zapewnił zrzut wody wyważającej. Część jej zapasu Krystal musiał pozostawić, żeby nie zakłócić równowagi sterowca.

Kovař, zaciskając zęby, obserwował poszarpany teren bardzo blisko pod nimi. Ruszyli z maksymalną szybkością, jaką mogli rozwinąć przy odchyleniu silników i śmigieł do góry - stu pięciu kilometrów na godzinę. W każdej minucie pokonywali ponad półtora kilometra. Zbliżali się do końca zasłaniającego ich grzebienia, później będą musieli pokonać kręty przesmyk, w którym po obu stronach mógł czyhać w zasadzce patrolowy „anioł”, gotowy do ostrzelania ich z wielkokalibrowych karabinów maszynowych. Równie dobrze mógł już tam być sterowiec bojowy, który celną salwą zmiecie ich z nieba. JFK na miejscu kapitana nieprzyjacielskiego statku powietrznego starałby się raczej nabrać wysokości i zaatakować z góry niezagrożony ich ostrzałem. Walka była ryzykowna dla obu stron, a oni z powodu uszkodzeń utracili część zwrotności.

- Górny obserwator? - zapytał człowieka usadowionego w małej kabince w najwyższym punkcie środkowego żebra.

- Nic, zupełnie nic. Ale widoczność do góry jest ograniczona - odpowiedział natychmiast obserwator.

Wielkokalibrowy karabin maszynowy był jedynym środkiem obrony „Bereniki” przed atakiem z góry.

Grzebień został za nimi, sterowiec leciał teraz nad zygakowatą rzeką, a raczej potokiem zasilanym przez tające kawały lodu, które osunęły się ze zboczy. Po lewej burcie w rzadziej zadymce śnieżnej pojawił się zarys małego „anioła” patrolowego. Znajdował się co najmniej czterysta metrów wyżej od Bereniki. Widoczny tylko przez chwilę, prawie natychmiast zniknął w tumanie mgły. W kabinie sterowania nikt nie oddychał. Najbliższe sekundy miały być decydujące.

- Wznosimy się - oznajmił Krystal. - Dwa metry na sekundę.

- To nie wystarczy - warknął Kovař.

„Berenika” leciała środkiem przesmyku, wznoszącym się torem ku następnej stromej dolinie, biegnącej w górę wśród dwóch rzędów skalnych wierzchołków, to tu, to tam otulonych mgłą. Kovař wiedział, że dolina, a raczej wąski kanion, kończy się gdzieś na wysokości zbliżonej do pięciu tysięcy metrów. Lecąc nią, mogli nabrać wysokości bez narażania się na atak nieprzyjaciela. Zakładał, że wróg będzie się trzymał ponad przesmykiem, jak najdalej od niebezpiecznych szczytów i prądów powietrznych otaczających ich, jak suknia otacza tancerkę wirującą w piruecie.

- Ile jeszcze mamy helu w zapasie? - zapytał.

- „Anioł” za rufą - zameldował obserwator. - Nie dostrzegł nas, przeciął tylko nasz kurs.

- Jeden zbiornik pusty, w drugim około tysiąca pięciuset metrów sześciennych, nie więcej.

- Odrzucić pusty zbiornik, przygotować się do odrzucenia drugiego.

Na twarzy Romana Krystala pojawił się wyraz żalu, rozkaz oznaczał okaleczenie jego ukochanego dzieła. Nie protestował jednak, tylko z całej siły zacisnął szczęki.

- Wykonuję.

Odgłos upadku stalowego zbiornika odbił się echem od zlodowaciałych zboczy. W jednej chwili „Berenika” podskoczyła w górę na co najmniej pięćdziesiąt metrów.

- Wznosimy się, osiem, dziewięć metrów na sekundę - zameldował Krystal.

JFK poczuł ucisk w uszach i zaczął szybko przetykać ślinę, żeby wyrównać ciśnienie w trąbce Eustachiusza. Nachylenie kadłuba sterowca prawie uniemożliwiało utrzymanie się na nogach, stromo wznoszące się dno doliny ginęło we mgle.

Nagle widoczność się polepszyła i daleko przed nimi, a równocześnie zbyt blisko ukazały się dziewiczo białe, pozornie sięgające aż do nieba najwyższe szczyty Kaukazu.

Kovařowi przemknęło przez głowę pytanie, ile czasu miał przeciwnik na nabranie wysokości. Na pewno dużo, nie wykonywał nawrotu, nie walczył z utratą wyporu.

- Odrzucić drugi zbiornik, musimy się wznosić za wszelką cenę.

Krystal wyrzucił z siebie nową serię rozkazów, sekundnik zegara nieubłaganie odliczał czas. „Berenika” znalazła się nagle w pełnym słońcu, pozostawiając za sobą zbitą masę mgły, przypominającą jeszcze jeden szczyt.

Dziesięć ton stali runęło na ziemię, sterowiec wykonał nowy skok.

- Nieprzyjaciel na w pół do siódmej, wylatuje z chmur około trzystu metrów nad nami! Zbliży się, zaraz wejdzie w martwe pole naszego ostrzału - prawie lamentował obserwator.

Kilku ludziom pociekła z nosa krew, jeden stracił przytomność. Wskazówka wysokościomierza przesuwawała się na coraz wyższe wartości liczb.

- Wyciśnijcie z maszyn wszystko, co możliwe - rozkazał Kovař, odczuwając coraz większy strach. Powinien był odrzucić oba zbiorniki naraz. Powinien przewidzieć rozwój sytuacji. - Poruczniku Jankis! - zwrócił się przez telefon do dowodzącego działkami. - Otworzyć ogień w momencie pojawienia się szansy trafienia. Może dopisze nam szczęście, zresztą każdy kilogram mniej trochę nam pomoże. Pani doktor Kaňkova, mamy jakichś zmarłych?

- Tak.

- Zrzućcie ich na ziemię.

Sekundy uciekały wśród ryku motorów i świstu powietrza, przez które „Berenika” przedzierała się niczym przez gęstą ciecz.

- Wznosimy się szybciej od nich - zameldował obserwator. - Ale zbliżają się, są od nas o jakieś dwa kilometry.

- Meldujcie cały czas kąt podniesienia - rozkazał JFK.

Zaczęły napływać odczyty podające kąt przewyższenia nieprzyjacielskiego sterowca.

- Poruczniku Jankis, proszę określić odległość.

- Tak, kapitanie, mam kontakt optyczny - odpowiedział porucznik i zaczął podawać odczyty z dalmierza.

JFK stał na podwyższeniu pełniącym rolę mostka kapitańskiego, nie patrzył na Krystala przy sterze, na ludzi przy mapach, nie słyszał szeptów i szybkich oddechów żołnierzy zgromadzonych w jadalni, nawet pracy silników, w głowie brzmiały mu tylko dwa szeregi liczb, z których starał się wyobrazić sobie położenie obu statków powietrznych względem siebie. Kalkulował, kiedy nadejdzie najdogodniejszy moment do wykonania zwrotu. O ile taki moment w ogóle nadejdzie. Dwa rzędy liczb, życie lub śmierć...

- Zwrot! - krzyknął naraz. - Potem stromym torem prosto na nich. Gdy nieprzyjaciel pojawi się w strefie ostrzału, ognia ze wszystkich luf!

„Berenika” wykonała bardzo ostry zwrot, Krystal użył zmiany kierunku ciągu śmigieł, co razem z wychyleniem steru kierunku wywołało w kadłubie obciążenia zbliżone do granicy wytrzymałości konstrukcji. Trzeszczenie jej szkieletu, kilu i żeber było wyraźnie słychać. Równocześnie huknęły strzały, przeciwnik pierwszy zaczął walnąć.

Zaraz potem odezwały się działka „Bereniki”. Oba statki powietrzne zbliżały się do siebie z prędkością około stu trzydziestu kilometrów na godzinę. JFK wreszcie dostrzegł przeciwnika, rósł w oczach, można było rozróżnić coraz więcej szczegółów jego konstrukcji.

Celne trafienie, daj nam celne trafienie! - modlił się w duchu.

Podłoga podskoczyła, połowa obecnych upadła.

- Balon drugi przestrzelony!

- Balon trzeci przestrzelony!

- Zaczynamy opadać, na razie powoli - wymamrotał Krystal.

- Czwarte żebro przestrzelone, grozi przebicie powłoki.

- Drużyny naprawcze do akcji - JFK starał się wprowadzić element spokoju, choć sam wcale nie był spokojny.

- Balon dwunasty przestrzelony.

„Berenika” krwawiła z wielu ran, ale jej broń ani na chwilę nie przestawała prowadzić ognia.

Na nieprzyjacielskim statku powietrznym błysnęło nagle coś, co nie przypominało wytrysku ognia z luf działowych, i sterowiec patrolowy zboczył gwałtownie z kursu.

- Stracili silnik - ocenił sytuację Krystal.

Po chwili nieprzyjaciel wrócił na poprzedni kurs i zaraz po tym boczną ścianę kabiny sterowania „Bereniki” podziurawiły pociski. Mechanik naprawiający skrzynkę rozdzielczą i telefonista runęli na podłogę z przestrzelonymi piersiami, prąd powietrza wtargnął do wnętrza, uniemożliwiając jakąkolwiek komunikację.

To już koniec, pomyślał Kovař, tym razem nas dostali. Jednak obsługa działek „Bereniki”, nie zwracając uwagi na uszkodzenia, kontynuowała walkę.

Nagle spostrzegli, że nieprzyjaciel zaczął tracić wysokość. Okazało się, że on też odniósł poważne uszkodzenia. Jego celowniczości nie dość szybko wprowadzili poprawki po zejściu z kursu i „Berenika” przez dziesięć, dwanaście sekund nie otrzymała żadnych trafień, a to zadecydowało. Przez ten czas jej cztery dwudziestomilimetrowe i dwa trzydziestomilimetrowe działka wystrzeliły kilkaset pocisków, które w większości trafiły w cel.

Później dzięki nabraniu wysokości znaleźli się w martwym polu ostrzału przeciwnika, który w tej sytuacji nic nie mógł przeciw nim przedsięwziąć.

- Zwyciężyliśmy! - krzyczał ktoś.

JFK śledził wskazówkę wysokościomierza. Opadali z prędkością pięciu metrów na sekundę i znów zaczęło mu szumieć w uszach. Popatrzył na Krystala.

- Musimy pozbyć się ciężaru. Produkty spożywcze, woda, paliwo - zaczął wyliczać technolog. - Amunicja.

Jeden nabój to pół kilograma mniejszego kalibru i cały kilogram większego. Początkowo zabrali około dziesięciu tysięcy pocisków do działek i trzysta tysięcy do karabinów maszynowych.

- Paliwo tylko w ostateczności - poprawił się Krystal.

JFK przytaknął.

- Lećmy z powrotem do przesmyku, tam będziemy mieli więcej czasu - zarządził jeszcze.

W ciągu dwóch minut „Berenika” pozbyła się dziesięciu ton ładunku i opadanie ustało.

- Możemy trochę podejść w górę, wykorzystując wypór aerodynamiczny - stwierdził Krystal, patrząc na przyrządy. - Ale z manewrami będzie znacznie gorzej. Jesteśmy niestabilni jak łódeczka z kory.

Daliśmy radę, po raz pierwszy zdał sobie sprawę Kovař i naraz poczuł się strasznie zmęczony. Wprawdzie tylko w pierwszej rundzie, trzeba jeszcze dogonić sterówce transportowe, ale wierzył, że zdołają to zrobić.

- Nieprzyjaciel przed nami, na jedenastej, szybko się wznosi - zameldował przedni obserwator.

Entuzjazm ze zwycięstwa opadł, słodki smak sukcesu zniknął w zalewie goryczy.

JFK podszedł do przedniej szyby i popatrzył. Był to tylko „anioł” patrolowy, ale w ich sytuacji przedstawiał sobą ostatnie zagrożenie, które mogło ich zniszczyć.

Obleci „Berenikę”, nabierając przy tym wysokości, i zaatakuje z góry ogniem karabinów maszynowych, posyłając ją na ziemię. Plan nieprzyjacielskiego dowódcy był jasny. Pirat był do tego stopnia arogancki, że nawet nie próbował zejść im z drogi, szykował się przelecieć pod nimi, a potem w bezpiecznej odległości wznieść się wyżej i osiągnąć położenie dogodnie do niszczycielskiego ataku. Wyraźnie widział, w jakim stanie jest „Berenika” i czego musiała się pozbyć, aby nadal utrzymywać się w powietrzu. Wystarczył rzut oka na otwarte, opróżnione magazyny i lufy działek sterczące ukośnie w górę.

- Strzelać przez okna z broni ręcznej - rozkazał Kovař.

- Otwór po małym pocisku zalepi fedeks, a powłoka nawet się nie wybrzuszy - przypomniał Krystal z rezygnacją.

Spojrzenie miał puste, lecz nadal stał u steru.

Kovař uświadomił sobie, że jego rozkaz rzeczywiście nie ma sensu. Za dwadzieścia sekund pirat przeleci pod nimi, a on nie miał niczego, czym mógłby go powstrzymać. Jego dwa zespoły uderzeniowe oczekiwały czegoś zupełnie innego.

- Da się otworzyć okna? - przerwał pełną napięcia ciszę Martin Kali.

Krystal kiwnął głową i zamiast odpowiedzi sam otworzył okno.

- Chciałbym, żebyśmy trzymali się dokładnie nad nim - poprosił ksiądz.

- Za chwilę - obiecał technolog. - On jest zwrotny, a my ledwo się trzymamy w powietrzu.

Martin Kali przycisnął sutannę do ciała, wychylił się przez okno, nie zważając na wicher i mróz.



- Nie możemy pozwolić, żeby pod nami przeleciał, prawda? - zapytał tonem swobodnej konwersacji.

Ktoś przytaknął, ksiądz uśmiechnął się szeroko i wyskoczył na zewnątrz.

Bez tchu rzucili się do okien. Dostrzegli szybko spadającą postać z rozkrzyżowanymi rękami i powiewającą suknią czarną jak ogon komety śmierci.

Widząc nagły błysk, Kovař zrozumiał, że Kali dobył swojej katany, i dopiero teraz pojął, co ksiądz zamierza zrobić.

- To się nie może udać - szepnął technolog. - A gdyby nawet, to jedna dziura w powłoce nic nie zdziała.

Z tym pesymizmem kontrastował jego drżący głos, w którym brzmiał i podziw dla szaleńczej odwagi księdza, i pragnienie, żeby mu się powiodło.

Kovař patrzył przez lornetkę. Widział, jak ksiądz z twarzą zdeformowaną naporem powietrza zbliża się do wypukłego kadłuba sterowca. Mrówka przeciw górze. Miecz trzymał oburącz i bez zamachu, wykorzystując tylko szybkość opadania, wbił ostrze w kadłub, a później siłą bezwładności ześliznął się z niego, prując powłokę. Poszycie stawiało silny opór i

ksiądz zawisł na katanie. Jednak nie zadowolił się ponaddziesięciometrowej długości przecięciem, które zaczęło wzbierać polimeryzującym fedeksem. Posługując się mieczem i sztyletem, zaczął gramolić się w górę, aż do najwyższego punktu powłoki, i znów rzucił się w dół, powodując drugie, tym razem pięciometrowe przecięcie.

- To szalenie - wymamrotał ktoś.

- Ale być może uratuje nam życie - powiedział głośno JFK, odkładając lornetkę.

Nie mogli dalej śledzić fascynującego pojedynku drobnego księdza z maszyną latającą.

Musieli przystąpić do realizacji następnego punktu planu, do ratowania porwanych ludzi.

Dołem przez przesmyk będzie najszybciej. Musimy jak najwcześniej dogonić transportowce - oznajmił Krystalowi. - Poruczniku Jankis? Zwalniam pana z dowództwa nad artylerią, obejmie pan zespół abordażowy numer jeden.

NOWY AGENT



Krystyna Rustova wchodziła do budynku agencji w podniosłym nastroju. Uświadamiała sobie, że może tak być z powodu trzech więcej niż szczodrych porcji koniaku i nieoczekiwanej sympatycznej, nieformalnej pogawędki z agentką senior de Villefort. Jasne było, że komtesa nie powiedziała wszystkiego i mnóstwo spraw przed Krystyną ukryła, ale to jej nie przeszkadzało, w końcu tak zachowuje się większość ludzi. Nie odniosła wrażenia, że de Villefort chciała jej do czegoś użyć czy wykorzystać. Raczej udzielić kilku rad, jak doświadczony weteran początkującemu. Wyraźnie chciała z kimś pogawędzić, a Krystyna Rustova nigdy nie miała nic przeciw pogawędkom. Przy tym niezwykle inteligentnym, jakie najbardziej ceniła.

Okazała urzędnikowi dokument przypominający raczej kartę bankową, według jego wskazówek podeszła do urządzenia kontrolnego, które zbadało siatkówkę jej oczu, weryfikując tożsamość. Przypadkowy obserwator, który by tam zabłądził, odniósłby wrażenie, że pochyła się do okienka, rozmawiając z kolejnym portierem.

Wjechała windą na dziewiąte piętro i znalazła się w miejscu, które w żargonie nazywane było „papierówką”. Tyle zdążyła już podchwycić. Mieli tu swoje biura prawnicy i pracownicy administracyjni agencji. A także kilka towarzystw zarabiających legalnie pieniądze potrzebne do funkcjonowania firmy.

W okrągłym saloniku, z którego gwiaździcie wybiegały korytarze, siedział portier z ekspresem do kawy za plecami. Był to niewielki mężczyzna w typie śródziemnomorskim, w beżowej, przydługiej marynarce. W ramionach prezentowała się idealnie, w pasie natomiast mogłaby zostać nieco wyczyszczona. Wbrew swemu wyglądowi niczym z prospektu hotelowego marynarkę nosił rozpiętą.

Krystyna uśmiechnęła się do portiera nieco cieplej, niżby to zrobiła innym razem.

Dobry nastrój i dobry koniak nie przestawały działać.

- Napije się pani kawy? - zapytał, przyglądając jej się spokojnie uważnymi oczami.

- Eh, o trzeciej mam być w biurze dziewięćset sześćdziesiąt dwa - oznajmiła.

Zegar ścienny pokazywał za dwie minuty trzecia.

- Zabierze ją pani po prostu ze sobą. - Odwzajemnił uśmiech.

Nie był w typie Rustovej, wolała większych mężczyzn, ale wyglądał i zachowywał się sympatycznie.

W mgnieniu oka wyczarował filiżankę na nieskazitelnie czystej tacce i napełnił ją

pieniącą się kawą.

Kiedy schylił się po cukier schowany pod blatem biurka, dostrzegła rzemienie mocujące kaburę z bronią, ukrytą pod marynarką.

Skarciła się w duchu, że w pierwszej chwili wzięła mężczyznę za kelnera czy kogoś w tym rodzaju.

- Tamtym korytarzem, trzecie drzwi po lewej - poinformował, gdy ostrożnie podnosiła spodeczek.

- Dzięki - pożegnała go.

Koniak był wprawdzie dobry, ale mimo to Krystyna zrobiła się trochę nerwowa.

Zastukała energicznie i weszła. Już nie jestem małą dziewczynką, przypomniała sobie, ale pomogło tylko częściowo. Podczas treningu spotkała się z tyloma dziwnymi, niewiarygodnymi wręcz przypadkami, że nie byłaby zaskoczona, gdyby za drzwiami czekał oddział zielonych kosmitów z mackami zamiast włosów. Albo gdyby z zalem oznajmiono, że nie dała rady i muszą ją, niestety, zastrzelić, żeby nie zdradziła tajemnic agencji. Zupełnie bezboleśnie, prosto w czoło. Zanim zdążyła się przestraszyć, dostrzegła grupkę ludzi rozprawiających wokół dzbanka z kawą, stojącego na małym stoliku. Resztę pomieszczenia zajmowało pięć stołów, na środkowym leżał! miniaturowy projektor.

- Dzień dobry - przywitała się.

- Oho, kandydatka na agentkę jako jedyna została przez Kristiana wyróżniona filiżanką kawy - powiedział, spoglądając na Krystynę, mężczyzna w szarym garniturze i o ton ciemniejszym krawacie. Mógł mieć około pięćdziesiątki, krótko ostrzyżone włosy w kolorze stali nadawały mu sportowy wygląd. Prezentował się po prostu świetnie, jak prezes, dyrektor banku, zawodowy uwodziciel dla najbogatszych. Mógł być każdym z nich. Nie spodobał się Rustovej. Zapamiętała to wrażenie, bo mogło jej się później przydać, czy będzie ku temu okazja czy nie.

- Nie jedyna, sir Leonardzie - odpowiedziała korpulentna dama w mniej więcej tym samym wieku.

„Korpulentna” to niewłaściwe określenie, poprawiła swój osąd Krystyna. Raczej barokowa, ale seksowna każdym gramem swego dobrze ukształtowanego ciała. W oczach kobiety błyskały diamenty zdolne przeciąć najtwardszą stal.

- Nazywam się Bytewska - przedstawiła się. - A ponieważ została pani skierowana na trening z powodu mojego wniosku, przewodniczę temu niewielkiemu zgromadzeniu. Widzi tu pani sir Leonarda z Oddziału Stosunków Dyplomatycznych, profesora Karmudera z Wydziału Naukowego, majora Syrovkina z Wydziału Militarnego, pana Dwakena z

Wydziału Wewnętrznego, a ja należę do Wydziału Zwalczania Przemytu Międzyświatowego, Oddział Sytuacji Krytycznych - przedstawiła wszystkich obecnych.

Krystyna zwróciła spojrzenie na Dwakena. Wydział Wewnętrzny zatrudniał słynnych w agencji śledczych, pilnujących, żeby ci, którzy strzegli prawa, sami go nie naruszali. Mieli najgorszą reputację, a o supertechnologii, jaką dysponowali, opowiadano legendy. Krystynę jednak zainteresował wygląd Dwakena. Nie był wysoki, miał nie więcej niż metr siedemdziesiąt, jego ubranie na pierwszy rzut oka sprawiało wrażenie klasycznie skrojonych spodni i marynarki, pod którą nosił koszulę z wykładanym kołnierzem. W rzeczywistości był to uniform w stylu safari, umiejętnie ukształtowany na strój cywilny. Na skrajnym stole od lewej leżała czapka z daszkiem i zasłonami chroniącymi kark przed słońcem. Na szyi nosił srebrny łańcuszek z medalionem sprawiającym wrażenie starego. Najbardziej zainteresowały ją buty Dwakena, stosowne do chodzenia po górach lub puszczy, zupełnie niepasujące do biura. Mały rozmiar, najwyżej ósemka. Brzeg podeszwy wskazywał na jej traktorowy wzór. Przypomniała sobie gonitwę z robotami treningowymi, odciski podobnego obuwia i ślady niewidzialnego człowieka, który w prawie zupełnych ciemnościach skoczył z pięciometrowej wysokości w nieznanym terenie.

- Usiądźmy wszyscy, proszę - powiedziała Bytewska, wskazując stoły.

Krystyna zrozumiała, że dla niej stołu nie ma, musiało jej wystarczyć krzesło stojące pośrodku pokoju. Stłumiła chęć wzruszenia ramionami i ruszyła ku swojemu miejscu. Po drodze nieszczęśliwym przypadkiem zawadziła o stół tak, żeby zrzucić filiżankę, którą Dwaken właśnie na nim postawił. Złapał ją, zanim kawa zdążyła się wylać, i ustawił z powrotem na talerzyku.

- Proszę wybaczyć - przeprosiła go Krystyna. - Ma pan bardzo dobry refleks. Prawie nadnaturalny.

- Trening - odparł Dwaken, rzucając dziewczynie uważne spojrzenie.

Krystyna nie miała pewności, czy w bazie treningowej śledził ją właśnie Dwaken, ale na pewno był on zdolny do skoku w ciemność z pięciu metrów.

Usiadła, zakładając nogę na nogę. Zauważyła, że Bytewska z trudem powstrzymuje uśmiech, a mężczyźni z sir Leonardem na czele mają problemy z zachowaniem profesjonalnego dystansu.

- Ze względu na to, że pani wyniki szkoleniowe są nieprzeciętne, zainteresowało się panią kilka oddziałów należących do różnych wydziałów - Bytewska od razu przeszła do rzeczy. - Chociaż nie podoba mi się to, bowiem została pani skierowana na szkolenie na mój wniosek - popatrzyła groźnie na pozostałych - ma pani zgodnie z przepisami możliwość zatrudnić się

tam, gdzie sama będzie chciała. Prawdopodobnie jest to jedna z niewielu swobodnych decyzji, jakie będzie pani mogła podjąć, pracując w agencji. Później będą decydować psycholodzy, lekarze, despotyczni szefowie, tacy jak na przykład ja, i oczywiście killer, nasz Kwantowy Międzyświatowy Retranslator Wywiadowczy, komputer zapewniający komunikację z bazami agencji znajdującymi się w innych światach, a przy okazji administrujący agencyjną siecią.

Krystyna milczała, nie wiedząc, co na to powiedzieć.

- A więc, panowie, przedstawiajcie plusy waszych organizacji. - Bytewska popatrzyła po kolegach. - Bez pracy nie ma kołaczy. Sir Leonardzie?

- W moim oddziale - zaczął bez zwłoki - pani zadaniem byłoby nawiązywanie i wzmacnianie przyjacielskich kontaktów z różnymi ważnymi osobistościami. Mam na myśli dyplomatów, arystokratów, władców, technokratów... Po dalszym przeszkoleniu zrozumiałaby pani, jak interesujące i atrakcyjne jest dla pani takie zadanie.

Krystyna przestała słuchać dalszego ciągu jego wywodów. Praca, która wyraźnie miała opierać się na aparycji, seksualności i intuicji, zupełnie jej nie interesowała.

- Profesorze? - Bytewska wykorzystała przerwę na złapanie oddechu, którą sir Leonard chcąc nie chcąc musiał zrobić, i przerwała jego orację.

- No... - Karmuder z pewnością nie był typem mówcy, przypominał raczej karykaturę przedstawiającą szalonego naukowca, w połowie niepoczytalnego, niezdolnego do zadbania o samego siebie. - My też jesteśmy panią zainteresowani. Ehm, zdolności komunikatywne i umiejętność radzenia sobie z nieoczekiwanymi i nieprzewidzianymi okolicznościami przy pozyskiwaniu danych socjologicznych najróżniejszego typu. No, często jest to niebezpieczne, czasem bywa nudne, musiałaby pani przyswoić sobie mnóstwo wiadomości i...

Sir Leonard uśmiechnął się współczująco, słysząc tak niezgrabne werbowanie nowego pracownika.

- Panie Dwaken? - Bytewska uwolniła szefa naukowców od dalszych usiłowań.

Człowiek z Wydziału Wewnętrznego z nieprzyjaznym wyrazem twarzy popatrzył w sufit, a potem na Krystynę.

- Ze względu na wagę naszej pracy zbyt dużo nie mogę powiedzieć - zaczął powoli. - Chyba tylko to, że odkrywamy tajemnice. Nic się przed nami nie ukryje. Dla pewnego typu ludzi jest to po prostu posłanie, a my... - Dwaken zakaszał, jakby nie był zupełnie zdrowy. - A my - kontynuował - mielibyśmy dla wykorzystania uzdolnień panny Rustovej stosowne możliwości.

- Majorze? - Bytewska zwróciła się do wojskowego.

Krystyna w ogóle go nie słuchała, czekała na ostatnią z obecnych.

Bytewska upewniła się, że Syrovkin skończył.

- Ja mogę pani zaoferować najlepszych współpracowników, jakich mamy w agencji, prawie najlepsze wyposażenie, szalony pośpiech, jakiego wymagam dla osiągnięcia wyników, i największe ryzyko. To wszystko - Bytewska skończyła zaskakująco szybko. - No to jak, agentko? Na co się pani decyduje?

Krystyna wyprostowała się na krześle jak kotka. Decyzję już dawno podjęła.

- Panie profesorze? Ma pan nowego pracownika. A teraz mam tydzień wolnego na załatwienie spraw osobistych, czyż nie? - zapytała z wyrazem niewinności na twarzy.

- Oczywiście tak, agentko - odparła Bytewska nieporuszenie.

Zamykając za sobą drzwi, Krystyna usłyszała stłumiony głos żelaznej szefowej:

Jeśli się dowiem, że któryś z moich ludzi z nią rozmawiał, rozerwę go na pół!

ABORDAŻ



Na pół okaleczona „Berenika” nadal była sporo szybsza i zwrotniejsza niż brzuchate transportowce z ogromnymi klatkami podwieszonymi pod kadłubami. Ich konstrukcje powstawały wyłącznie z myślą o udźwigu.

Porucznik Jankis, czy też Żelazny Jankis, jak go coraz częściej nazywano, stał w otwartym luku, owiewany lodowatym powietrzem, i mrużąc oczy, wyglądał na zewnątrz. Obok niego leżała zwinięta długa lina, w ręce trzymał coś, co przypominało harpun. Trzech innych mężczyzn wyposażonych było w takie same liny. Wszyscy mieli na plecach karabiny automatyczne, pistolety w kaburach u pasów i zakrzywione, długie noże. Tuż za Jankisem kulił się z zimna człowiek z przenośnym aparatem telefonicznym, którego długi, cienki kabel połączono ze stanowiskiem sternika wysokości. W pewnym oddaleniu oczekiwali pozostali członkowie zespołu uderzeniowego.

Transportowiec lecący dużo niżej zbliżał się powoli.

- Mają z tyłu klasyczne stery kierunku i wysokości, pierwszy rzut desantu wylądował na nich - zdecydował Jankis. - Josef i jego czwórka - wybrał ludzi do akcji. - Wiecie, co robić dalej. Schodzić nisko nad ziemię, a kiedy drugi zespół opanuje silniki, delikatnie wylądować.

To było podstawowe zadanie. W klatce siedziało stłoczonych kilkuset ludzi, których mieli uratować.

Na grzbiecie szerokiego „anioła” coś zabłysło, pocisk roztrzaskał oprawkę żarówki tuż nad głową Jankisa.

- Mają tam Strzelca na górze, cholera - zmartwił się któryś.

Prąd powietrza z brzękiem rozwiął szklane odłamki po podłodze.

- Nieźle strzela - zauważył sucho Jankis.

Wyciągnął rękę, jeden z jego towarzyszy wcisnął mu w dłoń karabin z lunetą.

Drugi wystrzał trafił w nogę łysego mężczyzny stojącego obok Jankisa. Łysy krzyknął głośno i upadł, a koledzy odciągnęli go szybko w głąb pomieszczenia.

Jankis już celował, w poruszającym się polu widzenia dostrzegał wąsatego mężczyzny w baranicy, z długim karabinem u ramienia. Porucznik wiedział, że musi strzelać w dół, że leci z szybkością osiemdziesięciu kilometrów na godzinę, a pocisk będzie znosił silny wiatr. Strzelec na transportowcu skurczył się, jakby szykując do kolejnego strzału, Jankis dostrzegł lufę i błyszczącą soczewkę lunety ponad nią. Czekał na dogodny moment, cierpliwie czekał na tę jedną dziesiątą sekundy, kiedy strzał będzie pewny. Na lewej skroni poczuł jakby dotknięcie ognia, nie poruszył się jednak, stał niczym granitowa rzeźba, wstrzymując oddech,

baranica mignęła mu nieco w lewo i powyżej krzyża celownika. Nacisnął spust, w tej samej chwili huknął strzał nieprzyjaciela.

- Pan jest ranny, poruczniku! - powiedział ktoś z troską.

Jankis zwrócił broń właścicielowi.

- Ale tamten martwy.

Ujął słuchawkę, otarł rękawem krew z lekkiego draśnięcia pociskiem.

- Jesteśmy gotowi. Zejdziemy jeszcze o trzysta metrów, mamy dostateczny zapas wysokości. Przypominam, że liny mają po sto pięćdziesiąt metrów długości. Kiedy znajdziemy się sto metrów nad ich rufą, zaczynamy.

John Kovař obserwował, jak Krystal delikatnie manewruje, starając się ustawić poturbowaną „Berenikę” w pozycji dogodnej do desantu. Linia telefoniczna była rozwiązaniem niepozbawionym wad, głos Jankisa ginął od czasu do czasu w szumie i świstaniu wiatru.

JFK sprawdzał swoje wyposażenie i na innej linii komunikował się z zespołem uderzeniowym numer dwa.

Miał pod dowództwem Kovařa opanować drugi transportowiec, lecący dalej z przodu. Wszystko na zasadzie „być albo nie być”, jedna próba, życie lub śmierć. Ich własne i dwóch tysięcy ludzi w latającym więzieniu.

- Jesteśmy na miejscu! Naprzód, chłopcy! - rozkazał Jankis.

Cztery zwoje lin wyleciały w powietrze, rozwijając się w efektowne spirale, kończące się na rufowej powierzchni transportowca oddalonego o mniej więcej siedemdziesiąt metrów.

Czterech ludzi bez wahania zatrzasnęło urządzenia hamujące na linach i wyskoczyło na zewnątrz. Piąty odczekał pięć sekund, przypiął się do jednej z lin i również wyskoczył. Jankis patrzył, jak się oddalają, hamują tuż przed lądowaniem i ostrożnie zeskakują na powierzchnię sterów wysokości.

- Już tam są! - huknął do telefonu.

Zadaniem piątki śmiałków było przejęcie kontroli nad kierunkiem i wysokością lotu „anioła” transportowego. Jankisowi i pozostałej części zespołu przypadało trudniejsze zadanie, opanowanie silników i broni pokładowej oraz uniemożliwienie piratom użycia jeńców jako zakładników. Wymagało to dostania się do wnętrza sterowca, pod balony i na kil.

„Berenika” natychmiast zmieniła kierunek lotu, zaczęła zmniejszać wysokość i nieznacznie przyspieszać.

- Gdy już będziemy w środku, strzelajcie ostrożnie - przypominał Jankis, obserwując

zbliżający się kadłub „anioła”. Pod nim przemykało dno doliny z krętą górską rzeką, wokół wznosiły się strome zbocza gór, których szczyty tonęły w chmurach. - My będziemy na górze, oni na dole, a pod nimi nasi ludzie. Też będą strzelać ostrożnie, żeby nie podziurawić „anioła” jak rzeszoto. Pamiętajcie, że tylko z wystarczającym zapasem helu możemy się stąd wydostać. Zarówno my, jak i oni.

Wlecieli w obszar mgły albo w chmurę, lodowate powietrze paliło w płucach.

- Strzelajcie tak, żeby nie trafić w balony, poziomo nad kilem - polecił swym ludziom i pierwszy uniósł harpun.

Piraci starali się wyeliminować desant na rufie, na platformie pod kadłubem pojawili się ludzie z bronią ręczną. Jankis wystrzelił, harpun świsnął w powietrzu, krąg liny na podłodze zmniejszył się o połowę, grot przebił powłokę, zaczepy się rozłożyły, metaliczny dźwięk uderzenia w stalowe elementy szkieletu był wyraźnie słyszalny. Huknęły pierwsze strzały, ale piraci strzelali rzadko, bo zespół Jankisa krył swoich ludzi gęstym ogniem.

Porucznik obserwował luźno zwisającą linę, zatrzasnął na niej uchwyty metalowej skrzynki i jednym pociągnięciem za sznur startowy zapuścił silnik. Mały dwutakt zawarczał, pozostali mężczyźni wystrzelili swoje harpuny. Jankis wdusił przycisk i żłobkowane koła napędowe ściskające linę zaczęły się obracać, z ogromną szybkością niosąc porucznika w kierunku rozerwanej powłoki „anioła” transportowego.

- Są wewnątrz, wszyscy się tam dostali - stwierdził JFK.

Teraz wszystko zależało od Jankisa i jego siedemnastu ludzi. Na Kovařa czekał drugi transportowiec. „Berenika” zwiększyła szybkość i doganiała lecącego niżej „anioła”. Nie próbował ucieczki, zapewne i tak leciał z maksymalną prędkością. Gdy się zbliżyli, Kovař stwierdził, że z długiej podróży wyszedł bardziej poszkodowany niż jego towarzysz. Powierzchnia kadłuba w wielu miejscach była prowizorycznie połatana, najwięcej śladów napraw znajdowało się na sterach prawej burty, z czterech silników pracowały tylko dwa.

- Zrobimy tak jak przy pierwszym ataku, będę panu przekazywał rozkazy przez telefon - Kovař zwrócił się na odchodnym do Krystala. Oprócz technologa w kabinie został jedynie drugi sternik. Wszyscy byli potrzebni do innych zadań.

- Myślę, że nie - rzekł nagle Krystal, a Kovařowi wystarczyło spojrzenie w kierunku, w którym skupił swój wzrok technolog, żeby zrozumieć, co tamten miał na myśli.

Wprost przed nimi leciał „anioł” patrolowy, sądząc po potrzaskanej kabinie pod kadłubem, ten, którego trafili na samym początku bitwy.

- Wylizali się z ran i wrócili - rzekł zachmurzony Krystal, trzymając ster tak mocno, że aż mu zbiełały kostki dłoni.

- Nie strzelają - stwierdził Kovař ze zdumieniem.

- Nie, chcą dostać „Berenikę”, potrzebują biletu powrotnego do domu. Na swoim „aniele” nie mogą już chyba polegać.

- Zespół dwa, zespół dwa, zmiana planu! - ogłosił JFK przez telefon. - Przygotować się na odparcie desantu nieprzyjaciela. Dowodzenie na miejscu przejmuje Kaspersky. Po wyeliminowaniu napastników zaatakujemy transportowiec.

Krystal spojrział na Kovařa z powątpiewaniem, jednak nic nie powiedział.

Nieprzyjaciel zniknął na górze i za chwilę pojawił się na prawej burcie. Zajęcie pozycji pomiędzy „Bereniką” a szerokim kadłubem sterowca transportowego uniemożliwił mu Krystal serią ryzykownych manewrów.

- Obsługa silników, zamontujcie drabinki do gondoli silnikowych i przygotujcie się do obrony. Pani doktor Kaňkova, proszę podnieść mosty zwodzone w sekcji kwarantanny - Kovař wydawał rozkazy, pełen podziwu dla Krystala, który to wszystko zaprojektował i skonstruował. Dzięki tym pomysłom „Berenika” mogła się zmienić w zespół małych, izolowanych fortec. O każdą z nich napastnicy będą musieli walczyć.

- Zablokować awaryjne stanowisko dowodzenia - przypomniał Krystal.

JFK przytaknął i wyznaczył dwóch ludzi do tego zadania. Awaryjne stanowisko sterowania statkiem powietrznym znajdowało się w połowie długości kadłuba, nie można było dopuścić do niego napastników.

Z małego sterowca oddalonego o sto metrów dobiegł odgłos długiej serii. W chwilę później na „Berenikę” opadło kilkanaście lin, których kotwice wbiły się w poszycie. Kovař dostrzegł figurki ludzi opuszczających się na powierzchnię ich sterowca.

Obrońcy otworzyli ogień, ale „Berenika” wleciała w tym właśnie momencie w obszar silnego zachmurzenia i zaczęła się trząść z powodu turbulencji. Trafiony został tylko jeden lub dwóch ludzi.

- No to mamy na pokładzie pasażerów na gapę - stwierdził JFK.

- Zapomnieliśmy o obronie kabiny sterowania - powiedział zaniepokojony technolog. - Stałbym mieliby najłatwiejsze zadanie.

- Brakuje nam ludzi, jednak nie zapomnieliśmy - skrzywił się Kovař. - Pański zespół obrony to ja. Dopóki nie pozbędziemy się tych gapowiczów, sterowcem dowodzi pan.

Żelazny Jankis stal na ogromnym okrągłym zebrze około trzech metrów nad korytarzem łączącym magazyn z sekcją mieszkalną, ponad sobą widział dwóch ludzi wspinających się do gondoli silnikowej. Jeszcze wyżej wznosiły się wielkie balony napełnione helem. Warkot silnika mieszał się z trzeszczeniem konstrukcji, poskrzypywaniem powłoki balonu,

brzęczeniem lin usztywniających. Olbrzymia sztuczna jaskinia pogrążona była w półmroku, oświetlenie nie działało, a przez powłokę przenikało bardzo niewiele światła dziennego. Korytarz stanowił główną drogę, którą piraci mogli wykorzystać dla przegrupowania sił. Jankis miał im to uniemożliwić, zapewnić swoim ludziom niezbędny do pracy spokój.

Drzwi po obu stronach otworzyły się równocześnie. Porucznik nie namyślał się ani chwili, musiał kryć swoich ludzi. Skoczył na dół przed dwóch uzbrojonych mężczyzn, w locie dobył broni i zanim jeszcze opadł na podłogę, ciął jednego z przeciwników ukośnie w obojczyk. Sprężynujące podłoże wyrzuciło go do góry, bagnet nasadzony na lufę karabinu zahaczył o jego ramię. Jankisowi udało się jednak zwalić przeciwnika z nóg, upaść na niego i poderznąć mu gardło. Krew kapiała gdzieś niżej, przeciekając przez perforowaną podłogę.

Usłyszał tupot i przekleństwa nadbiegających ludzi, huknęły pierwsze wystrzały, ktoś krzyknął. Był to krzyk śmiertelny, zduszony przez zalewającą gardło krew. Jankis leżał na podłodze i czekał, aż podejda bliżej. Sądząc po drganiach podłogi, musiało ich być wielu. Dostrzegł wrogów wynurzających się z półmroku, uzbrojonych w pistolety i zakrzywione szable. Zaczął strzelać z pozycji leżącej, po jednym pocisku do każdego z nich. Korytarz wręcz zafalował, gdy zeskoczyła na niego reszta zespołu bojowego. Zawrzała walka.

- Nie strielat', nie strielat' ! Nielzia powredit' „angiela”!'¹ - krzyczał ktoś gardłowym rosyjskim. [\[12\]](#)

Kovař przełazi przez otwór zamykany klapą i wy dostał się na dach kabiny sterowania, pomiędzy płataninę kabli. Słyszał już napastników nadbiegających z mrocznego wnętrza „Bereniki”.

Opuszczali się na linach, złazili po żebrach, niektórzy dotarli do pomieszczeń magazynowych i mieszkalnych. Przed sobą jednak nie widział nikogo.

- Zwal tego gnoja, zwal go! - wrzeszczał ktoś po czesku, w chwilę później z miejsca, gdzie do szkieletu nośnego umocowana była gondola silnikowa, spadł jakiś człowiek i leżał nieruchomo na kilu, ze złamanym kręgosłupem.

Kabina sterowania została lekko opancerzona od dołu i po bokach aż do wysokości okien, ale korytarze łącznikowe i pomieszczenia obsługi już nie.

Kovař przebiegł na sufit jadalni i ukrył się za ogromnym żebrem. Przez otwory wentylacyjne widział na ukos przestrzeń pod sobą. Tupot kroków i odgłos otwieranych drzwi zbliżały się, w miarę jak napastnicy posuwali się naprzód. Pierwszy z nich pojawił się pod płytą ze skrzyżowanych prętów, za nim kilku innych, JFK uniósł automat i króciutki, dwustrzałowymi tylko seriami zaczął ich ostrzeliwać. Dwóch od razu posłał na podłogę,

zanim zdążyli odpowiedzieć na jego ogień. Wspornik trafiony licznymi pociskami zabrzęczał metalicznie, kilka kul dosięgło balonu, syczenie uciekającego helu mieszało się z bulgotaniem fedeksu.

- Idioci! Strzelajcie tylko na pewniaka! Nie wolno zniszczyć statku! Musimy iść przez kadłub!

JFK zużył cały podwójny magazynek, starając się pokryć ogniem drogę ich gwałtownej ucieczki. Był prawie pewny, że trafił jeszcze jednego albo dwóch.

Chwilę poczekał, a potem ostrożnie przełazi do klapy zamykającej wejście do pomieszczeń obsługowych, otworzył ją i zajrzał do wnętrza. Leżało tam dwóch napastników, drogę powrotną znaczył krwawy ślad. Zeskoczył na dół, zatarasował drzwi jednym trupem, pod jego skrzyżowanymi na piersi ramionami umieścił odbezpieczony granat zaczepny. Jeśli znowu spróbują tej drogi, mocno się zdziwią.

Jednak ich główny atak pójdzie górą, był tego pewny.

- Mamy pod kontrolą już dwa silniki, ale nie możemy się dostać do sterów! - usłyszał krzyki atakujących. Kwarantanna forteca doktor Kańkovej broniona przez dziesięciu ludzi jak dotąd trzymała się.

Kryształ nadal trzymał się z boku transportowca. Stracił łączność z gondolami silników, z których dwa już nie pracowały, i prowadzenie „Bereniki” robiło się coraz trudniejsze. Obserwując przyrządy i zachowanie sterowca, doszedł do wniosku, że stałe tracą wypór. Nie miał pojęcia, jak długo jeszcze „Berenika” pozostanie pod kontrolą.

Sądząc po dobiegających odgłosach, walka toczyła się już w bezpośredniej bliskości kabiny sterowania. Rzucił okiem w lewo, na wielki statek powietrzny z podczepionym pod nim koszem. Stali tam stłoczeni ludzie, dla których podjęli tę wyprawę. Lecieli pomału, trzydzieści, czterdzieści kilometrów na godzinę, teren wyraźnie się obniżał, dolina stawała się coraz szersza, przed nimi otwierał się widok na oddaloną na razie urodzajną ziemię Zakaukazia, dawnej Gruzji. Jeszcze kilka minut i przegrają, część porwanych zostanie zabita, część dostanie się do niewoli. Kryształ trzymał ster, patrzył w przyszłość, przypominając sobie przeszłość.

- Maszina nieuprawliajemaja! ^[13] - krzyczał ktoś z przodu.

- Tieriajem podjomnuju silu i snizajemsia! ^[14] - odpowiedział inny głos.

Silniki już nie ryczały, mruzczały cicho, świst wiatru zmienił się ledwie w szelest.

Jankis ukrył się za przewróconym stołem i ciężką skrzynią. Nóż zgubił gdzieś po drodze,

ale zamiast niego miał teraz dwie szable. Amunicja skończyła się zupełnie. To jednak nie przeszkadzało, ponieważ zwyciężyli. Kilku ostatnich piratów schowało się w kabynie sterowania, niedaleko od niego. Na nic już nie mieli wpływu, silniki i sterowanie było w rękach ludzi Jankisa. Pozostawało poczekać, aż technicy wchodzący w skład zespołu wyhamują transportowiec i ostrożnie wylądują.

- Daliśmy radę, no nie, poruczniku? - wyszczerzył zęby Jan Novak, twarz i włosy miał opalone od bliskiego wystrzału.

Jankis nie odpowiedział. Sam w to nie wierzył.

- Na jakiej my wysokości? ^[15] - usłyszeli głos z kabiny.

- Piątsot metrów. ^[16]

- Sbroście towar. Oni s nami dogoworiwatsia nie budut i wsio rawno nas ubijut. ^[17]

- Poniemaju. ^[18]

Jankis wyskoczył ze swojej kryjówki niczym stalowa sprężyna, z kamienną twarzą. Całą energię i siłę ześrodkował na dwóch ciężkich szablach trzymanyh w dłoniach. Zaskoczony pirat po lewej stronie nie zdążył zareagować i padł z rozplataną głową. Jego kamrat nacisnął spust i nawet trafił, ale to Jankisa nie powstrzymało, już był wewnątrz kabiny.

Siedmiu mężczyzn powoli spuściło się po linach i teraz złaziło po żebrach, przybliżając się do pokrycia dachowego kabiny sterowania „Bereniki”. Mrok rozpraszały trzy niebieskie płomyki palącego się propanbutanu. Człowiek z opaską na oku, mauserem za pasem i szablą w pochwie u boku zatrzymał się i gestem dał znak pozostałym, aby otoczyli kabinę, ale nie zbliżali się do niej. Wiedział, że to pułapka. Obrońcy liczyli się z własną śmiercią. Przywódca piratów zauważył ciśnieniowe zbiorniki z gazem, prawdopodobnie przyniesione z kuchni, przewody elastyczne leżące na dachu i chaotycznie rozmieszczone zapalone palniki. Wystarczyła odbita kula, niefortunny wystrzał i nastąpił pożar niemożliwy do ugaszenia. Ale gdzie jest szalenciec, który to wszystko przygotował?

Zobaczył go w cieniu poprzeczki podtrzymującej ciężar kabiny. Samotnego. To dlatego, zrozumiał dowodzący napastnikami.

- Nikomu nie wolno strzelać oprócz Hassana. I tylko wtedy, gdy strzał będzie pewny, jasne?

Wiedział, że jest to jasne dla wszystkich, ponieważ jego słów żaden z podwładnych nigdy nie ośmielił się lekceważyć.

- Poddaj się - huknął na czekającego mężczyznę i z ręką na kolbie mausera stanął na

krawędzi dachu.

Kryształ przekręcił ster w prawo, wykorzystując resztkę przewagi szybkości, jaką miał nad transportowcem, przeciął jego kurs. Zmuszał w ten sposób wrogi sterowiec do spowolnienia i obniżenia lotu. Wiedział, że ryzykuje życie kilkuset ludzi. Powłoki „aniołów” zetknęły się, Kryształowi wydawało się, że słyszy odgłos rozdieranego materiału, gniecionych żeber. Z zaciśniętymi zębami i zmarszczonym czołem trzymał ster i trwał w swoim zamiarze.

Seria przeznaczona dla Jankisa roztrzaskała głowę pirata szykującego się przebić go bagnetem, porucznik odwrócił się na pięcie i obiema szablami równocześnie ciął najbliższych przeciwników. Ktoś wytrącił mu broń z lewej ręki, ktoś uderzył w głowę, aż zachwiał się i oparł plecami o ścianę.

Dostrzegł pistolet wymierzony w jego kierunku, na szczęście bardzo blisko, błyskawiczne cięcie, potoczyła się odrąbana ręka, palec zaciśnięty na spuście. Wystrzał, ostry ból, skok naprzód, ktoś przed nim pada na podłogę. Szuka oczu leżącego, maca dłońmi, nie może ich znaleźć, trafia na nos. Wykorzystuje szósty zmysł bojownika, szybko przetacza się i przeciwnik zostaje przebity klingą jego kompana. Do wnętrza wpada Novak, bagnet na jego karabinie zboczony jest krwią.

Kovař stoi nieruchomo z pistoletem w jednej ręce i saperką w drugiej. Niebieskie płomyki migoczą w półmroku.

- To wy się poddajcie - mówi chrapliwym głosem.

Wzrok wbity w pustkę, uwaga skupiona na wszystkim i na niczym.

- Nas jest siedmiu - odpowiada przywódca piratów.

Ostatni obrońca milczy.

- Hassan! - szczeka herszt napastników.

Szybki ruch człowieka stojącego z tyłu, JFK odwraca się, klęka. Mimo to wystrzał go trafia. Opuszcza głowę w akcie ostatniego daremnego oporu przeciw nieuniknionemu losowi, ale jeszcze unosi pistolet i strzela.

- Na niego!

Herszt krzyczy i strzela nieprzyjacielowi w plecy, lecz pociski nie przebijają kamizelki kuloodpornej. Pistolet grzmi dalej, a łopatka saperska rozbija pierwszą głowę.

Kryształ nie miał pojęcia, co dzieje się na górze, z uporem przytłaczał transportowy statek powietrzny do ziemi. Żebra powyginały się i popękały, balony zostały rozerwane tak, że nawet tona fedeksu nie dałaby rady ich zakleić, setki metrów sześciennych helu uciekały do

atmosfery.

Krzyk przerażonych ludzi, strzelanina, trzeszczenie gnącego się metalu, odgłos drącego się materiału i syczenie uciekającego gazu. Pierwsze zetknięcie z ziemią. Okno kabiny rozpryskuje się, zasypując Krystala kaleczącymi odłamkami. Z zalanymi krwią oczami puszcza ster i pada. Już go nie trzeba trzymać.

Jankis wstał. W kabynie oprócz niego nikt nie został przy życiu. Novak leżał ze wzrokiem wbitym w sufit, z rękami na rozerwanym brzuchu, jakby chciał wtłoczyć na miejsce wypadające wnętrzności.

Zrobił krok i uświadomił sobie, że statek powietrzny już nie leci, lecz stoi, albo raczej leży na ziemi. Spojrzał na zewnątrz, przez roztrzaskane okno ujrzał kamieniste zbocze i górski potok. Żadnych drzew czy nawet trawy, tylko niegościnna górską dolina, pozbawiona życia. Jeden z piratów poruszył się, jęknął. Jankis spojrzał w jego kierunku, schylił się po szablę i krótkim, obojętnym ruchem rozciął mu szyję. Wyszedł z kabiny i po chwili stanął na ziemi. Jego twarz nadal nic nie wyrażała, pozostała tak samo kamienna i obojętna jak podczas walki, jak w ciągu wielu minionych dni.

John Francis Kovař stał pośród wszechobecnego zamieszania, opierając się o wielki głaz. Z trudem trzymał się na nogach. Nie przypominał sobie ostatnich momentów walki, prawdopodobnie miał lekki wstrząs mózgu. Punktem kulminacyjnym był desperacki manewr Krystala, którym za cenę poważnych uszkodzeń „Bereniki” osadził transportowiec na ziemi. Piraci odlecieli na wpeł zniszczonym „aniołem”, próbując ratować się na własną rękę.

Technologa, który szczęśliwym trafem przeżył twarde lądowanie, uwalniano właśnie z pogmatwanej ruiny, w jaką zmieniła się kabina sterowania. Pracami ratowniczymi zarządzał jeden z mechaników, JFK nie brał w nich udziału. Przyglądał się, jak z pogietej klatki wyprowadzani są ludzie, wynoszeni ranni i nieżywi. Miał nadzieję, że nie będzie ich wielu. Od strony drugiego transportowca powoli nadchodził Jankis. Lepiej wykonał swoje zadanie, jego zespół poniósł mniejsze straty. Mimo to szedł niczym lunatyk i JFK doszedł do wniosku, że zapewne jest ranny. Nadal poruszając się jak w transie, podszedł do uszkodzonej klatki, zatrzymał się i patrzył na wychodzących z niej uratowanych. Naraz na zewnątrz pojawiła się drobna kobieta prowadząca za ręce dwie długowłose dziewczynki. Dostrzegła porucznika i znieruchomiała jak rażona gromem, dzieci natomiast radośnie do niego pobiegły.

Żelazny Jankis upadł na kolana i głośno zapłakał, zatrząsły mu się ramiona. Jego żona i córki klęczały, obejmując go. Trwali tak aż do momentu, w którym JFK mógł ich widzieć.

Wokół niego wszystko ciemniało coraz bardziej i coraz ciężiej oddychał. Ostatnią rzeczą, jaką ujrzał, był drobny mężczyzna w czarnej sutannie, który kulejąc, schodził ze zbocza do doliny. Kovař nie miał już pewności, czy to halucynacje, czy rzeczywistość.

- U pana w porządku, kapitanie? - zapytał go ktoś.

- Nie. Trzymajcie się ode mnie z daleka i jeśli to możliwe, zawołajcie doktor Kaňkovą.

Zdaje się, że jestem chory.



John Francis Kovař unosił się gdzieś pomiędzy życiem a śmiercią. Chwilami zdawało mu się, że pożerają go miliardy małych owadów, przerabiając jego ciało na rosół, a kości na kamienie bez śladu życia. Zgromadzeni wokół ludzie w gumowych maskach załamywali ręce i biadali bądź złorzeczyli losowi. To znowu miał uczucie, że przeciw armii chrząszczy-robotów, włączających do każdego zakątka jego organizmu i wyskakujących stamtąd w tysiącach identycznych kopii, stanął zastęp wojowników w srebrzystych zbrojach. Każdy z nich uzbrojony w długi miecz oraz pistolet czynił w gromadach nosicieli śmierci wielkie wyrwy. Raz zdawało mu się, że widzi zielonkawe ekrany miniaturowych przyrządów, to znowu zatroskane szare oczy.



W krótkich przebłyskach świadomości, gdy przypominał sobie, kim jest, i był w stanie choćby częściowo rozumować logicznie, zdawał sobie sprawę, że walczy z atakiem grypy, podstępnej supergrypy, szatańskiego, zmutowanego wirusa, dla którego nie ma żadnej różnicy pomiędzy człowiekiem a ptakiem, ptakiem a krokodylem, zwierzyną a roślinnością.

John Francis Kovař, człowiek, który nigdy dotąd nie został pokonany i z najgorszych oparów wychodził obronną ręką, wiedział, że to jego ostatnia walka, w której nie może zwyciężyć.

Otworzył oczy i zobaczył swoją wychudłą na kość rękę, na której znajdowało się pięć plastrów, każdy w innym kolorze. W żyłę wbitą miał igłę, połączoną elastycznym przewodem z przyrządem posiadającym zielonkawy świecący ekran, podobny do tych, jakie widywał w swoich chorobliwych wizjach. Szare oczy, a ściślej mówiąc, kobieta o szarych, zmęczonych oczach siedziała na składanym krzeselku tuż przy jego łóżku. Szybko przebierała palcami po klawiaturze czegoś, co mogło być małym komputerem.

- Co pani robi? - zapytał cicho.

Zdumiało go, że w ogóle zdołał coś powiedzieć; tak źle się czuł.

Kobieta podniosła wzrok. Była to asystentka doktor Kańkovej, Jana Kurlova, której nazwisko i twarz zdołał zapamiętać z tak dużym trudem. Teraz jednak już nie wydawała się Kovařowi szarą myszą. Widział przed sobą pełną energii, niezbyt ładną twarz kogoś, kto dąży do celu za wszelką cenę.

- Staram się dostroić program wprowadzenia do pańskiego krwiobiegu nanorobotów czwartej generacji, żeby do końca uporały się z tym świństwem, które pan w sobie nosi.

Kovař milczał jakiś czas, przyswajając usłyszaną informację. Wolno mu to szło, nadal znajdował się pomiędzy życiem a śmiercią. Ale w końcu elementy układanki wskoczyły na swoje miejsca.

- Pani nie pracuje dla agencji - stwierdził.

Spoza przepierzenia, które odgradzało go od reszty świata, dobiegały kaszel, rżenie i ciężkie oddechy.

- Słusznie.

- I nie jest pani z tego świata.

- Dokładnie. No, dałam radę. Myślę, że po unieszkodliwieniu tych śmiertelnych bestii będzie pan nareszcie czysty.

- Więc wie pani w takim razie, kim jestem i co tutaj robię - kontynuował z pewnym samozaparciem. Szło mu tak ciężko, jakby zdobywał szczyt Mount Everestu bez aparatu tlenowego.

- Wiem, że zaryzykował pan swoje życie, żeby uratować innych, obcych ludzi, których w ogóle pan nie zna. I wiem, że zrobił pan tak nie po raz pierwszy. Wiem w końcu, że jest pan prawdziwym mężczyzną, a takich jest cholernie mało.

- I dlatego usiłuje mnie pani uratować? Mimo że pracuję dla organizacji, która zwalcza takich jak pani?

Szarooka kobieta odstawiła trzymany na kolanach przyrząd i przyłączyła go do przewodu wklutego w żyłę Kovařa.

- Dobrze znam zasady obowiązujące w waszej organizacji i wasze sławetne motto. Tylko że moje motto jest inne. Staram się pomagać tym, którzy tego potrzebują, których dopadł zły los, na jaki nie zasłużyli. Niech pan nie próbuje mnie przekonywać do waszych racji.

Przestała mówić do Kovařa jak do pacjenta, w jej głosie dawało się wyczuć ślad rozgoryczenia.

- Nawet mi to na myśl nie przyszło - oznajmił Kovař. - Ratuje mi pani życie, ryzykując, że

w ten sposób mogą panią dopaść.

- Miałam nadzieję, że się pan nie obudzi. - Wzruszyła ramionami. - No a teraz mogę już panu wpompować do krwi coś cholernie jadowitego i będziemy to mieli za sobą.

- Może pani - przytaknął JFK bez uśmiechu.

Na to był zbyt zmęczony.

- Te sukcesy, które tak uradowały doktor Kaňkovą, to nie przypadek, tylko pani dzieło - powiedział cicho.

- Tak. Tam, gdzie ona działała po omacku, nie mając do dyspozycji dostatecznie zaawansowanej techniki, odgrywałam rolę szczęściary, a czasem, gdy robiła błąd, po prostu zmieniałam próbki kultur wirusowych.

- I wszyscy uwolnieni jeńcy przeżyli również dzięki pani staraniom.

- Z wyjątkiem trzech. Gdy do nich dotarłam, byli już w stanie agonalnym.

JFK zamknął oczy i leżał, ciężko oddychając.

- A to, że nie mogłem pani zapamiętać, to też nie był przypadek.

- Nieco sugestii podprogowej. - Tajemnicza lekarka znowu wzruszyła ramionami. - Ale teraz powinien pan spać. To, co właśnie panu aplikuję, to dosyć silny środek, pomoże panu wygrać decydującą rundę.

- Dla kogo pani pracuje? - zapytał, już zasypiając.

- Czy uwierzy mi pan, jeśli powiem, że jestem samotną altruistką pochodzącą z supertechnicznego świata?

- Nie za bardzo - powiedział JFK i odpłynął.

- Wspaniały łajdak z niego - westchnęła, zamknęła swój tajemniczy przyrząd, schowała do torby lekarskiej i poszła zająć się innymi chorymi. Tylu ich było, a ona tylko jedna.

RANDKA



Frank Boorman czekał w recepcji i co półtorej sekundy stukał w blat stołu kluczykami od auta. Recepcjonista udawał, że mu to nie przeszkadza, ale wyraźnie nie umiał docenić zdumiewającej regularności tego stukania.

Winda zjechała na dół, drzwi się otworzyły i wyszła z nich Krystyna Rustova. Na widok Boormana oczy jej zabłyśły, lecz wyraz twarzy pozostał poważny. Żadna z ich dotychczasowych randek się nie powiodła, zawsze ktoś im przeszkodził, telefon od śledczego, wezwanie Boormana przez agencję albo policję w sprawie jakiegoś koncertu. Nie podejrzewała, że jest takim miłośnikiem muzyki.

- A to niespodzianka, co tu robisz? - zapytała.

- Gapię się, stukam kluczykami o stół - odparł Boorman, jego doskonale wygolona głowa błyszczała jeszcze bardziej niż zawsze. - Słyszałem, że nie będziesz u nas pracować - powiedział, patrząc na duży kwietnik w narożniku hali.

Rosnące w nim rośliny potrzebowały kubeczka mocnej zielonej farby, żeby sprawiać wrażenie choć częściowo zdrowych.

- Dobrze słyszałeś. W waszym wydziale jest jeden facet, który mi się podoba, a polityka agencji co do stosunków między agentami nie bardzo mi odpowiada. Chyba rozumiesz?

- No tak - rzucił Boorman.

Recepcjonista przeszedł na przeciwległy koniec lady, gdzie w skupieniu szukał czegoś w książce telefonicznej.

Zjechała druga winda, wysiadła z niej elegancka kobieta. Jej cienkie jak igły szpileczki głośno stukały po marmurowej posadzce, a świetnie uczesane blond włosy efektownie błyszczały w świetle jarzeniówek. Boormanowi rzuciła przelotne spojrzenie, na które odpowiedział gestem pozdrowienia. Rustovą zmierzyła wzrokiem jak coś, co jest mniejsze niż jądro atomu.

- Nikita Bernstein, sekretarka von Wondera - wyjaśnił Boorman.

- Ma za krótką sukienkę, ale niezłe nogi - oceniła jej wygląd Krystyna. - A idzie jak Królowa Zima.

- Nie jest w moim typie, wolę kobiety innego rodzaju - odparł Boorman. - Masz teraz tydzień wolnego, nie?

- No, mam - przytaknęła.

- Właśnie na ciebie czekałem - rzucił nagle.

- Jak na takiego wielkiego chłopca, jesteś dość opieszwały. - Zaśmiała się i pocałowała

cyborga w policzek.

- No wiesz, silny, ale dżentelmen. - Też się zaśmiał, jego łysa czaszka wróciła do normalnego poziomu błyszczczenia. - O ile nie masz innych zajęć, proponuję pójść na dobrą kolację - rzekł.

Recepcjonista z wyrazem ulgi na twarzy wrócił na swoje miejsce i zaczął stukać w klawiaturę komputera.

- Masz wybraną jakąś restaurację? Zamiast tej na Montmartre? - Spojrzała na Boormana z obłudną miną.

- Nie. - Pokręcił głową. - U mnie w domu, w ogródku. Pieczone według mojego przepisu, zimny szampan, śpiew ptaków i kumkanie żab. Ale jeśli wolisz restaurację...

- Żaby przesądzą sprawę. - Rozłożyła ręce.

Samochód Boormana zaskoczył Krystynę. Wyglądał tak, jakby właściciel wrócił nim niedawno z puszczy, cała przestrzeń bagażowa i tylne siedzenia zawałone były sprzętem, przyborami wędkarskimi i podejrzanyimi puszkami o nieokreślonej zawartości.

Boorman musiał przełożyć część przedmiotów, żeby zrobić miejsce dla niewielkiego bagażu Krystyny. Trochę żałowała, że jej nowa skórzana torba Koati znalazła się w tak nieodpowiednim towarzystwie, lecz Frank wyglądał na bardzo rozentuzjasmowanego i zadowolonego, więc nic nie powiedziała.

Wyjechali, ciężki opancerzony jeep powoli przebijał się przez gęsty ruch. Boorman kręcił dużą kierownicą z taką łatwością, jakby prowadził mały samochodzik.

Tuż za Pragą zjechał z szosy w boczną drogę i w cieniu pierwszych drzew zatrzymał samochód. Jego zwykle pogodna twarz zachmurzyła się.

- Ale ze mnie dureń! - oświadczył, wyjął kluczyki, którymi stukał w recepcji, i przyglądał im się nieprzyjaznym wzrokiem.

- Dlaczego? - zapytała z ciekawością.

- Jedna moja kumpelka poradziła mi, żebym sobie sprawił nowe auto, bo w tym na pewno się wybrudzisz, a może nawet nie zechcesz do niego wsiąść.

Boorman wyglądał na zafasowanego.

Rustova uważnie się obejrzała.

- To pierwsze już się stało, a to drugie, no cóż, w garażu na twoje szczęście nie było zbyt dobrego światła, nie zdawałam sobie sprawy, do czego wsiadam. - Zrobiła niby żalowaną minę. - Ale nie rozumiem, dlaczego jesteś taki rozzłoszczony. Przecież ci się udało, nie? - W oczach Krystyny zamigotały iskierki, wyraźnie dobrze się bawiła.

- Bo to nowe auto stoi w podziemnym garażu agencji - odpowiedział nadal zasępony.

Roześmiała się. Szczerze, głośno, bez zahamowań.

- A czy tamto auto, które stoi w garażu, zapewnia wygody lepsze niż to tutaj? - zapytała, kiedy przestała się śmiać.

- Pewnie, że tak - odpowiedział Boorman i wyszczerzył do niej w uśmiechu białe zęby. - Nie ma w nim tylu śmieci, nie ma bloku silnika między fotelami, więc gdyby przyszła ci ochota kochać się w samochodzie, nic nie stałoby temu na przeszkodzie.

- No to rzeczywiście zrobiłeś duży błąd - stwierdziła z udawanym smutkiem. - Teraz to już sama nie wiem, nie wiem... - Kąciki ust Krystyny zadrgały tłumionym śmiechem.

W tej samej chwili zabrzęczały pięciolitrowe puszki wylatujące z auta, jakby je wymiotł huragan.

Dwie godziny później na bocznej drodze zatrzymał się policyjny patrol. Funkcjonariusz ujrzał ogromnego Murzyna zbierającego śmieci. Wkładał do swego auta puszki i wyglądające na zużyte worki.

- Co pan robi, proszę pana? - zapytał podejrzliwie.

- Wie pan, to straszny maniak na punkcie ekologii - odpowiedziała atrakcyjna kobieta siedząca na fotelu pasażera. - Za każdym razem, gdy znajdzie jakieś śmieci, musi je zabrać i wywieźć.

No cóż, proszę pani, szczerze współczuję. - Policjant zasalutował, wrócił do wozu patrolowego i odjechał.

POWRÓT MARTWEGO



Bytewska wraz ze wszystkimi ludźmi, którzy brali udział w nieudanej pierwszej próbie powrotu agenta Kovařa razem z doktor Lavassi, całym zespołem von Wondera i obserwatorami oddelegowanymi z Wydziału Wewnętrznego wpatrywali się w okno powrotne. Zgodnie z początkowym planem powinien się w nim pojawić JFK. Ale od pierwotnej daty powrotu minęły ponad trzy miesiące, podczas których agent pozostawał w akcji.

Boorman przestał obserwować przyrządy, wszystko przebiegało aż nad podziw zgodnie z założeniami, i badawczo popatrzył na panią de Villefort. Siedziała w pewnym oddaleniu od pozostałych. Wbrew swoim zwyczajom miała mocny makijaż, a wyraźnie zmartwiony wyraz twarzy upodabniał ją do gościa, który przyjechał na pogrzeb. W prawej ręce trzymała piersiówkę i od czasu do czasu pociągała z niej tyk.

Nie dbała o to, czy ktoś to widzi, czy nie.

- Okno transportowe otwarte - oznajmił von Wonder. - Jest to rozwiązanie awaryjne, agent nie dysponuje odpowiednim sprzętem, nie udało się nawiązać z nim łączności.

Boorman dobrze wiedział, co to znaczy. Albo agent pojawi się w oknie powrotnym, albo nie. Pozostawało czekać w napięciu do ostatniej chwili.

- Zaczyna się odliczanie, okno ma okres trwałości trzydzieści jeden minut i pięć sekund - rozległ się głos von Wondera.

Na wielkiej tablicy świetlnej pojawiły się dane czasowe, którym stopniowo ubywało sekund.

Wszyscy milczeli. Podobne sytuacje przeżyli już kilka razy i nazbyt często na tablicy pokazało się zero, a nikt nie wrócił.

- Jest kontakt, ktoś stoi w przestrzeni granicznej okna - prawie krzyknął von Wonder.

Boorman zacisnął dłonie w pięści. Kiedyś zaszła omyłka i przetransportowano do agencji jelenia. Miał nadzieję, że tym razem tak się nie stanie.

- Akcelerator pełna moc, fantomy czasowe w pogotowiu!

Bezczynne wyczekiwanie zmieniło się w ożywioną działalność.

Nagle błysnęło, w oknie transportowym pojawił się jakiś człowiek. Wychudzony na kość, wyraźnie wyczerpany do kresu sił. Chwilę trwało, zanim Boorman go poznał.

- Kovař! - ryknął.

De Villefort wstała, z jej twarzy zniknęła maska zatroskania.

- John! - wyrwało jej się.

W ręce nagle trzymała telefon.

- Takeschi-san?

Boorman znał japoński, zapewniał mu to jego hardware.

- Czy zabił już pan doktora Akawę?

Lepiej, żeby nie znał japońskiego. Wcale nie chciał tego słuchać.

- Jeszcze nie, ale pracujemy nad tym, madame. Nie chcę niczego przyspieszać.

- Jeśli byłby pan skłonny okazać mi uprzejmość, za którą będę zobowiązana, proszę tego zaniechać.

Po drugiej stronie połączenia zapadła cisza.

- Zobowiązana, hm... Zemsta jest wprawdzie wspaniałą rzeczą, ale kiedy pani, madame, mówi, że będzie zobowiązana... - nastąpiła chwila przerwy. - To ma wielką wagę. Może większą niż śmierć człowieka, który na nią po stokroć zasłużył. Jednak już brakuje mu jednej ręki i kilku palców drugiej. Jak dotąd znosił to spokojnie i jego psychika jest w porządku.

- To nie przedstawia żadnego problemu, pan Akawa w swojej praktyce przywykł do takich sytuacji, chociaż z nieco innej pozycji. - Komtesa nie wykazała zainteresowania usłyszaną informacją. - Niech pan go wsadzi na pokład samolotu lecącego do Hamburga, a ja zajmę się resztą. Cieszę się, że będę mogła odwdziaczyć się panu za tę uprzejmość.

- Ja również, madame.

Pani de Villefort zakończyła połączenie.

Wszyscy gromadzili się wokół Kovařa, komtesa natomiast podeszła do Bytewskiej.

- Wykorzystując moje kontakty w Japonii, udało mi się odnaleźć i chyba ochronić doktora Akawę. - Boorman słyszał, co mówi; dzięki swemu sztucznie wzmocnionemu słuchowi.

- Mówiłam, że ludzie nie powinni pojawiać się w miejscach, w których dopuścili się tylu zbrodni - syknęła Bytewska. - Wielkie dzięki, Andrea, to pomoże nam w rozmowach z Wydziałem Wewnętrznym.

- Jasne - kiwnęła głową de Villefort i powoli wróciła na swoje miejsce.

Boorman nie miał pewności, ale zdawało mu się, że w jej oczach dostrzega łzy.

EPILOG



Komtesa de Villefort siedziała na białym krześle w stylu empire, jej wspaniała wieczorowa kreacja nawet w niezwykle ekskluzywnej restauracji prezentowała się, skromnie mówiąc, olśniewająco. John Francis Kovař siedział na takim samym krześle, lecz jego spodnie renomowanej marki, za pięć tysięcy koron w tym otoczeniu wyglądały raczej niepozornie. Ich pospolitość z lekka tu nie pasowała. Koszuli z wykładanym kołnierzykiem, którą miał pod marynarką, kelnerzy starali się nie zauważać.

- Więc śledczy puścili cię z czystym kontem - powiedziała de Villefort.

Poczekaała, aż kelner naleje jej do kieliszka, i uniosła go w górę.

JFK zrobił to samo.

- Nie, mam porządną krechę, ale znów jestem w służbie. I to się liczy.

Stuknęli się i wypili.

- Bardzo piękna suknia - nadmienił pod adresem toalety Andrei, cały czas pozostającej w centrum uwagi wszystkich kobiet obecnych w restauracji.

- Właściwie jestem już w pracy, za godzinę i dwadzieścia minut wchodzę do akcji. Muszę rzucić na kolana Ludwika xxxv. Nasi Ludwicy byli przy nim niewinnymi chłopcami. - Zachmurzyła się. - Bardzo schudłeś, co ci się tam właściwie przytrafiło? - zapytała jakby nigdy nic.

JFK wzruszył ramionami.

- E tam, złapałem jakąś gripę, trochę potrwało, zanim się z niej wykaraskałem. Doktorzy mają z tym ciężki problem. Powiadają, że pomogła mi w tym dobra kondycja.

Przez chwilę patrzyli na siebie, drobne perlister bąbelki wyskakiwały na powierzchnię szampana w kieliszkach.

- No tak, grypa może być paskudna - powiedziała de Villefort. - A wyniki badań, jakie prowadziłeś z doktor Lavassi, pozostają w mocy?

- Nie miałem później żadnych przyrządów - odpowiedział JFK ze spokojem. - Zatem tak, pozostają. Tych potwornych epidemii nikt tam nie wywołał celowo.

Siedzieli dalej, czekając, aż po komtesę przyjedzie zamówiona taksówka, popijali szampana niczym dwójka dobrych przyjaciół, którzy mają mnóstwo czasu i wiedzą, że spotkają się jeszcze wiele razy.

Kovař zdawał sobie sprawę, że jest kilka rzeczy, które chciałby jej powiedzieć. Mimo to milczał, mając nadzieję, że kiedyś nadejdzie ku temu stosowny moment.

Gdy został już sam, zamówił jeszcze jedną butelkę i zaczął wspominać Tomaša Profa, Jankisa, Romana Krystala, brata Kali i tajemniczą szarooką kobietę. Wspominał ludzi z innego świata.

Koniec



-
- [1] Nie poddadzą się! Ich obrona krzepnie z każdą sekundą, powinniśmy się wycofać! (wszystkie przyp. tłum.).
 - [2] Zrozumiałem! Musimy utrzymać się jeszcze pół godziny, potem zlikwidować ich tak dużo, jak się da, żeby utrudnić im pościg!
 - [3] Naprzód! Mają działa ustawione na ciężarówkach! Nie utrzymamy się!
 - [4] Wycofujemy się! Newskij, meldujcie, do diabła, gdzie jesteście!
 - [5] Zabili Wolfa! Chrzanić to, pójdziemy przez las!
 - [6] Atakują nas z miasta, a kapitan nie będzie czekać! Zmywamy się!
 - [7] Rozstrzelać jeńców!
 - [8] Element walki karate z rzeczywistym przeciwnikiem, w której ciosy zadawane są dłonią.
 - [9] Obecnie Bodrum w Turcji.
 - [10] Morfing - technika przekształcania obrazów, polegająca na płynnej zmianie jednego obrazu w inny.
 - [11] Środek powodujący odurzenie i amnezję, wchodzący w skład tzw. tabletki gwałtu.
 - [12] Nie strzelać, nie strzelać! Nie wolno uszkodzić „anioła”!
 - [13] Maszyna niesterowna!
 - [14] Tracimy siłę nośną i opadamy!
 - [15] Na jakiej jesteście wysokości?
 - [16] Pięćset metrów.
 - [17] Zrzućcie towar. Oni się z nami dogadywać nie będą, i tak nas zabiją.

[18] Zrozumiałem.